Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 22 kwietnia 1951 r. | Nr 16 (56) Rok II

W NUMERZE m. in.: **Aleksander Jackowski** — Festiwal Muzyki Polskiej; **Wawrzyniec Żuławski** — Pierwsze koncerty festiwalowe; **Stefan Zawadzki** — Obrońcom ghetta; **Jerzy Pomianowski** — Czołówka kultury; **Andrzej Braun** — O poezji Tadeusza Różewicza; **Artur Międzyrzecki** — Pod oknem, Omar — zszywacz namiotów; **Adolf Sowiński** — O postawie moralnej lekarza; **Arnold Słucki** — Odjazd, Dezerter; **Witold Zalewski** — Urodzaj (dokończenie); **Leszek Goliński** — Wiosna proletariatu; **Roman Zimand** — Oto Ameryka; **Edward Szuster** — Po roku doświadczeń; **Egon Naganowski** — Cała prawda rewolucji; **Henryk Wandowski** — Z życia literackiego Pomorza; **St. Lewiński** — List z Rzeszowa.

MARIAN BIELICKI

Aby los Korei nie powtórzył się nigdzie

Korea stoi w ogniu. W trawionych pożarami szkieletach wiosek i miast, po zrytych tysiącami bomb i pocisków, stratowanych gąsienicami czołgów i najcięższych dział drogach i polach błąkają się oszalałe ze strachu i bólu dzieci. Tam, gdzie zaledwie przed dziesięciu miesiącami kwitło życie — rozciąga się wypalona pustynia. Wokół grud sczerniałych cegieł — jedynej pozostałości po zbrodzonych domach — leżą obok siebie trupy i na wpół żywi ze strachu i głodu ludzie.

Od dziesięciu miesięcy dzień jest przekleństwem narodu koreańskiego. Dzieci skulone z zimna boją się słońca, boją się spojrzeć w czysty błękit na niebie, bo każdej chwili mogą wyrosnąć na nim złowróżbne cienie samolotów, każdej chwili ciszę przerywaną płaczem sierot i wdów mogą wypełnić dziesiątki straszliwych wybuchów. W oficjalnych komunikatach głównej kwatery wojsk amerykańskich nazywa się to krótko i lakonicznie — lotnictwo dokonało 1500 lotów. W tłumaczeniu na język tragedii narodu koreańskiego oznacza to kilkanaście tysięcy nowych bomb zrzuconych na szczątki miast, na ocalałe jeszcze przed pożarami lasy, na głowy tysięcy ludzi.

Od dziesięciu miesięcy pozostali przy życiu mieszkańcy koreańskich miast nie znają nocy. Mrok rozjaśniają setki pożarów. Piraci powietrzni zrzucają na miasta bomby zapalające o zwolnionym działaniu. Pożary wybuchają w kilka godzin po zakończeniu nalotu i trwają długo, długo. Amerykańska machina niszczycielska działa bardzo skrupulatnie. Korea stała się polem doświadczalnym dla zabójców, stała się szkołą wydobywania z gangsterów ich zezwierzęcenia i wykorzystywania go do ostatnich granic. Nie było i nie ma takich tortur, których nie stosowaliby amerykańscy gestapowcy w więzieniach i obozach wypełnionych przez dziesiątki tysięcy koreańskich patriotów. Żołdacy przysłani na Koreę po to, by zamienić ją w amerykańską kolonię, w bramę agresji przeciw Chinom i Związkowi Radzieckiemu, współzawodniczą z sobą w wynajdywaniu najwymyślniejszych sposobów zabijania. Nic zbrodniczego nie jest im obce.

„Korea — poligon doświadczalny". Tak nazwał swą korespondencję tokijski korespondent Reutera 28 marca br. „Wielu oficerów amerykańskich — podaje m. in. korespondent — z zadowoleniem powitało okazję zastosowania nowych rodzajów broni i wyszkolenia żołnierzy na najlepszym z wszystkich poligonów — na polu bitwy. Amerykańscy i brytyjscy weterani wojny koreańskiej odjeżdżają do domu jako instruktorzy i stają się jądrem rosnących armii zachodnich. Korea nie została wprawdzie wykorzystana jako poligon broni atomowej, niemniej wypróbowano szereg klasycznych elementów zbrojeniowych".

Na każdym dolarze są ślady krwi — mówił Lenin. Z Korei płyną do kas pancernych firm zbrojeniowych nie tylko setki milionów skrwawionych krążków złota. Wojna koreańska to nie tylko wzrost dochodów 486 największych amerykańskich spółek związanych z produkcją wojenną — wzrost o 51 proc. w trzecim kwartale r. 1950 w zestawieniu z tym samym okresem roku 1949. Wojna koreańska to szkoła dla dziesiątków tysięcy bandytów, w których zduszono przebłysk ludzkich uczuć, po to by mogli przekształcać w maszyny do zabijania setki tysięcy swoich rodaków. Oto jest jeden z celów, jaki chcą osiągnąć winowajcy koreańskiej tragedii.

W Phenianie, pięknym starym mieście wspaniałych pomników kultury narodu koreańskiego, w Phenianie, o którym poeta Li Gi Jen mówi:

„Miasto, gdzie każdy kamień
Tętni dziejami ludu,
Gdzie każda ulica
Opowiada o walce o szczęście..."

w Phenianie coraz mniej jest nawet wypalonych szkieletów starożytnych budowli. Amerykańscy piraci powietrzni zrzucają bomby na ruiny. Pustynia — oto w co chcą obrócić ziemię koreańską ludzie ukryci za parawanem flagi ONZ.

Zbrodni popełnionych przez wojska amerykańskie na Korei nie mogą ukryć przed światem nawet specjalnie dobrani i wierni dolarowym rzezimieszkom sprawozdawcy pism zachodnio-europejskich. André de Turème w korespondencji zamieszczonej w Figaro dn. 9 lutego br. tak opisywał swoje wrażenia:

„Lodowa równina ciągnąca się od Suwonu do Seulu — to prawdziwa pustynia, wszystkie miasta zostały tu zmiecione z powierzchni ziemi, Suwon, w wieńcu starych murów, wież i bram, wzniesionych przed ośmiuset laty, podobny był do Carcassonne. Teraz przypomina pustą skrzynię. W murach tego miasta została jedynie gruba warstwa popiołu. Znikło kilka tysięcy jego mieszkańców. Na drodze prowadzącej do Seulu, przebiegającej przez zamarznięte ryżowe pola, spotkałem może dwustu Koreańczyków... Były to grupy liczące mniej więcej po dziesięciu ludzi, grzebiących na skraju drogi zamarzłe w tragicznych pozycjach trupy. Leżały tam obok siebie ciała kobiet i mężczyzn — cywilnych i wojskowych..."

Li Tai Dżiun — koreański poeta, który z płonącego Seulu przybył do Warszawy na II Światowy Kongres Obrońców Pokoju, przywiózł mały gliniany garnuszek. Zabawkę dziecięcą wielkości palca. Jedyną pamiątkę po swoim domu, który spłonął zburzony amerykańskimi bombami, po swojej rodzinie, która zgubiła się na bezdrożach Korei — ziemi krwi i łez, rozpaczy i gniewu, zamordowanych dzieci i walczących do ostatniego tchu bohaterów.

Korea — to znaczy „Kraj jutrzenki". Jakże okrutna ironia dźwięczy w tych słowach, kiedy się mówi dziś o owym kraju, kiedy się myśli o jego tragicznym losie. Koreańskie dzieci boją się słońca i boją się księżyca, koreańskie dzieci boją się dnia i boją się nocy. Ileż tysięcy spośród nich próżno szuka matczynych rąk, które by przytuliły je do piersi, ogrzały, dodały otuchy, odpędziły strach. Ręce matek są zimne jak lód i nieruchome — zabili je amerykańscy najeźdźcy.

Ileż matek biega po zgliszczach wiosek, by odnaleźć chociażby trupy swoich maleństw, by przycisnąć ostatni raz zimne i nieczułe już ciało dziecka!

Opowiadała Pak Den-ai mieszkańcom Warszawy, ludziom całego świata o matce, której nikt nie miał odwagi powiedzieć, że dziecko za jej plecami zostało zabite. Opowiadała, że ta matka nie oszalała z bólu i rozpaczy. Chwyciła za broń, poszła na front — mścić się za swoją tragedię, bronić milionów matek przed losem, jaki jej zgotowali najeźdźcy. I o to właśnie toczy się wojna na Korei. Koreańska Armia Ludowa walczy nie tylko o wolność dla swego kraju. Ochotnicy chińscy toczą śmiertelny bój z trumanowskimi hordami, nie tylko w obronie własnych domów zagrożonych przez imperializm. Na Korei toczy się walka o pokój dla świata.

Dla agresorów Korea nie była celem samym w sobie. Korea rozpatrywana była przez polityków dolara, strategów śmierci i handlarzy krwi jako brama wypadowa jako przyczółek, z którego chcieliby rozszerzyć zasięg agresji na Chiny, na cały świat. Usunięty ze stanowiska głównodowodzącego nie za straszliwe zbrodnie, którymi zdystansował najbardziej okrutnych generałów hitlerowskich, ale za niedyskretne i przedwczesne ujawnianie celów polityki Waszyngtonu — gen. Mac Arthur niejednokrotnie dawał wyraz istotnym planom agresorów. Nie było to jego osobiste zdanie ani jego osobiste marzenie, gdy nawoływał do bombardowania Mandżurii, gdy wzywał do agresji przeciw Chinom. Czasy, gdy gangsterzy działali w USA w pojedynkę, należą już do zamierzchłej przeszłości. Za Mac Arthurem stoją firmy zbrojeniowe, wyznające zasadę, że wojna prowadzona w wąskim zakresie to mały business. Wojna światowa, wojna, w której można by było sprzedawać broń nie za dziesiątki, ale za setki milionów, za miliardy dolarów — oto ich marzenie. Różnice zdań wśród kliki prącej do wojny polegają jedynie na tym, że jedni nie kryją się ze swymi zamiarami, drudzy ukrywają je skrzętnie za parawanem frazesów i obłudnych kłamstw. Jedni uważają, że wojnę należy rozpętać w Europie — drudzy, że należy rozszerzyć ją w Azji itp. Różnica zdań polega na rozbieżnościach natury raczej technicznej, w żadnym wypadku na rozbieżnościach natury zasadniczej. Cel imperialistów widzi dziś cały świat — jest nim nowa straszliwa wojna.

Mac Arthur, warto tu przypomnieć jedną z jego ostatnich wypowiedzi, scharakteryzował wojnę na Korei najsłuszniej, choć bardzo nieostrożnie z punktu widzenia interesów politycznych Waszyngtonu: „Podczas gdy my czynnie prowadzimy wojnę Europy, tamtejsi dyplomaci ciągle jeszcze walczą na słowa". Cyniczne wyznanie mordercy, który nie kryje planów swych mocodawców.

Czyż znajdzie się ktoś, kto nie zrozumie znaczenia tych słów, kto nie pojmie, że kat Korei zapowiada, jaki los gotują światu „weterani wojny koreańskiej", stanowiący „jądro rosnących armii zachodnich"?

Fakty mówią o gorączkowym tworzeniu neohitlerowskiej armii w Niemczech Zachodnich i neofaszystowskiej armii w Japonii, o ścisłej współpracy sztabu amerykańskiego z hitlerowskimi i japońskimi generałami, o przystąpieniu do masowej produkcji broni i środków wojennych w Niemczech Zachodnich i w Japonii. Czyż znajdzie się ktoś, kto w obliczu tych faktów nie zrozumie, że amerykańscy realizatorzy testamentu Hitlera gotują Warszawie los Phenianu, Pradze los Seulu, Moskwie los Suwonu? Tragedię ziemi koreańskiej chcieliby powtórzyć podpalacze świata w Europie.

Tej prawdy, okrutnej w swej wymowie, nie uda się ukryć ani przez odwołanie Mac Arthura ani przez stanowczy zakaz ogłaszania przez Ridgewaya deklaracji politycznych bez zgody Waszyngtonu. Ludzkość nie da się oszukać manewrami dyplomatycznymi. Wojna stoi u naszych drzwi — ostrzegał Fadiejew na Kongresie Warszawskim — i to rozumieją dziś setki milionów ludzi, którym drogi jest pokój.

Zabijać i palić — oto dewiza trumanowskiej odmiany hitleryzmu. Praktyczne jej wykonanie zaprezentowały wojska amerykańskie na Korei. Ale wojnę prowadzić mają w imię interesów dolara nie tylko amerykańscy żołdacy. Z śmietniska historii wygrzebano upiorne dywizje SS. Udoskonalając metody hitlerowskie, amerykańscy generałowie i politycy nie zapominają o tych, którzy te metody wprowadzili. Dlatego organ d-ra Adenauera „Frankfurter Zeitung" ośmiela się pisać: „Któż odważyłby się dziś stwierdzić, że trybunał złożony z bohaterskich żołnierzy amerykańskich, angielskich, francuskich i tureckich, którzy walczyli na Korei, mógłby się zdecydować na skazanie von Mannsteina czy Rittera von Zeeb?

Burzyciele Warszawy dali przykład burzycielom Phenianu, ci co zrównali z ziemią Lidice, dali przykład katom Jongsanu. Jednym i drugim przyświeca ten sam cel, jedni i drudzy marzą o rzezi.

Ale ludzkość nie chce zniszczenia. Ludzkość nie chce, by tam, gdzie rosną lasy, czerniły się opalone kikuty drzew, by tam, gdzie bawią się dzieci, wyrosły rzędy mogił, by tam, gdzie dymią kominy fabryk, dymiły zgliszcza. Ludzkość nie chce, by gdziekolwiek na świecie powtórzyła się tragedia Korei. Ludzkość wystąpiła przeciw tym, którzy ze szpalt „New Jork Timesa" wołają pod adresem katów Korei: „Jeżeli zauważycie w pobliżu jakiś ruch — strzelajcie natychmiast. Jeżeli okaże się, że postrzeliliście kobietę lub dziecko — jesteście w porządku". Ludzkość zwarła swe szeregi stając w obronie setek milionów kobiet i dzieci, które dla zwyrodnialców są jedynie celem strzelniczym. Berliński Apel Światowej Rady Pokoju zmobilizował do walki o pokój miliony nowych bojowników.

Z dumą obejrzeć się może obóz walki o pokój na to czego dokonał w ciągu krótkiego czasu. Wyrosła potęga nieznana w dziejach, wyrósł ruch, który zjednoczył patriotów wszystkich krajów w jedną internacjonalistyczną siłę. Setki milionów podpisów pod Apelem Sztokholmskim sprawiły, że nieszczęsna i bohaterska Korea, nie została wykorzystana jako „poligon broni atomowych". Groźne ostrzeżenie sztokholmskie, za którym stoją setki milionów ludzi pracy i postępu, powstrzymało, zmusiło podpalaczy do zastanawiania się przed popełnieniem nowej zbrodni. Dziś setki milionów bojowników pokoju z całego serca, wszystkimi swymi czynami — walką i pracą — wyrażają solidarność z Apelem Berlińskim, apelem o pakt pokoju między pięciu mocarstwami.

Nie ma dziś na świecie człowieka, który mógłby przejść obojętnie obok zagadnienia — wojna czy pokój. Nie ma dziś człowieka, który myśląc o Korei nie zaciskałby pięści w gniewie na jej burzycieli. Setki milionów tych zaciśniętych pięści zwiastują los, jaki czeka podżegaczy wojennych.

Pod Apelem Berlińskim rosną podpisy. Składają je ludzie, których częstokroć dzielą najbardziej odległe przekonania polityczne czy religijne. Ale łączy ich wspólny cel, łączy ich wspólna idea, o którą walczyły pokolenia, której złożyły życie w ofierze miliony poległych w drugiej wojnie światowej żołnierzy radzieckich i polskich, angielskich i francuskich, setki tysięcy zamordowanych partyzantów wszystkich narodowości — idea pokoju i przyjaźni między narodami.

Ci, którzy chcą uczynić z narodu amerykańskiego naród morderców, którzy troskliwie wyszukują najbardziej znienawidzonych zbirów hitlerowskich i wkładają im w ręce broń, by na dany rozkaz strzelali do nas, ci, którzy chcą obrócić świat w pustynię a ludzkość w niewolników pot swój i trud oddających handlarzom śmierci — marzą o krwi. Marzą o tym, by los Phenianu spotkał znów wyrosłą z robotniczych dłoni Warszawę, by połyskujący bielą zabytkowych kamieniczek Mariensztat znów stał się kupą gruzów i dymiących zgliszcz. A my marzymy o tym, by udziałem Phenianu stał się los naszej nowej Warszawy, by zamiast dymu spowiła stare koreańskie miasto koronka rusztowań, by zazieliniły się w Seulu skwery, by dzieci koreańskie mogły spojrzeć z uśmiechem w niebo i powiedzieć — o, słońce!

Marzymy o szczęściu i pokoju dla siebie, dla całego świata, i marzenia te codzienną pracą przekuwamy w czyn potęgujący siły naszego obozu. Nie chcemy, aby którykolwiek z przełożonych czy następców Mac Arthura mógł nurzać się w ludzkiej krwi, deptać ludzkie życie, niszczyć dorobek ludzkiej pracy. Poeta radziecki Gework Emin zwracając się do wszystkich ludzi dobrej woli wzywa:

Woła do świata mogiła dziecięca:
Nie dajcie wojny obudzić!
Spętajcie jej nogi,
związcie jej ręce!
Spieszcie się, prości ludzie!

Nie chcemy, by mogiły dzieci pokryły świat. Chcemy spętać ręce obłąkanym mordercom. Spętamy je siłą naszej woli wyrażoną milionami podpisów pod Apelem Światowej Rady Pokoju, siłą naszej jednolitej postawy w Narodowym Plebiscycie Pokoju.

Marian Bielicki

Osierocone dziecko koreańskie na ruinach domu rodzinnego po ataku amerykańskich bombowców

Ochotnicy chińscy na froncie koreańskim

Układ wieczystej przyjaźni

Przed sześciu laty, 21 kwietnia 1945 roku, podpisany został układ o przyjaźni i pomocy wzajemnej między Polską a ZSRR. Dziś, gdy obejmujemy spojrzeniem ten sześcioletni okres, znaczenie paktu polsko-radzieckiego urasta w naszych oczach do rozmiarów wydarzenia o niezwykłej doniosłości historycznej. Prawomocność tego układu usankcjonowały bowiem nie tylko podpisy i ratyfikacje, jak tego wymaga zwyczaj dyplomatyczny, lecz także wielkie czyny i bezinteresowna ofiarność, na którą zdobyć się może jedynie miłujący pokój Kraj Socjalizmu. Duch paktu polsko-radzieckiego zrodził się z bohaterstwa niezwyciężonej Armii Radzieckiej, z poświęcenia najlepszych synów Związku Radzieckiego, ze wspólnie przelanej krwi żołnierza radzieckiego i polskiego. Geneza układu nie wywodzi się — w odróżnieniu od paktów polityki burżuazyjnej — z gry politycznej, lecz ze zwycięstwa oręża i idei socjalistycznej, ze zwycięstwa, któremu ojczyzna nasza zawdzięcza niepodległość.

Przy bezinteresownej pomocy radzieckiej zaczęliśmy dźwigać z ruin nasz dom. Przyjazna dłoń radziecka wspierała nas w ciężkich chwilach. Radziecki robotnik, fachowiec, inżynier pomagał nam i pomaga w budowie, radziecki przemysł zaopatruje w maszyny wielkie obiekty planu sześcioletniego. Polska rozwija się i przekształca w kraj socjalizmu, z ufnością i wiarą patrzy w przyszłość, krocząc u boku potężnego sprzymierzeńca, który przyniósł wolność narodom i walczy o pokój dla świata. Układ polsko-radziecki opiera się na serdecznych uczuciach łączących oba narody jego gwarantem są masy pracujące obu krajów i wola przemożnej postępowej ludzkości — wielkiego Stalina.

Sześciolecie układu o przyjaźni i pomocy wzajemnej między Polską a Związkiem Radzieckim obchodzimy w chwili wzmożonej walki o pokój, którą toczy obóz wolnych narodów z obozem imperializmu amerykańskiego. Obóz podżegaczy wojennych łączą układy, które zachłanny kapitalizm narzuca swoim słabszym partnerom. Rodzinę walczących o pokój narodów spaja przyjaźń i chęć wzajemnej, bezinteresownej pomocy. Pakty naszych przeciwników są sygnowane przez zysk i przemoc, układy wolnych narodów przez dobrą wolę, poszanowanie wzajemnych praw i umiłowanie pokoju. Takim paktem dobrej woli jest układ polsko-radziecki, toteż jego sens nabiera z każdym dniem coraz większej doniosłości międzynarodowej. Układ polsko-radziecki jest nie tylko fundamentem rozwoju Polski Ludowej, lecz także ważnym elementem walki o pokój światowy.

Polskie masy pracujące czczą historyczne rocznice wielkimi czynami. Rocznicę paktu polsko-radzieckiego witamy planem sześcioletnim, Nową Hutą, Żeraniem, Warszawą kwitnącą tysiącem rusztowań. Witamy ją rekordami pracy, twórczym i wzmożonym wysiłkiem całego społeczeństwa. Witamy ją czynną walką o pokój między narodami. Witamy ją zwartymi szeregami frontu narodowego.

Przyjaźń polsko-radziecka jest niezawodną busolą, która wskazuje nam drogę poprzez historię. Droga ta wiedzie do socjalizmu, do wolności i wyższych, piękniejszych form życia. Drogą tą kroczymy pewni zwycięstwa. Albowiem Związek Radziecki i przymierze łączące państwa demokracji ludowej z Krajem Rad są skałą, o którą rozbiją się wściekłe fale imperializmu i groźby wojennej.

ALEKSANDER JACKOWSKI

FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ

Festiwal Muzyki Polskiej, który rozpoczął się dnia 13 kwietnia, pomyślany jest tak wszechstronnie i w sposób tak pełny obejmuje całą problematykę życia muzycznego jak żaden chyba z dotychczasowych festiwali. Oczywiście zadaniem jego jest w pierwszym rzędzie pokazanie współczesnej twórczości naszych kompozytorów, twórczości, która w coraz większym stopniu realizuje postulaty muzyki narodowej, realistycznej, wyrażającej wielkie przemiany naszej epoki.

Ale Festiwal nie ogranicza się tylko do ukazania muzyki powstałej w ostatnich sześciu latach. Rzutuje jak gdyby twórczość współczesną na szeroko ukazane tło dawnej muzyki polskiej. Wydobywa z przeszłości wielki nurt muzyki narodowej. Odkrywa przed nami dzieła i całe okresy, jakie przez długi czas pokrywała niepamięć. Pokazuje wyraźną linię rozwoju, proces kształtowania się naszej tradycji narodowej od XV w. począwszy, od staropolskich tańców z tabulatur lutniowych Jana z Lublina, Jakuba Polaka i innych poprzez utwory Mielczewskiego, Szarzyńskiego, Kozłowskiego, Ogińskiego, Kurpińskiego, Moniuszki, Chopina, Karłowicza, Noskowskiego, Różyckiego, Szymanowskiego aż po współczesne: Bacewiczówny, Szeligowskiego, Lutosławskiego, Bairda czy Panufnika.

Dobrze, że Festiwal przypomni nam a właściwie nawet częściowo pokaże dawną muzykę. Znajomość jej, mimo dużej pracy włożonej przez Polskie Radio w popularyzację, wciąż jeszcze jest bardzo nikła. Co tu dużo mówić — wiele utworów wykonanych w czasie Festiwalu będzie niewątpliwie rewelacją nawet dla kompozytorów, którzy znali je dotychczas jedynie z podręczników historii muzyki. Dzięki wysiłkowi Biura Festiwalu Muzyki Polskiej przy pomocy najwybitniejszych naszych kompozytorów i muzykologów zrekonstruowano i opracowano szereg wybitnych pozycji dawnej muzyki, jak np. „Symfonię" Milwida, utwory Dankowskiego, Kurpińskiego itd. W związku z Festiwalem Polskie Radio nagrało już szereg niesłychanie interesujących pozycji naszej muzyki, a utrwalając na taśmach magnetofonowych wszystkie cenniejsze pozycje Festiwalu stworzy w ten sposób bogate archiwum muzyki polskiej umożliwiając znacznie bardziej pełne wykorzystanie jej w programach muzycznych.

Już to jedno zagadnienie dostatecznie tłumaczy potrzebę i znaczenie Festiwalu. Ale jak wspomniałem najważniejszym zadaniem Festiwalu jest ukazanie współczesnej twórczości naszych kompozytorów. Ujrzymy ją na szerokim tle naszej klasyki muzycznej i już przez to samo, chcąc nie chcąc, będziemy sobie zadawali pytanie przy każdym nowym utworze — w jakiej mierze realizuje on narodowe tradycje naszej muzyki? Czym je wzbogaca? Samo takie postawienie problemu określa rolę, którą Festiwal odegra w walce z pozostałościami bezdusznej kosmopolitycznej muzyki, z tymi wszystkimi obciążeniami dekadenckimi, które zaciążyły silnie na twórczości nawet najlepszych naszych kompozytorów okresu międzywojennego i od których nie wolna jest niestety nieraz i twórczość dzisiejszych naszych kompozytorów.

Takie ustawienie Festiwalu pokrywa się niejako z założeniami teoretycznymi sformułowanymi jeszcze w 1948 roku przez Żdanowa w czasie dyskusji nad uchwałami KC WKP(b) dotyczącymi opery Muradelego „Wielka Przyjaźń". Żdanow mówił wówczas: „...trzeba uczyć się wciąż i uczyć, brać ze spuścizny naszej klasyki muzycznej to wszystko co w niej najlepsze i co jest niezbędne dla dalszego rozwoju muzyki radzieckiej".

Festiwal stanowi dalsze rozwinięcie dyskusji toczonych latem 1948 roku w Łagowie Lubuskim oraz późniejszych — na plenum Związku Kompozytorów Polskich w 1950 roku, jak również i podczas licznych przesłuchań urządzanych przez Związek Kompozytorów Polskich w ciągu ostatniego roku. Wiele z wykonywanych i omawianych wówczas utworów usłyszymy podczas Festiwalu. Większość jednak — będą to utwory napisane przez kompozytorów specjalnie na Festiwal. Trzeba tu podkreślić ogrom pracy włożony przez wszystkich naszych kompozytorów, którzy współpracując z Biurem Festiwalu złożyli ponad 320 utworów! Na koncertach usłyszymy, zarówno utwory symfoniczne jak i kantatowe, koncerty instrumentalne i wokalne utwory kameralne na małe zespoły symfoniczne, a wreszcie najbardziej popularną fromę muzyczną — pieśń masową. Warto podkreślić, że już samo przejrzenie ilości tytułów w poszczególnych działach pokazuje wzrost zainteresowania naszych kompozytorów dla tych wszystkich form muzyki, które są najbardziej pożądane przez masowego słuchacza. Wielkim osiągnięciem jest przygotowanie przez kompozytorów 47-u kantat, 3-ch oper (Szeligowski — Bunt Żaków, Rudziński — Janko Muzykant, Rytel — Jan z Chełmna) oraz 8-u baletów.

Druga charakterystyczną cechą Festiwalu jest jego trójetapowość. Na czym ona polega? W pierwszym etapie, który trwać będzie do 1 maja odbędzie się na terenie kraju około 1000 koncertów. Przeważnie jednak wykonane one będą w ośrodkach centralnych, w Warszawie, miastach wojewódzkich i niektórych większych miastach powiatowych. W programach przeważać będzie raczej muzyka dawna, chociaż usłyszymy i wiele utworów współczesnych, między innymi II Symfonię Bacewiczówny, Kantatę Żniwną — Wiechowicza, Kantatę „Prorok" — Woytowicza, Uwerturę rewolucyjną — Prószyńskiego i inne. Etap ten zakończy się potężnymi manifestacjami muzycznymi 1-majowymi. W dniu tym odbędą się na terenie całego kraju setki koncertów, na których usłyszymy przede wszystkim pieśni masowe, kompozycje chóralne, utwory popularne. Koncerty pierwszomajowe stanowić będą jak gdyby rozpoczęcie II etapu, który przebiegać będzie pod znakiem umasowienia muzyki. W okresie do listopada br. obejmie on prawie cały kraj. Troską Ministerstwa Kultury i Sztuki było, aby w tym okresie jak najwięcej imprez organizować na szczeblu powiatowym i gminnym. Oczywiście główny ciężar wykonawczy w tym czasie przesunie się na zespoły niezawodowe, regionalne, chóralne, świetlicowe. Ogromną pracę wykonają zespoły Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych i Muzycznych, które wezmą udział w 16.300 imprezach i akademiach w czasie trwania Festiwalu, zorganizowanych w ośrodkach robotniczych i wiejskich. W Festiwalu weźmie udział ponad trzy tysiące zespołów amatorskich Związków Zawodowych, które przejdą w drugim etapie szereg kolejnych eliminacji powiatowych i okręgowych tak aby na zakończenie Festiwalu pokazać w Warszawie najlepsze zespoły ze swego pionu. Związek Samopomocy Chłopskiej w podobny sposób przeprowadzi koncerty i eliminacje około 2.000 zespołów. Weźmie również udział 1.000 zespołów muzycznych, tanecznych i śpiewaczych Centralnego Związku Spółdzielczego. Związek Młodzieży Polskiej jako zasadniczy wkład swój w Festiwal zorganizował Konkurs Śpiewu Masowego dla wszystkich kół ZMP, stawiając sobie za cel przede wszystkim spopularyzowanie pieśni masowej oraz „rozśpiewanie" zarówno młodzieży zorganizowanej jak i niezorganizowanej Niezależnie od tego ZMP zorganizuje szereg koncertów i zajęć artystycznych w drużynach harcerskich, powiązanych z akcją wczasów letnich i Międzynarodowym Dniem Dziecka.

W listopadzie Festiwal krzyżować się będzie z obchodami Miesiąca Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W tym czasie usłyszymy wiele koncertów poświęconych muzyce rosyjskiej i radzieckiej, jak również zawierające utwory kompozytorów polskich poświęcone tematyce Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Końcowy etap Festiwalu odbędzie się w grudniu. Usłyszymy na nim najlepsze utwory współczesne naszych kompozytorów, usłyszymy najlepsze wyróżnione zespoły amatorskie i zawodowe. Przesłuchanie najcenniejszych kompozycji polskich powiązane będzie organicznie z naradami i Walnym Zjazdem Związku Kompozytorów Polskich, na którym odbędzie się szeroka dyskusja nad zagadnieniami naszej twórczości muzycznej i podsumowanie osiągnięć twórczych naszych kompozytorów w okresie „dofestiwalowym". Nie ulega bowiem wątpliwości, że w ten sposób pomyślany Festiwal stanowić będzie przełom w twórczości kompozytorów i przyczyni się do znacznego rozwoju naszego życia artystycznego. Już dziś obserwujemy ogromny rozpęd w pracy ruchu amatorskiego. Na półkach księgarskich leżą setki nowych wydawnictw muzycznych z zakresu muzyki dawnej symfonicznej, pieśni masowe wydane przez PWM, Prasę Wojskową, Czytelnika, ZMP i inn. Obserwując jednak wszystkie przygotowania przedfestiwalowe wydaje mi się, że warto zwrócić uwagę na jedno z jego ogniw, które w całym tym planie wydaje się najsłabsze. Myślę mianowicie o Artosie. Powinien on stanowić ogniwo jak gdyby pośrednie, pomagające dotrzeć zawodowym artystom jak najdalej w głąb terenu, powinien pokryć siecią koncertów miasta, miasteczka, fabryki i świetlice wiejskie. Tymczasem „Artos" przewiduje np. w I etapie zaledwie 30 koncertów na terenie całego kraju. Jest to ilość niesłychanie znikoma. Wydaje nam się, że okres Festiwalu będzie poważnym egzaminem organizacyjnym dla wszystkich instytucji i zespołów biorących w nim udział, toteż należy już teraz zwrócić uwagę na słabe punkty. Sprawa ustawienia i zaktywizowania działalności „Artosu" należy do najpilniejszych.

Warto zasygnalizować również niedostatecznie silną kampanię prasową wokół Festiwalu, zwłaszcza w prasie codziennej. Ten odcinek musi być otoczony specjalną opieką — wówczas i rezultaty festiwalowe staną się bardziej powszechne.

Nie przesądzając ostatecznych rezultatów można już dziś powiedzieć, że Festiwal stanie się potężną dźwignią rozwoju życia muzycznego w Polsce Zbliży muzykę do społeczeństwa i stanowić będzie zapewne nowy etap na drodze ku stworzeniu wielkiej narodowej muzyki realizmu socjalistycznego.

Aleksander Jackowski

STEFAN ZAWADZKI

POWSTAŃCOM GHETTA

Czarna burza
Runęła w miasto gromem,
W miasto czuwające, nieugięte.
Przez podwórza
Faszyści szli kordonem,
Wśród milczących nienawiścią pięter.

W nocy,
O wpół do trzeciej
Faszyści zacisnęli koło.

W nocy,
O wpół do trzeciej
Z gruzów im plunął w twarze ołów.

Rankiem zwisł
Nad garstką bezbronnych matek i dzieci
Świst złowrogiej kuli.
W piwnicy ktoś
Ogień rozniecił,
By rozgrzać zziębnięte dłonie,
Ale ognia jest dość!
Skrwawione ghetto płonie,
Ognia błysk
Rozcina wnętrza ulic.

Wiemy, że brakło wam broni.
Ale granatów waszy h głos
Poprzez ruiny echem dzwonił
Daleko, gdzieś tam za murami,
Gdzie partyzanci leśny los
Splatali razem z wami.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Pierwsze koncerty festiwalowe

Festiwal Muzyki Polskiej rozpoczęty. W piątek dnia 13 bm. w obecności przedstawicieli rządu uroczysty koncert w warszawskiej sali „Roma" zainaugurował tę największą z dotychczasowych imprez muzycznych Polski Ludowej. Jednocześnie, o tej samej godzinie muzyka polska — dawna i współczesna — poczęła rozbrzmiewać na estradach Krakowa, Poznania, Łodzi, Katowic, Gdańska, Lublina, Bydgoszczy, Kielc i Kalisza.

Inauguracyjny koncert w Warszawie poprzedził przemówieniem wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski, podkreślając, że Festiwal będzie demonstracją siły i rozkwitu polskiej muzyki współczesnej i potężną dźwignią upowszechnienia muzyki wśród najszerszych mas. Imprezy festiwalowe pomogą wydobyć na światło dzienne realistyczne tradycje muzyki polskiej i jej nurt ludowy, pozwolą również zdać sobie sprawę z przełomu dokonującego się w twórczości polskich kompozytorów współczesnych, zdążających coraz wyraźniej w kierunku realizmu socjalistycznego.

Na program koncertu złożyły się utwory kompozytorów polskich bieżącego stulecia: dwóch wielkich przedstawicieli „Młodej Polski" — Karłowicza i Szymanowskiego, oraz dwojga żyjących i tworzących współcześnie: Bacewiczówny i Panufnika.

Andrzej Panufnik

„Suitę Staropolską" Andrzeja Panufnika, wykonaną niedawno na koncercie Filharmonii Warszawskiej omawialiśmy już szczegółowo na łamach „Nowej Kultury" (por. rec. w nr 11 z dn. 18 marca br.).

Następnym punktem programu był koncert skrzypcowy A-dur **Mieczysława Karłowicza**. Dzieło to, chociaż zalicza się jeszcze do młodzieńczego okresu twórczości Karłowicza (powstało w r. 1902 tj. gdy kompozytor miał lat 26), chociaż odkryć w nim można ślady wpływów Czajkowskiego, Griega, czy Mendelssohna posiada równocześnie cechy, które zapowiadają już przyszłego twórcę „Odwiecznych Pieśni" i „Rapsodii Litewskiej". Cechy te — to przede wszystkim ogromne bogactwo inwencji tematycznej, jakiś specyficzny rozmach i szerokość oddechu, tak typowe dla późniejszych dzieł tego kompozytora. Jakieś szczególne ciepło, liryzm i owa słowiańska rozlewność, po której poznajemy nieomylnie indywidualność twórczą Karłowicza. Jeśli dodamy do tego świetność faktury orkiestrowej, chyba po raz pierwszy w polskiej literaturze symfonicznej tak bogato wykorzystanej, a także znakomite rozwiązanie problemu wirtuozowskiego ustawienia partii skrzypcowej — otrzymany obraz dzieła, które słusznie zaliczane jest do najwybitniejszych polskich koncertów solowych z orkiestrą.

Fot. Dorys
Grażyna Bacewiczówna

Młodziutka solistka koncertu, **Wanda Wiłkomirska** udowodniła, że nadzieje wiązane z rozwojem jej talentu są całkowicie uzasadnione. Jej interpretacja pogłębiła się w ostatnich czasach, nabrała dojrzałości, jej technika odznacza się precyzją, a ton — ciepłem i soczystością.

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy prawykonania Drugiej Symfonii **Grażyny Bacewiczówny** napisanej w bieżącym roku, specjalnie na Festiwal. Symfonia ta zamknięta w ramy czteroczęściowej klasycznej konstrukcji, trzyma się zasadniczo linii obranej przez kompozytorkę w ostatnich jej dziełach. Linia ta, to — mówiąc bardzo ogólnie — dążenie do uzyskania maksymalnego napięcia uczuciowego, napięcia, które by mogło przejąć słuchacza, wzruszyć go i uczynić dzieło sztuki bliskim jego przeżyciom i emocjom. W stosunku do dramatycznej w wyrazie IV Sonaty Skrzypcowej Bacewiczówny (por. „Nowa Kultura" nr 3, dn. 21 stycznia br.) II Symfonia wnosi akcenty bardziej optymistyczne. Dotyczy to zwłaszcza żywego Scherzo (część III) oraz finału, w którym konflikty symfonii zostają rozładowane w potężnie brzmiącej Codzie. Dramatyczność cechuje natomiast obie pierwsze części symfonii. Początkowe Allegro, poprzedzone krótkim wstępem odznacza się zbytnią już może zwięzłością formy. Skutkiem tego dwa bardzo interesujące i wyraziste tematy, z których jest zbudowane, nie znajdują należytego rozwinięcia, a silny rozpęd tej części zostaje zbyt gwałtownie przecięty. Część druga (Lento) nacechowana jest nastrojem pełnym liryzmu i głębokiego skupienia.

Charakterystyczne dla zmian stylistycznych, które obserwujemy w twórczości Bacewiczówny jest jej obecne podejście do problemu instrumentacji. Kompozytorka odeszła w II Symfonii daleko od francuskiej kokieterii dźwiękowej, od zmienności barwy i solistycznego traktowania instrumentów. Podstawą jej orkiestry staje się coraz bardziej kwintet smyczkowy, często prowadzony w oktawach, zestawiony, lub przeciwstawiany pozostałym grupom instrumentów („blacha", „drzewo" czyli instrumenty dęte blaszane i drewniane), traktowanym przeważnie, jako nierozdzielna całość. Tendencja taka wynika zapewne ze świadomego odrzucenia dążeń do zewnętrzno-dźwiękowego piękna na rzecz czysto wewnętrznych, emocjonalnych doznań i przeżyć. Chodzi o to, by błyskotliwe efekty nie zaciemniały tego, co kompozytorka chce bezpośrednio wyrazić. Ogólnie biorąc Druga Symfonia zaciekawia i wywiera silne wrażenie, dając nowy dowód, że talent Bacewiczówny rozwija się i pogłębia w sposób wysoce interesujący.

W programie tak uroczystego koncertu współczesnej muzyki polskiej nie mogło oczywiście zabraknąć dzieła największego z polskich kompozytorów dwudziestego stulecia: **Karola Szymanowskiego**. Wybrano „Harnasie", czołowe dzieło „narodowego" okresu twórczości Szymanowskiego i wybór ten był ze wszech miar słuszny. Jednakże w stosunku do tego genialnego dzieła obserwujemy w ostatnich czasach jakąś dziwną bezceremonialność. Wycina się z niego poszczególne fragmenty, tasuje, przestawia w dowolny sposób. Fakt, że nieżyjący kompozytor nie może protestować nie uprawnia nas bynajmniej do takiego postępowania. „Harnasie", jak każde prawdziwe dzieło sztuki posiada konstrukcję, której naruszenie musi się odbić ujemnie na całości. W tym wypadku ramy konstrukcyjne stworzone są przez dwa oddzielne obrazy sceniczne, wewnątrz których w sposób logiczny i ścisły narasta napięcie „akcji muzycznej" (nie tylko scenicznej, czy baletowej) i doprowadza do głęboko artystycznej konkluzji w przepięknej, pełnej niepokojącego czaru scenie „Na hali" stanowiącej zakończenie dzieła.

Rys. E. Głowacki
Michał Szopski

Jasne jest, że przy estradowym wykonaniu „Harnasi" mamy prawo opuścić fragmenty powstałe na skutek potrzeb czysto scenicznych (łączniki na zmianę dekoracji itp.— fragmenty te oznaczone są zresztą do usunięcia w rękopisie kompozytora). Jeśli się nie chce wykonywać całości (właściwie dlaczego? — trwa zaledwie tyle, ile normalna symfonia) — można ułożyć z epizodów rodzaj suity baletowej Trzeba wtedy jednak bardzo troskliwie dobrać odpowiednie fragmenty, potraktować zagadnienie z wielką kulturą, znawstwem i pietyzmem dla dzieła — no i oczywiście nie zagubić końcowego efektu „Harnasi", do którego kompozytor przywiązywał tak wielką wagę.

Tymczasem to, co usłyszeliśmy z estrady „Romy" stoi w sprzeczności z powyższymi zasadami, a dowolność zestawienia poszczególnych epizodów budzi zdecydowany sprzeciw. Po początkowej scenie obrazu I („Redyk") następuje przeskok na obraz II („Wesele"), po czym słyszymy od razu... scenę końcową („Na hali"). Po kusztownie zinstrumentowanym, jakby „zawieszonym w powietrzu" akordzie H-dur, będącym właściwym zakończeniem dzieła niespodziewanie następuje wesoła, trochę hałaśliwa „Pieśń Siuhajów" i wreszcie „Taniec góralski", odznaczający się tym, że jako fragment, po którym ma nastąpić ciąg dalszy, nie posiada odpowiednio wyraźnej końcówki i przerywa się, jak nożem uciął. Nic więc dziwnego, że po „Tańcu góralskim" na sali zapanowała chwila kłopotliwej ciszy, gdyż publiczność nie mogła się zorientować, czy utwór został rzeczywiście zakończony.

Zastrzeżenia nasuwa również brak dbałości o autentyzm wykonawczy. Wysoko cenimy piękny głos i dobrą włoską szkołę solisty, **Michała Szopskiego** (tenor), zalety te jednakże niewiele pomagają do nadania cech góralskich pieśni śpiewanej w obrazie „Na hali". Pamiętamy, że w okresie prawykonania „Harnasi" Szymanowski rozglądał się raczej za głosem surowym i nieuczonym. A już wręcz fatalnym pomysłem było wyprowadzenie solisty na estradę i umieszczenie przed orkiestrą, obok dyrygenta. Dało to śpiewakowi pole do wydobycia wszystkich miękkości i niuansów — z pieśni góralskiej zrobiła się niemal włoska aria. Umieszczenie solisty przy kulisach lub za sc[illegible] zmusiłoby go do przekrzykiwa[illegible] (właśnie tak: przekrzykiwania!) [illegible] kiestry, co dałoby efekt znacz[illegible] bliższy prawdy.

Chóry niezwykle liczne (połączone „Artosu", „Harfy" i Opery Warszawskiej) brzmiały jakoś dziwnie blado. Nie wiemy, czym to tłumaczyć, bo partie chóralne w „Harnasiach" brzmią doskonale i pozwalają oddać charakterystyczną [illegible]taliczność, która cechuje brzmienie śpiewu góralskiego, zwłaszcza [illegible] otwartym powietrzu, w tatrzańskich dolinach. Że efekt ten jest do [illegible] dobycia przekonał nas choćby Chór Filharmonii Krakowskiej [illegible] wykonaniem „Harnasi" ubiegłej [illegible] sieni.

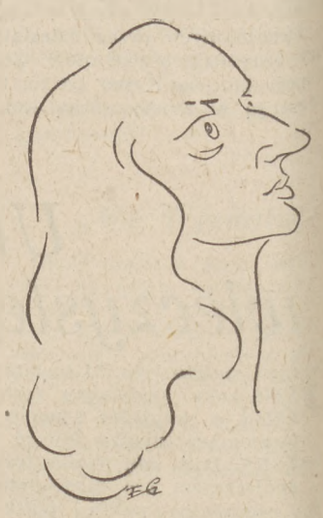

Rys. E. Głowacki
Wanda Wiłkomirska

Bez zarzutu spisywała się natomiast orkiestra Filharmonii Warszawskiej. Orkiestra ta, pod wytrawną dyrekcją **Witolda Rowickiego** zasłużyła na wysoką ocenę również i w pozostałych utworach inauguracyjnego koncertu festiwalowego.

* * *

Następną imprezą Festiwalu był występ Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze" dn. 14 bm. w sali „Romy". Zespół ten, którego pierwsze publiczne występy sygnalizowaliśmy w swoim czasie („Nowa Kultura" nr 37, dn. 10 grudnia 1950 r.) rozwinął się w ostatnim okresie, okrzepł, dojrzał i skrystalizował się. W dzisiejszym stanie rzeczy można już mówić o osiągnięciu kulturalnym i to osiągnięciu dużej miary. Ta grupa dziewcząt i chłopców wiejskich, tryskających zdrowiem i radością życia, ubranych w przepiękne stroje ludowe stanowi zespół chóralno-taneczny, który ze słuszną dumą możemy pokazać wszędzie: w kraju i poza jego granicami. Doskonałe pod względem fachowym kierownictwo „Mazowsza": **Tadeusz Sy[illegible]tyński** (kierownik artystyczny i kapelmistrz), **Eugeniusz Papliński** (choreograf) i **Mira Zimińska** (kostiumy i układ sceniczny) gwarantuje dalszy jego rozwój.

(Dokończenie na str. 5)

JERZY POMIANOWSKI

Czołówka kultury

Nagrody Nobla nie dano Bertrandowi Russellowi za „Principia Mathematica", napisane wespół z rzetelnym uczonym A. W. Whiteheadem w 1910 roku. Nie dostał jej też później w okresie międzywojennym, kiedy nię stać już go było na badania ścisłe, i gdy jął się on znacznie rentowniejszej pracy: stał się autorem eklektycznych zbieraninek, takich jak „Logika a mistycyzm", czy „Małżeństwo i moralność". Książki te dawały sporą satysfakcję półinteligentom, były popularne i modne, ale nie przyniosły jeszcze wtedy pełnego uznania autorowi. Jakże mogło być inaczej, skoro były one obciążone tradycjami klerkowskiego liberalizmu, skoro jeden ze „Szkiców sceptycznych" nosił kokieteryjną nazwę „Komunizm i faszyzm, czyli Scylla i Charybda", skoro, krótko mówiąc, były po prostu naiwnymi manifestacjami ówczesnej „trzeciej siły". Nagrodę Nobla Russell dostał dopiero kilka miesięcy temu i to nie za żadną z 33 swoich książek wymienionych w „Who is Who". Dano mu ją za serię artykułów, ogłoszonych w bulwarowych czasopismach angielskich i amerykańskich. Publikacje te cechuje nie tylko szablonowość i wielomówstwo, zrozumiałe zresztą w podeszłym wieku. Sęk w tym, że w każdej z nich ów były matematyk nawołuje już otwarcie do zniszczenia „źródła zła" — do wytępienia komunistów, w każdej metodycznie usuwa skrupuły zwolenników prewencyjnej wojny atomowej, przeciw krajom socjalizmu i pokoju. W taki oto sposób widomie unicestwiona została sprzeczność — w gruncie rzeczy pozorna — zachodząca między źródłami, a celami fundacji Nobla. Stary fabrykant dynamitu przeznaczył sporą część dochodów z tego źródła na całkiem sute nagrody dla badaczy, artystów i działaczy, zasłużonych dla sprawy kultury, cywilizacji, ba, pokoju. Nagroda ta, którą dysponują przedstawiciele dwóch narodów, ale jednej klasy i jednego obozu politycznego, przyznawana jest dzisiaj za nawoływanie do wojny, zagłady i zniszczenia. Można w tym upatrywać budujący dowód wzajemnych związków burżuazyjnej bazy z jej nadbudową ideową.

Otóż zeszłoroczny laureat utrzymuje, że nowa wojna opłaci się ludzkości, bo zniszczeniu ulegną przede wszystkim „kraje barbarzyńskie", które rzekomo nic do kultury nie wnoszą i nie mogą konkurować z krajami tzw. cywilizacji atlantyckiej. Ma tu na myśli i skrzętnych Czechów z koronkowej Pragi, i chińskich majstrów jedwabniczych z miast grubo starszych i piękniejszych niż Chicago czy nawet Londyn, i — oczywiście — nas, mieszkańców nowej Warszawy i starego Krakowa. Przede wszystkim zaś — przedstawicieli narodów Związku Radzieckiego.

Przyczyny i źródła podobnych koncepcji są aż nazbyt dobrze znane. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że ilekroć przyprze się do muru propagatora nowej rzezi, zasłania się on tezami o zagrożeniu kultury i oznajmia, że wszystko, z bombą atomową włącznie, dozwolone jest w obronie przyszłości myśli ludzkiej, której postępowi przeszkodzić miałoby — sławetne wschodnie barbarzyństwo. Wyważaniem otwartych drzwi jest polemika z mitem rzekomej różnicy i przepaści między Wschodem a Zachodem, — mitem głoszonym przez wszystkich imperialistów i szowinistów, przejętym w spadku pohitlerowskim przez dzisiejszych szermierzy „kultury atlantyckiej". Warto jednak przypomnieć raz jeszcze, że nie ma dla burżuazji mniej wygodnego współzawodnictwa ze zwycięskim proletariatem, niż rywalizacja w dziedzinie kultury. Każda nowa konfrontacja tego rodzaju świadczy o coraz większym wyjałowieniu ideologicznym i artystycznym społeczeństw klasowych, i przypomina, że właśnie klasa robotnicza powołana jest do uratowania kultury od zagłady, do zapewnienia dalszego rozwoju wszystkim wartościowym zdobyczom ducha ludzkiego. Celem socjalizmu jest przecież otwarcie nieograniczonych możliwości dla ludzkiej myśli, sięgającej po coraz to nowe zdobycze.

Warto przypomnieć, że jednym z pierwszych aktów rządu radzieckiego po Rewolucji Październikowej było utworzenie wydawnictwa „Wsiemirnaja litieratura", które pod kierownictwem Gorkiego, przy bezpośrednim udziale Błoka, Briusowa, Łunaczarskiego i innych, wydało w ogromnych nakładach większość klasycznych dzieł piśmiennictwa światowego. Działo się to w Piotrogradzie obleganym przez najemników sfederowanej burżuazji, w latach wojny domowej, głodu, moru, stagnacji i braku najniezbędniejszych przedmiotów codziennego użytku. W tym samym czasie Włodzimierz Iljicz Lenin pisał: „...Nigdzie masy ludowe nie mają takiego zainteresowania dla prawdziwej kultury, jak u nas; nigdzie zagadnienia tej kultury nie są stawiane tak głęboko i tak konsekwentnie, jak u nas".

Ilia Erenburg w jednej ze swoich przedwojennych powieści opowiada: „...Podobnie, jak powstańcy z gołymi rękoma rzucają się na warowne arsenały, tak samo zaraz po skończonej wojnie rzuciła się Rosja na twierdze bibliotek, na podręczniki ekonomii politycznej, czy elektrotechniki, na elementarną arytmetykę i dialektykę Hegla, na kursy agronomii i drugi tom „Kapitału"; przypuściła szturm do tych „Perekopów", opasanych drutem kolczastym niezrozumiałych terminów. Niechaj czarni pesymiści ogarną myślą wspaniały obraz tego milczącego ataku. Czyż widok narodu, zajmującego z zapałem miejsce na ławie szkolnej, nie jest tysiąckroć wspanialszy od wszystkich historycznych Austerlitzów? Uczeni cudzoziemscy, zdumieni, iż w epoce odmrożonych rąk i stęchłej koniny ich rosyjscy koledzy po fachu mogą się pochwalić tak bogatym dorobkiem, winniby pomnożyć to straszne swe zdumienie przez ilość ludności ZSRR, albowiem, w naszym mniemaniu, nie ma istotnej różnicy pomiędzy członkiem Akademii Pawłowem, badającym uporczywie przyczyny odruchów, a jakimś Iwanowem, co staje olśniony wobec prawdziwego cudu tworzenia realnych nazw z tajemniczych znaków".

Zważmy, że proces tu opisany trwa w ZSRR nieustannie od lat przeszło trzydziestu, że został ujęty w karby znakomitej organizacji, że jest z każdym rokiem powszechniejszy i głębszy, że towarzyszy mu ogólny wzrost majątku narodowego i stałe podnoszenie się stopy życiowej, że nic go nie odwróci. Mało już kto ośmiela się przeczyć oczywistości.

Argumentów i dowodów wymaga w tej chwili już nie samo zjawisko szerckiej i nieskrępowanej k o n s u m p c j i kulturalnej w ZSRR. Fakt ten ma widoczne dziejowe konsekwencje. W państwie radzieckim obserwujemy niesłychane

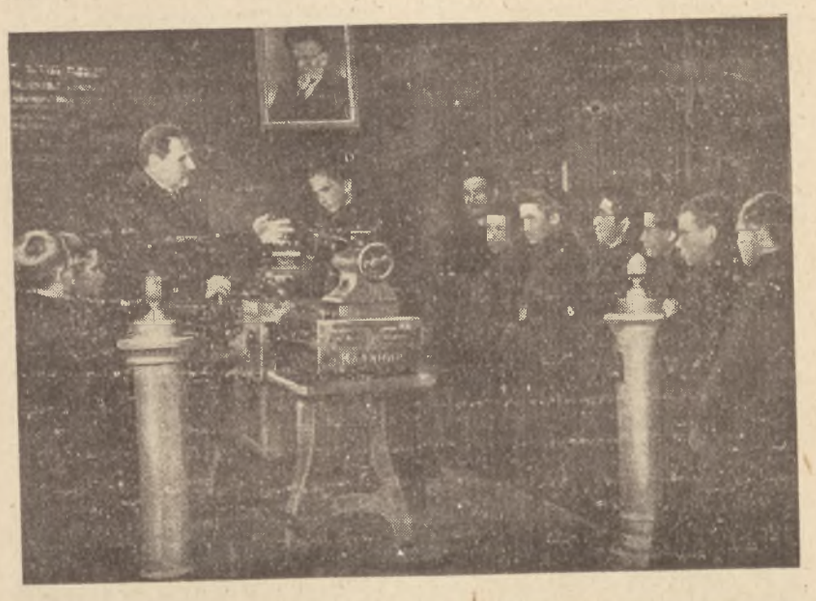

Warsztat tokarski przy którym pracował Michał Kalinin w Zakładach Putiłowskich (obecnie Zakłady im. Kirowa)

wzmożenie t w ó r c z o ś c i kulturalnej. Oświecenie najszerszych mas, przywrócenie im ludzkiej godności, zniesienie upośledzenia narodowego i klasowego, uwolnienie od zabójczego brzemienia bezmyślnej harówki — wszystko to sprawiło, że każdy talent ma granice rozkwitu tylko w sobie samym, że żadna śmiała, piękna i słuszna myśl nie ginie w zgiełku walki o byt, że dzieło artysty, wynalazcy i uczonego uznane zostaje za najcenniejsze dobro.

W społeczeństwie radzieckim po raz pierwszy w dziejach znalazła ujście twórcza siła ludu dotychczas marnotrawiona, tracona prawie wyłącznie na obracanie żaren wyzysku. Lud pracujący — twórca kultury już w pierwszych dziesięcioleciach swojej wolności wydał mnóstwo zdumiewających talentów artystycznych i naukowych, aczkolwiek znaczną część wysiłków zmuszony był obrócić na zaspokojenie palących potrzeb materialnych, wyrównanie braków i rażących błędów przeszłości, na odpieranie coraz groźniejszych napaści zbrojnych.

Właśnie powszechność i stały rozwój twórczości artystycznej, właśnie sukcesy myśli naukowej w Związku Radzieckim są najwymowniejszym dowodem wyższości socjalizmu nad ustrojem burżuazyjnym, który od długiego już czasu stoi na zawadzie nie tylko rozwojowi sił wytwórczych, lecz także rozkwitowi talentów i zdolności, nie znajdujących zastosowania i ujścia w warunkach wyzysku i przemocy. Świadectwem zasadniczych i rokujących najlepsze nadzieje dla całego świata zmian, które zachodzą w społeczeństwie radzieckim są Nagrody Stalinowskie, przyznawane co roku, wedle ustalonej już tradycji, autorom szczególnie cennych prac w dziedzinie nauki, wynalazczości, racjonalizacji pracy oraz literatury i sztuki.

Co szczególną zwraca uwagę, to znaczenie jakie nadaje się w ZSRR sprawie tych nagród. Chodzi tu o świadome i dobitne podkreślenie roli, jaką twórca dóbr kulturalnych gra w życiu społeczeństwa socjalistycznego.

Znamienne, że wśród nagrodzonych w tym tylko roku, wymienia się dwa tysiące nowatorów przemysłu i rolnictwa, dwa tysiące wynalazców. Te dwa tysiące nagrodzonych robotników to czołówka klasy burzącej przegrodę między pracą fizyczną a umysłową. Ci ludzie, to rewolucjoniści techniki, których twórczą robotę nagroda kwituje wedle zasług. Taki Iwan Kartaszew, ślusarz z Leningradu jest wynalazcą kilku nowych maszyn, doradcą technicznym wielu fabryk, ba, wykładowcą wyższej uczelni. Jego projekty i konstrukcje są przedmiotem badań instytutów i laboratoriów naukowych.

Nagrody te mają szczególną wymowę: kiedy czyta się listę laureatów, przed oczyma staje obraz ogromnego kraju, ogarniętego pragnieniem pokoju. Najświetniejsze umysły zajęte są rozwiązywaniem zagadnień budownictwa, melioracji gruntów, lecznictwa, filozofii i historii. To nie są prace z zakresu technologii ludobójstwa. Ci ludzie nie pracują dla nowej masakry.

Mienszow dostał nagrodę za dzieło o szeregach trygonometrycznych, Silin — za badania nad technologią cukrowniczą. Uderzające są komunikaty o nagrodach w dziedzinie nauk lekarskich: prof. Lang otrzymał nagrodę za badania w dziedzinie hypertonii, dr Usijewicz wykazał wpływ stanu kory mózgowej na działalność najważniejszych organów wewnętrznych, Łarionow i Niemiec z Instytutu Onkologii zostali nagrodzeni za odkrycie preparatu leczącego jedną z najcięższych chorób nowotworowych — niezwalczoną dotąd limfogranulomatozę.

Z historyków radzieckich nagrodzony został prof. Maszkin za pracę o pryncypacie Augusta, Potapow — za zbadanie historii małego plemienia ałtajskiego, które, skazane niegdyś przez rząd carski na wymarcie, dzisiaj budzi się do nowego życia.

W 1947 roku ujawniono po raz pierwszy, że rząd Stanów Zjednoczonych zaprzągł amerykańskich uczonych do prac nad przygotowaniem wojny bakteriologicznej. Równocześnie zaś — uczeni radzieccy, na prośbę rządu egipskiego przygotowali i przesłali drogą powietrzną milion dawek wakcyny, która pomogła opanować zagrażającą całemu światu epidemię cholery.

A czołówki lekarzy i badaczy radzieckich, które zdusiły z miejsca także i u nas niebezpieczeństwo epidemii zagrażające po ostatniej wojnie? A Tałyzin i Orłow — dwaj uczeni radzieccy, którzy przemierzyli wzdłuż i wszerz Irak i Iran, likwidując ogniska epidemii, niewygasające od tysięcy lat? W Irackim okręgu Amara miały źródło 22 epidemie dżumy spośród ogólnej liczby czterdziestu, jakie zanotowano w XIX wieku. Uczeni radzieccy przetrzebili ów dziewiczy las najstraszliwszych cierpień, nietknięty, ba, pieczołowicie strzeżony przez miejscowy feudalizm i europejski imperializm w ciągu długich stuleci.

Nagrody Stalinowskie jasno dowodzą, iż nauka socjalistyczna, planowa, kolektywna, zasobna i niezależna od handlu czy filantropii — zdolna jest do rozwiązywania zagadnień generalnych, leżących właśnie na magistralach wiedzy; zagadnienia te są najczęściej kwestiami nie do rozwikłania dla uczonych w krajach kapitalistycznych. Tak np. grupa badaczy z profesorami Skobielcynem i Terleckim na czele zdołała rozwiązać zagadkę tzw. promieni kosmicznych, których istota była dotąd zaledwie przedmiotem sporów i domysłów. Wspomniany już prof. Lang ustalił ostatecznie przyczyny choroby nadciśnieniowej i wyznaczył drogi jej leczenia. Zeszłoroczna laureatka, prof. Lepieszyńska, narówni z uczonymi Boszjanem i Oparinem rozwiązała kardynalną kwestię: mowa o najprostszych postaciach materii żywej; o moście między przyrodą martwą a ożywioną. Odkrycia uczonych radzieckich są nie tylko wymowną ilustracją tez wysuwanych przez filozofów-marksistów. Ich mnogość i znaczenie zawdzięczać należy świadomemu stosowaniu do prac specjalnych ogólnej metody dialektycznej.

* * *

Lud radziecki jest nie tylko twórcą kultury. Jest świadomym twórcą dziejów. Dlatego tak pasjonuje nas literatura radziecka: w jej realistycznym zwierciadle widzimy oblicze przyszłości. Szukamy w tych książkach przede wszystkim losów i przymiotów człowieka radzieckiego, budowniczego komunizmu.

Pisał niegdyś Lenin („Organizacja partyjna a literatura partyjna"): „Będzie to wolna literatura, dlatego, że nie zysk i nie kariera, lecz idea socjalizmu i współczucie ludowi pracy będzie werbowało coraz to nowe siły do jej szeregów".

Istotnie. Problemy pracy, pokoju, moralności socjalistycznej stanowią trzon ideowy większości nagrodzonych dzieł, a obok zasłużonych pisarzy — Gładkowa, Szaginian, Szczipaczowa, Marszaka widzimy wśród laureatów młodzież literacką — Halinę Nikołajewą, autorkę „Żniw", Andrzeja Małyszko — autora tomu wierszy o Ameryce, S. Antonowa, wybornego nowelistę.

Jednocześnie zasługuje na podkreślenie nader znaczna ilość nagród, przyznanych przedstawicielom narodowych republik radzieckich. Gdzież podziały się ochwacone koniki oszczerców, krótkonogie proroctwa o upadku kultury narodowej w ustroju socjalistycznym? Turkmeni nie znali dawniej w ogóle prozy literackiej. Dziś Turkmen — Berdy Kerbabajew po raz drugi zdobywa Nagrodę Stalinowską, tym razem za powieść o nowej kobiecie — „Ajsołtan z kraju białego złota".

Znakomity bajarz z Dagestanu, następca Sulejmana Stalskiego, stary aszug*) Hamzat Cadassa zostaje nagrodzony równocześnie z młodym prozaikiem z okręgu Tuwa — Sałezakiem Toką, którego plemię do niedawna w ogóle nie miało literatury pisanej, ba, nawet alfabetu!

Ukrainiec — Kornijczuk, Tatar — Nadżimi, Gruzin — Mosanwili, Białorusin — Browka, Ukrainiec — Worońko — poeta i partyzant, Azerbejdżanin — Ibrahimow... Formuła Stalina o kulturze radzieckiej — narodowej z formy, a socjalistycznej z treści rozumiana jest w ZSRR jak najkonkretniej.

Nawet pobieżna analiza tegorocznych Nagród Stalinowskich skłania pisarza polskiego do pouczających refleksji. Zadziwia szeroki wachlarz gatunków literackich i artystycznych; nagrodzono powieściopisarzy i poetów, kompozytorów i reżyserów operowych. Wyróżnienie przypadło w udziale i autorom książek dla dzieci: Marszak dostał nagrodę pierwszego stopnia. Nagrodzono także satyryków. Nie pominięto dramatu, historii literatury i krytyki literackiej. Odznaczono też autorów nowych pieśni.

Co szczególnie obchodzić nas winno, to fakt nagrodzenia aktorów — Popowej i Koczariana, specjalizujących się od lat w trudnej i niezwykle ważnej dla literatury sztuce recytacji prozy i wierszy z estrady. Przyjaciel Majakowskiego, Wł. Jachontow uczynił z recytacji najpopularniejszą, najgłębiej w teren docierającą formę propagandy literatury. Warto by i u nas wyciągnięto wnioski z tych faktów.

Co dalej zastanawia — to rozpiętość i rozmaitość stylów literackich. Wśród nagrodzonych są zarówno zwolennicy klasycznej czystości — Samuel Marszak i Stefan Szczipaczow, jak utalentowany towarzysz i uczeń Majakowskiego — Siemion Kirsanow, oraz — bliski mu — Azerbejdżanin Rasuł Rza. Obok — poetka leningradzka — Olga Bergholz, autorka poematu „Pierworosyjsk" — udanej próby epickiej, napisanej w sposób indywidualny i niepowszedni.

Trudno wiedzieć nam cokolwiek o charakterze nagrodzonych przedstawień teatralnych. Jednakże gazeta „Sowietskoje Iskusstwo" zwraca uwagę, że nagrodzono wyłącznie prawie te spektakle, w których punktem wyjścia było ciekawe i wybitne dzieło dramaturga. Jeszcze raz przypomnieć więc warto, że w ZSRR dawno już zdemaskowano kapitulancką teoryjkę formalistów, głoszących rzekomą odległość dzieła literackiego od widowiska, pozorną niewspółmierność tych dwóch stron niepodzielnej całości.

Lektura dzieł, odznaczonych Nagrodami Stalinowskimi przekonywa, że ich mistrzostwo artystyczne z roku na rok się podnosi. Młoda Nikołajewa czy doświadczony Gładkow, Rybakow, Antonow, Bergholz, Kożewnikow, Kirsanow, Sobko, Kornijczuk, Kassil — toż to plejada błyskotliwych talentów! A przecież to część zaledwie odznaczonych i to jedynie w tym roku. Co więcej — literaci radzieccy pamiętają hasło, rzucone przez Aleksandra Kornijczuka: „Nuda — to kontrrewolucja"! Takie powieści jak „Żniwa" i takie filmy jak „Tajna misja" biorą czytelnika czy widza szturmem. To także ważki probierz.

* * *

W zakładach im. Kirowa w Leningradzie stoi w hali fabrycznej szczególny pomnik: zwykły warsztat tokarski, jakich tu setki. Tyle, że ogrodzono go jedwabnym sznurem. Tabliczka na nim informuje, że tu pracował Michał Iwanowicz Kalinin, zmarły przed paru laty przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR, nie tylko mąż stanu, lecz także znakomity teoretyk wychowania komunistycznego, publicysta i literaturoznawca, człowiek przez wszystkich głęboko i po ludzku kochany. Ów pomnik wydaje mi się czymś ważnym i charakterystycznym dla całego układu życia radzieckiego. Jedynie w społeczeństwie socjalistycznym tzw. awans społeczny nie wymaga zdrady klasowej. Jedynie socjalizm daje człowiekowi pracy możność awansu kulturalnego razem z całą jego klasą. Jedynie socjalizm przekształca producentów towaru w świadomych twórców kultury, wynosząc szczególnie utalentowane jednostki na szczyty, niegdyś izolowane klasowo. Socjalizm nie oznacza żadnego uszczuplenia praw inteligencji. Przeciwnie, celem jego jest podniesienie robotników do poziomu inteligentów. Nie ulega wątpliwości, że obecnie twórcy radzieccy są czołówką kultury ogólnoludzkiej.

Jedynie socjalizm unicestwia granicę między pracą umysłową a fizyczną, wyzwalając ją z pęt wysiłku i mobilizując przez racjonalizację i oświecenie mas. Dlatego jedynie w państwie socjalistycznym warsztat fabryczny mógł stać się pomnikiem działacza, twórcy kultury, pisarza. Nie wyobrażam sobie zresztą, by podobnego honoru doczekała się kiedykolwiek lada, przy której Truman sprzedawał pasmanterię i szelki.

Tylko wyjątkowo brali udział w pomnażaniu dorobku kulturalnego ludzkości tacy ludzie, jak Cyrulik Robert Arkwright, wynalazca maszyny przędzalniczej, jak chłop pańszczyźniany — Szewczenko, jak Faraday i jak Edison. Wiekami leżały odłogiem talenty plebsu. Socjalizm wyzwolił energię mas. Wyzwolił dla twórczości. Jest logika natury w tym, że wytwórcy dóbr materialnych stają się dziś w m a s i e producentami skarbów kultury. Tych perspektyw cywilizacji przemysłowej żaden Russell nie przewidział. Są to perspektywy socjalizmu i pokoju.

Jerzy Pomianowski

*) Po turkmeńsku — pieśniarz poeta.

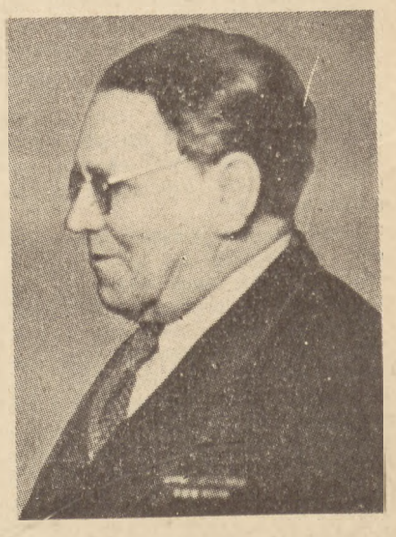

Samuel Marszak

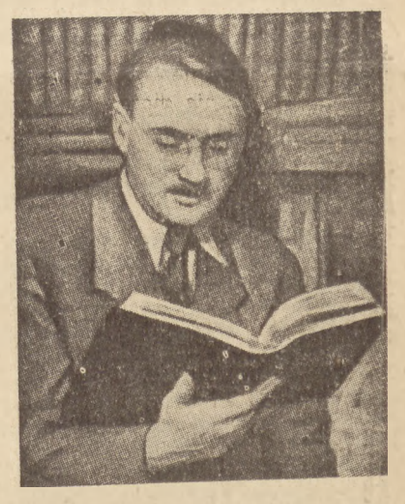

J. P. Terlecki

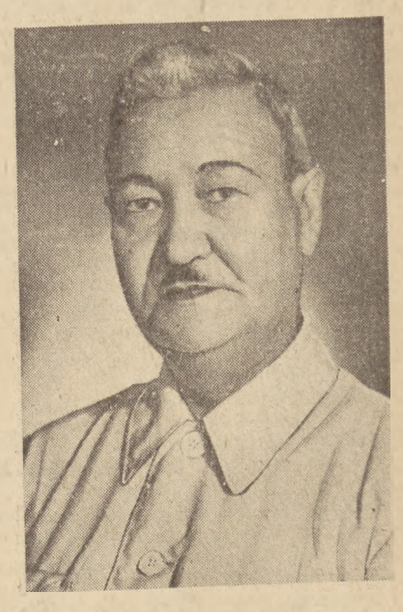

Berdy Kerbabajew

Olga Bergholz

ARTUR MIĘDZYRZECKI

POD OKNEM

Oto okna zmierzchu z drgającą lampą.
Cisza, co zapach ma tynku świeżego.
Ojciec już w mieszkaniu. Z budowy. Stamtąd
Przyniósł nowiny. Opowiada jedząc.

Doszło piętro. Dobrze pomyśleć o tym.
Do jutra, majstrze! Gwiazda papierosa
Lśniła w ręce wracających z roboty,
Smuga dymu z nad warg się uniosła.

Miasto zasypia. Brzeg Wisły mu szumi
Wiatrem z Karpat, ptaka skrzydłem, nowym dniem.
Przez ulicę noc przecieka jak strumyk.
Zasnął stary. Pod oknem gada przez sen.

OMAR — ZSZYWACZ NAMIOTÓW

Kocham cię, ziemio winnic
W łaskawych wiatrów róży —
Śpiewał Omar w gaju oliwnym
Zszywając namiot podróżny.

Nieśli mu w darze za pieśni
Daktyle, wino, korzenie
I kwiat mimozy wczesny
I wzruszone milczenie.

Szył namioty i lekko
Rubayat krążki dźwięczne
Ku pracowitym rękom
Spadały z Drogi Mlecznej

Ale gdy gwiezdne światła
Gasły już Omarowi,
Wpuszczała do domu Fatma
Gołębie ludzkich nowin.

Do miasta na ośle jadąc
Śpiewał Omar o świcie
Ludzką troskę. I radość
Piękniejszą niż mgławice

ANDRZEJ BRAUN

O POEZJI TADEUSZA RÓŻEWICZA

I

Pierwsze poezje Różewicza pojawiły się w druku w r. 1945. Duża szczerość i prostota wypowiedzi, oszczędność i celność słowa, głęboka wrażliwość poetycka wysunęły go od razu na czoło debiutów poetyckich, odcięły wyraźnie od wielu utworów nieporadnych, grzęznących w chaosie sprzecznych wzorów. Łatwo było już wówczas dostrzec silne, mimo wyraźnej od początku indywidualności autora, związki jego twórczości z poezją dwudziestolecia międzywojennego. Formalnie była ona zbliżona raczej do poezji tzw. „awangardy". Jeżeli jednak spojrzymy z obecnej perspektywy na dwa zwalczające się kierunki poezji dwudziestolecia — poezję tzw. „Skamandra" i „awangardę", ich przeciwieństwa okażą się nieistotne wobec wyraźnie pokrewnej tematyki, spojrzenia na świat, postawy społecznej. Zarówno „awangarda" jak i „Skamander" są dla nas dzisiaj dwoma odgałęzieniami tej samej poezji, wyrażającej przede wszystkim ideologię drobnomieszczaństwa w okresie imperializmu i rosnącej faszyzacji Polski przedwrześniowej. Uwaga tej poezji skupiona jest na modnym w tych latach tzw. „szarym człowieku", wyraża jego małe smutki i radości, jego nudę dnia codziennego, od której ucieczki próbuje szukać w bedekerowskiej egzotyce. Poezja ta od łatwego, witalistycznego optymizmu przerzuca się w skrajny, katastroficzny pesymizm. Jej związek z siłami historycznymi jest luźny, reprezentuje ona ofiary ustroju, a nie siły z nim walczące, toteż nawet akcenty postępowe są tutaj jak gdyby zawieszone w próżni.

Dominującym tematem naszej poezji pierwszych lat powojennych, kiedy zadebiutował Różewicz, był temat wojny i wstrząsu jaki wywołała. Mało kto z ówczesnych poetów wyraził tak głęboko ową „obsesję wojenną" jak Różewicz. Poezja jego w tym okresie, kiedy nie mieliśmy jeszcze wielu prób spojrzenia klasowego na minioną wojnę i dostrzeżenia nowej rewolucyjnej rzeczywistości wyłonionej przez nią, rozwijała się w głównym nurcie zainteresowań twórczych i powiedziała na ten temat najwięcej z ograniczonego historycznie, antyfaszystowskiego i ogólnie humanistycznego stanowiska. Przewodni motyw całej jego poezji w pochodzącym z tego czasu tomie — „Czerwona rękawiczka" to odchodzenie od wspomnień wojennych, odchodzenie, które jednak jest tylko deklaracją nie realizowaną w praktyce twórczej.

Stałym motywem jego poezji jest szary człowiek, zmieszany z ekspresjonistycznym obrazem wojny. Wiersze te operują charakterystycznymi nastrojami odjazdu, dzieciństwa, atmosferą samotności, powojennego bankructwa, tak dobrze znaną z literatury mieszczańskiej po pierwszej wojnie światowej (Remarque). Mamy tutaj pomieszanie rzeczy ważnych i drobnych, przedmiotowych spostrzeżeń oraz wynikły stąd chaos obrazów, cechę wywodzącą się z naturalizmu.

W wierszach tych stale przewija się np. motyw inwalidztwa (wiersz „Zaraz skoczę szefie...") i szereg innych. Ukazywanie kalek fizycznych i psychicznych po wojnie jako ciągły temat (wiersze: „Krzywda", „Ze złotej korony") wynika z postawy podobnej do tej, jaką zajmowała literatura mieszczańskiego pacyfizmu po pierwszej wojnie światowej. Różewicz przeżywa obecny okres powojenny tak jak mieszczańska literatura po pierwszej wojnie, a nawet jak obecna literatura zachodnia po wojnie ostatniej. Nie widzi niczego nowego w naszej powojennej rzeczywistości. W wierszach starych staje się wyrazicielem klasy, która utrzymała się jeszcze przy życiu, ale już przegrała, nie ma perspektyw. To właśnie oznaczają nawroty w dzieciństwo, motywy kalectwa, „końca sezonu", zamknięcie się w ciasnych czterech ścianach rodzinnego domu. Takie jest źródło schyłkowości i anachronizmu formalnego jego wierszy.

Obok naturalizmu wyraźnie obserwujemy u Różewicza nawroty ekspresjonistycznej makabry i surrealistycznej groteski (np. wiersz „Opowieść o przedwiośniu"). Do tych zupełnie anachronicznych zabawek w nadrealizm o „fizjologicznej ornamentyce" należy wierszyk: „Plemnik w spodniach". W wierszu o „jatkach" idei rozczarowanie przechodzi z grymasu w jaskrawy nihilizm. Wyjście z kręgu mieszczańskiej beznadziejności w dziedzinę dziwactwa nie jest niczym nowym. Jednocześnie „fizjologiczna ornamentyka" zmysłowo-erotyczna metaforyka święci triumfy „pour epater le bourgois": „wspomnienia jak figurki z rozwartymi na przeszłość oczami z nogami rozchylonymi z ciemnych trójkątów", „ozory i nerki w kubie" etc. Wreszcie widzimy ekspresjonistyczne obrazki-migawki (w rodzaju wiersza „Księżyc świeci"), również z zakresu mieszczańskich „strachów". Oto i komplet eksperymentów sprzed lat trzydziestu.

W „Czerwonej rękawiczce" trwa obsesja myśli, że krwawa wojenna przeszłość uniemożliwia szczęście osobiste (wiersz „Domek z kart"). Dla Różewicza wojna nie miała celu, przyczyn, śmierć była tylko czymś biernym, mającym swoje fizjologiczne oblicze i będącym przecięciem uczuć rodzinnych, synowskich etc. Jednym słowem czymś demobilizującym, nie pouczającym, nie dającym żadnego wniosku, czymś bez sensu. Spojrzenie na wojnę typowe dla mieszczucha: wojna nie jest zjawiskiem społecznym, ani politycznym, lecz takim samym nieszczęściem jak choroba, zatrucie się gazem, czy epilepsja.

Akcent nadziei pojawia się dopiero w wierszu na urodzenie syna, któremu poeta chce powiedzieć, że „świat jest dobry i piękny", chce mu powiedzieć, gdzie jest światłość i ciemność, prawda i fałsz, strona lewa i prawa, aby żył w jasności. Obietnica ta nie jest przygotowana poetycko poprzednimi wierszami w tomiku, wygląda na wybuch spontanicznej, idealistycznej wiary i czytelnik może mieć wątpliwości, czy Różewicz rzeczywiście wie, gdzie jest lewa a gdzie prawa strona. Zresztą w tymże samym, pięknym wierszu autor obiecuje jednocześnie opowiedzieć chłopcu o „Mahatmie człowieku który został wniebowzięty" i o „drobnych urzędnikach którzy budowali dom". Akcenty ufności pojawiają się — rzecz logicznie wynikająca z tego spojrzenia na świat — dopiero z okazji rodzinnego święta — narodzin syna.

II

Świat i ludzie, nawet ich przeżycia psychiczne ukazywane są w wierszach Różewicza od zewnątrz, od strony przedmiotu, ruchów, gestów. Naturalizm, fotografia, behawioryzm? Nie tylko. Weźmy wiersz „Odwiedziny" —

„Nie patrz tak na mnie" —
powiedziała
gładzę szorstką dłonią
przycięte włosy
„obcięli mi włosy — mówi —
patrz co ze mnie zrobili"

„czemu ona tak patrzy myślę
no muszę iść
mówię trochę za głośno"

Mamy tutaj charakterystyczne pseudonimowanie uczuć. Zamiast treści — gest, który ma te treści zastępować. Pogląd, że treści psychiczne są zbyt złożone, aby można je było wyrażać wprost, pogląd tkwiący korzeniami w poetyce symbolizmu. Poezja niedopowiedzeń, technika filmu, obserwacje odruchów zewnętrznych człowieka, naturalistyczne wprowadzanie fragmentów dialogu.

Oczywiście technika ta ma swoje dodatnie strony. Jeżeli temat jest dramatyczny, a tutaj liczne aluzje zahaczają o obozy śmierci, wojnę, wówczas taka dyskrecja, oszczędność i suchość relacji wywołuje poetycki efekt, poruszając zasoby pamięci czytelnika. Siła wiersza tkwi w dotknięciu bolesnych wspomnień a więc w aluzji, nie w tym co zostało powiedziane w samym wierszu.

Weźmy jednak inny wiersz Różewicza: „smutne usta deszczu", „popielate sprzęty w pokoju", „żarliwa pszczoła twych ust", „światła jak złote pszczoły", „światła jak różowe ciała".

Metafory kojarzone są tu na zasadzie dowolnych wrażeń z wyeliminowaniem logiki, łączy je tylko jedność tonu uczuciowego. Krytyk angielski Desmond Mac Corthy pisze o znanym współczesnym **poecie angloamerykańskim** T. S. Eliocie *), że „sprawia wrażenie niemowy, który chcąc dać poznać swoje uczucia, pokazuje rozmaite przedmioty" i że obrazy jego „powiązane tylko jednością tonu uczuciowego, a nie rozumową treścią, przypominają technikę filmową". Zdania te w pełni odnieść można do poezji Różewicza.

Eliot pisze: **)

„Czy powiem, że szedłem
o zmierzchu wzdłuż murów
I patrzyłem, jak dymy unoszą
się z fajek
Samotnych ludzi, wychylonych
z okien?"

„Zamiast tyrady na temat nudnego, beznadziejnego życia ludzi samotnych — stwierdza krytyk — bez zainteresowań itd. występuje symbol. Eliot wykazał, że symbol, stosowany z powodzeniem przez poetów fin de siécle, nadużyty i potępiony w pierwszych latach naszego stulecia, jest wysoce skutecznym środkiem poetyckim. Przywrócił mu prawo obywatelstwa i uczynił go jednym z podstawowych elementów swej poezji. Symbol nie zawsze jest u niego tak prosty i tłumaczący się prawie sam, jak w przytoczonym powyżej przykładzie. Często, choć nie tak często jak symbole natury ogólnej, występują symbole, wymagające interpretacji na podstawie źródeł. Źródeł tych szukać należy w tradycji poezji, w pierwszym rzędzie, rzecz jasna, poezji angielskiej. Są nimi cytaty i świadome przekształcanie wyrażeń użytych przez poetów ubiegłego stulecia".

„Eliot — pisze inny krytyk angielski Stephen Spendor — nie stara się być wiernym własnej indywidualności, na czym polega pojęcie prawdy dla większości współczesnych, ale jest wierny własnej wrażliwości, własnemu postrzeganiu zewnętrznego świata". Innymi słowy: notuje obserwacje. Stąd dziwny tytuł jego pierwszego zbiorku („Obserwacje"). Poeta, notując zaobserwowane obrazy, przechodzi nieustannie z nastroju w nastrój. Odzwierciedla się to w metryce wiersza, zmiennej, dowolnej na pozór, a w rzeczywistości rygorystycznie przystosowanej do tych nastrojów. To samo w słownictwie. Nie ma tu wyrażeń gładkich, polerowanych, „poetyckich". Przeciwnie — zdarzają się typowe „kwargle", są słowa wzięte z mowy potocznej, z ulicy, z restauracji, w razie potrzeby (i to dość często) ze słownika naukowego. Wszystkie służą jednemu naczelnemu celowi: autentyczności wizji".

Czy te wszystkie sformułowania nie są aktualne dla wierszy Różewicza z „Czerwonej rękawiczki" i nie tylko „Czerwonej rękawiczki"? Eliot pisze:

„Bezsenne noce w niedrogich
hotelach,
Restauracje grzechocą
skorupami ostryg:
Ulice ciągną się jak nudny
wykład".

„I to naprawdę będzie czas,
Abym pomyślał „czy się
ośmielę?"
„Czy się ośmielę?"
Czas, by odwrócić się i zejść
ze schodów
Z łysą plamką na głowie —
(Powiedzą: „jakże jemu włosy
zrzedły!")
Mój frak i sztywny kołnierz
pod brodę,
Krawat jasny i skromny, zwykłą
szpilką spięty —
Powiedzą: „ale mu ręce i nogi
zesztywniały!")".

„wymierzyłem swe życie
łyżeczką od kawy,
Znam ginące odgłosy
obumarłych tonów,
Niższych niźli muzyka z tamtego
salonu.

Cóż więc obiorę?
Poznałem oczy, wszystkie już
poznałem.
Oczy, co ci narzucą ustalone
zdanie.
Skoro jestem układny i pnę się
po szpilce.
Gdy przyszpilony wiję się
po ścianie".

Czy te fragmenty nie przypominają wielu wierszy Różewicza?

Czy beznadziejność burżuazji po pierwszej wojnie światowej, która zrodziła „Ziemię jałową" Eliota, nie znalazła wspólnej platformy ze spóźnionymi nutami mieszczańskiej beznadziejności z lat dwudziestych, wskrzeszonymi w jego wierszach? Czy nie znajdujemy tu podobieństwa z atmosferą burżuazyjnej literatury na Zachodzie, powtarzającej po roku 1945 ten sam kryzys, co po osiemnastym?

Do takich zbieżności prowadzi postawa emigracji wewnętrznej, postawa poety, który żyje poza życiem i problematyką swego kraju.

Różewicz dorastał. Przestał mu już wystarczać światek drobnomieszczańskiego miasteczka, wszedł w orbitę ideologii wielkiej burżuazji, której wyrazicielem jest poeta angielski. Tylko nie rozumiał wówczas, że iść należy nie w tę stronę. Nie on jeden zresztą. Te same objawy obserwować mogliśmy w tym czasie u kilku innych poetów, chociaż może nie w tak silnym stopniu. Niestety, krytyka nie potrafiła zwrócić nam na to uwagi w sposób zdecydowany. Nie dostrzegano kosmopolityzmu tej poezji, dopatrywano się u młodego poety „narodowej formy", a jeden z krytyków widział w tych wzorach jedyną drogę dla poezji współczesnej.

Gwoli sprawiedliwości przyznać trzeba, że sam Różewicz zdawał się widzieć niebezpieczeństwa tej sytuacji. W wierszu „Przystosowanie", gdzie przyrównuje siebie do ryby głębinowej, przeniesionej z ciśnienia wojny w mniejsze ciśnienia czasów pokojowych, pisze: „byłem na dnie... oto co wyrzuciła z dna wielka fala, głęboka fala drugiej wojny światowej". „Jestem skórą nieznanego człowieka, którego wnętrzności rozniosły szczury po śmietnikach świata. O! wory skórzane z których ucieka woda żywa spóbujcie się napełnić jeszcze raz". Widzimy tu jakąś próbę krytycznego spojrzenia na siebie, świadomość, że trzeba inaczej.

Jednakże na najlepsze osiągnięcia poetyckie Różewicz zdobywa się wtedy, gdy odrzuca cały balast małomiasteczkowego światka i grymas wynikającej z tego światka i mającej go prowokować naturalistycznej groteski, fizjologicznej makabry, czy wreszcie eliotowskiej pseudofilozofii dekadenta. Kiedy zachowuje te zdobycze swojej poezji, które są cenne, twórcze i godne podziwu, jak zwięzłość, prostota, szczerość, wreszcie gdy wyraża przy pomocy tych środków **uczucia powszechne i typowe** w tej epoce i w tym kraju, uczucia wiary i ufności. Wtedy powstają takie perełki liryczne jak wiersz „Jak dobrze".

Świat poezji Różewicza, to świat drobnomieszczaństwa. To nie tylko sceneria, realia, rekwizyty, metaforyka, uczuciowość i światopogląd drobnomieszczaństwa po pierwszej wojnie światowej. To poezja **dla** drobnomieszczaństwa, wszystkie grymasy, groteski, smaczki i prowokacje, przeznaczone są dla epatowania burżuja, co prawda nie rewolucją, ale naturalizmem — i tylko w stosunku do tego czytelnika mogą spełniać zamierzoną przez autora rolę. Wydaje się, że wiersze te powstały (w większości) po 1918 roku. Nie ma w nich śladu, w żadnej dziedzinie, polskiej rzeczywistości po roku 1945. Nie ma realiów, problemów i uczuć ożywiających ludzi po 1945 roku w Polsce, w której dokonuje się rewolucja.

Różewicz przeprowadza rekonwalescencję z porażenia wojennego, ale teren i środowisko, w którym ją przeprowadza, jest najmniej sprzyjający. Światek drobnomieszczański nie uleczy człowieka z kryzysu, z poczucia beznadziejności, nie odpowie na pytanie: „dlaczego?", i „co robić dalej?". Uleczyć może tylko związek z nurtem, który tworzy historię i lepszy świat, z nurtem walki klasy robotniczej o socjalizm. Uleczyć może tylko dostrzeżenie innego świata, tego, który nadchodzi. Ani śladu tego świata nie ma w „Czerwonej rękawiczce". Zainteresowanie tym światem pojawia się dopiero w „Pięciu poematach".

III

Wprawdzie już w „Czerwonej rękawiczce" mieliśmy wiersz „Krtań wolności", poświęcony bojownikom o wolność Hiszpanii, w którym po raz pierwszy u Różewicza mówi się o „umieraniu za słuszną sprawę", ale wiersz ten, wzorowany na Eluardzie, operuje ogólnikami i nie precyzuje tematu. W „Pięciu poematach" próbuje autor, dostrzegłszy, że istnieje świat realny, historyczny, wykraczający, poza drobnomieszczańskie miasteczko, zrewidować swoją poezję, zastanowić się nad przydatnością jej do wyrażania nowych treści (Wiersz: „Wyznanie"). Różewicz zastanawia się, że klasa robotnicza nie jest „szarą masą, która świeci pod ulewą potu". I ten właśnie problem jak widzieć i wyrazić artystycznie istotne siły rzeczywistości, jak stworzyć jej realistyczny obraz, będzie dla Różewicza, tak jak i dla większości polskich poetów, problemem centralnym. Tymi usiłowaniami Różewicz wychodzi z kręgu emigracji wewnętrznej i włącza się w walkę o kształtowanie oblicza przyszłej literatury Polski socjalistycznej.

W „Pięciu poematach" mamy jeszcze ślady wojny. W dwu wierszach napisanych pod wrażeniem pobytu w muzeum oświęcimskim „Warkoczyk" i „Rzeź chłopców" powtarzają się akcenty „porażenia wojną", w tym wypadku jednak całkowicie uzasadnione i oddane przy pomocy realistycznych środków artystycznych. Tak widzi się to w muzeum, gdzie drobne ślady uprzytamniają ogrom zbrodni. Mamy jeszcze wiersze w rodzaju „Karnawału 1949 r." czy „Skrzydeł i rąk", w których nie ma nic z realizmu, z obrazu życia w roku 1949. Mamy jednak szereg wierszy poruszających konkretniejsze tematy. W „Balladzie o karabinie" widzimy akcenty antyimperialistyczne, realność historyczną. W wierszu „Nie kładź mi rąk na sercu" jest już obraz walki klasowej — śmierć komunisty (z nazwiskiem i nazwą wsi) zatłuczonego kijami. Świat rzeczywisty wymaga już operowania nazwą, konkretnym miejscem. Wiersz „Wola" to także konkretny obraz nowych gatunków winorośli wyhodowanych przez bolszewików w Azerbejdżanie. Nowość czasów próbuje Różewicz ukazać poprzez kontrast, przez spojrzenie staruszki (wiersz „Nowe słońce"). Staroświecczyzna ciągnie. Większe sprzeciwy budzi wiersz „Widzenie i trwoga spryciarza". Różewicz staje już na stanowisku wyszydzania tego środowiska, z którego dotychczas czerpał tematykę. W satyrze tej, ukazując robotników oczyma mieszczucha, można pozostać przy karykaturze tych robotników, nie trzeba ukazywać ich prawdziwie, co byłoby dużo trudniejsze. Robotnicy ci rzeczywiście wyglądają jak blaszane figury na jarmarcznej strzelnicy. Różewicz ukazuje ich jako roboty, które rozdeptują wszystko na swej drodze. Powtórzenia w wierszu mają wywołać to wrażenie automatyzmu robotów „z czerwoną gwiazdą w głowie"(?!). Oczywiście nic bardziej fałszywego. Ten sam satyryczny ton mają utwory „Wieża z kości słoniowej", Głowa w próżni". Szydzą one, słusznie, z inteligentów i twórców, którzy oderwani są od mas ludowych. W sumie są to wszystko obrachunki, kajanie się inteligenta. Wiersz „Odpowiedź" jest takim obrachunkiem z własną poezją. Różewicz dostrzega już realny świat Polski Ludowej — z innej poezji chce zrezygnować. Czuje tęsknotę za światem ludzi pracy, ale widzi tych ludzi tak jak ludzi z Marsa („Skąd smutek"):

„Na ulicy jest już ciemno
słyszę głosy dziewczyn
nie dotknę ich włosów
ani rąk Palce ich są nieznane".

„Muszę się od nich dowiedzieć
czy lubią gruszki czy jabłka
Muszę się od nich dowiedzieć
co wiedzą czego nie wiedzą".

Dziewczyny, robotnice, są dlań czymś egzotycznym, chciałby ich dotknąć, przekonać się o ich realności. Oczywiście takie wiersze w 1950 roku muszą irytować i śmieszyć. Co gorsze, mamy w poezji Różewicza stałe nawroty dawnych obciążeń i pseudopoetycznego śmietnika. W „Elegii prowincjonalnej" występują znów eliotowskie nuty:

„Jakże mi się chce śmiać z tych
którzy nie widzieli
czerwonego dywanika nad moim
łóżkiem a mówią
życie życie". „Oto ja który
poznałem prawdę zakrytą
przed wami poznałem złą
tajemnicę rozwieszoną
między ścianą i moim obliczem".

Filozofia Tajrezjasza z „Ziemi jałowej" w połączeniu z surrealistycznym dziwactwem: „żona jest jak ręka lewa albo sufit albo gwiazda".

Dalej te wszystkie „rozmowy", strzępy wulgarnego dialogu — wszystko to Eliot. Wraca atmosfera szczurów, pająków etc.

„Chmury z włochatymi gębulami
wałęsają się w trawach
tu trawy ze śpiczastymi pyskami
węszą jak psy".

A Eliot:

„żółta mgła, co ociera się tyłem o szyby, żółty dym, co ociera się mordą o szyby, sadzę z kominów zbiera na odwłoku, wałęsa się po wzgórzach, zrywa się do skoku".

Wreszcie „ślepa uliczka", „uliczka kota w worku". W „Scylli i Charybdzie", historii amerykańskiej, obok „robaczywej" groteski, niby to szydzącej z imperializmu, gdzie powtarza się niebezpieczny, miłoszowski chwyt porównywania społeczeństw do mrówek, mamy domek weterana, który wrócił z wojny, motyw inwalidztwa, zdrady małżeńskiej etc., mocno przypominający „grę w szachy" z „Ziemi jałowej". Znowu ponadczasowa poezja kołtunerii.

„Na stole leży „Ekspres"
z nagłówkiem „Nieboszczyk
w czerwonej galarecie, dziecko
utopione w klozecie!"

Oczywiście „Ekspres" przedwojenny, a więc weteran wrócił z pierwszej wojny światowej, a więc atmosfera sprzed 30 lat, względnie atmosfera współczesna, ale nie u nas, lecz na zachodzie, gdzie królują poeci w rodzaju Eliota.

W „Głosach" wspominaniem wojennej makabry Różewicz jeszcze raz chce usprawiedliwić swoje strachy i obserwacje poetyckie.

Ale kiedy cytuje fragment z „Próżnych ludzi" Eliota:

„Suche nasze głosy
kiedy szemramy
cicho i naiwnie
jak wiatr w wyschniętej trawie
lub szczurze łapki w rupieciach
naszych pustych piwnic"

cytat ten tak organicznie wrasta w wiersz Różewicza, że cudzysłów staje się zbędny. Różewicz już całkowicie opanował styl szczurzo-beznadziejnej poezji angielskiego dekadenta.

„kręcą się dokoła na
kręgosłupach
obracają płaskie twarze na
kręgosłupach
wieje wiatr wieje wiatr

przyciskam powieki

piszczą mają oczy rozbiegane
miękkimi pyskami dotykają
mojego serca".

Dopiero w poemacie „Gwiazda proletariatu", poemacie pisanym na zamówienie społeczne, Różewicz odchodzi od problemów anachronicznych, ideologicznych i formalnie dla nas obcych. W poemacie tym nie ma oczywiście generała Świerczewskiego, ale jest Różewicz, ukazany z dużo sympatyczniejszej strony. Pisze on tam:

„...Każde słowo mojego wiersza
może być użyte przez żołnierza
i robotnika
w czasie wojny w czasie pokoju
w czasie pracy i w czasie
posiłku
Tym językiem można opowiadać
o zdarzeniach historycznych
bogach bohaterach
a można też mówić o planie
sześcioletnim
o elektryfikacji wsi wydobyciu
węgla
o troskach i radościach życia
powszedniego
naszej Ojczyzny
która jest jak kwiat i chleb
Był prosty jak prawda
Czy mam opiewać jego czyny
językiem neoklasycznych
poetów

Przy wierszach o tematyce współczesnej widzimy inne niebezpieczeństwo, typowe nie tylko dla Różewicza. W tych wierszach widzimy gwałtowny spadek poziomu artystycznego. Wiersze te tracą wszystkie rygory artystyczne, stają się po prostu fragmentami artykułu, ginie obraz poetycki, metafora, staje gadulstwo i frazeologia, widzimana graficznie w kształcie wiersza. Różewicz wykpiwa się cytatami, metodą niezbyt szczęśliwą. Cytuje surowo listy skazanych na triotów greckich. Czasem w mniejszym, poetyckim kontekście wkłada w usta kołchoźnikom beckim fragmenty z Szekspira (w emat „Gołębie, ptaki łagodne"). Widać tu jeszcze bezradność wobec nowych tu artystycznego wobec nowych treści, mimo pięknych i celnych ści, mimo pięknych i celnych tli tego poematu. Imperializm ukazywany jest zbyt często w postaci apokaliptycznej bestii. Ciągle na Różewiczu jego fizjologiczna metaforyka. Za dużo tu kosmicznej z jednej, a sielanki baśniowo-socjalistycznej z drugiej strony. Różewicz nie widzi jeszcze walki klasowej w każdym fragmencie rzeczywistości, nie umie pokazać konkretu. Imperializmowi poeta chce wbić w krtań nóż do rozcinania kartek (przypomina się mały tatuś-buchter w „Kwiatach polskich"). Tema, który ogarnięty rewolucyjnym buntem, zalewa czerwonym atramentem księgi kasowe swoich wyzyskiwaczy chlebodawców).

IV

Ostatni tomik Różewicza „Człowiek który idzie", najszczuplejszy, jednocześnie najuboższy poetycko, chociaż ze względu na temat i postawę autora stanowi cenny krok naprzód w jego ewolucji ideologicznej. Tutaj już niemal wyraźnie operuje Różewicz wyobrażeniami ze świata realnego, a jednocześnie, nie zatracając swej osobowości poetyckiej i przez pryzmat osobistych uczuć wyraża (w przeważającej części) uczucia powszechne, historycznie typowe, umie syntetyzować obraz świata postępowego świata ucisku, umie je sobie przeciwstawiać. Do takich utworów należy wiersz otwierający tom „Wyszy tak drogo okupionej". Atmosfera szczęścia rodzinnego jest tylko czymś wynikającym z atmosfery kraju. Pokazane jest uwarunkowanie losów jednostkowych sytuacją polityczną. W utworach „Wo oczami", czy „Nie śmiem" poeta stwierdza: „wrastam w życie coraz głębiej i szerzej" i „mocniej kocham ziemię". Zdaje sobie sprawę ze słabości swojej poezji: „tam gdzie trzeba krzyczeć mówię szeptem", „stare wiersze opadają ze mnie jak nowych nie śmiem jeszcze marzyć". Jest to kryzys, ale zdaje się kryzys wzrostu, wynikający z uświadomienia sobie zadań stojących dzisiaj przed poetą, a nie braku tych zadań. Dlaczego mówić trzeba o ubożeniu poezji Różewicza? To ubóstwo wyszło na jaw w zestawieniu z zadaniami poezji socjalistycznej, które Różewicz tutaj dopiero przyjmuje za swoje. Tutaj ujawnia się jałowość takich tradycyjnych obrazków poetyckich jak: „Powrót z Jordanu", „Odkrycie pierwotnych form w ołtarzu Wita Stwosza" (motyw symboliki tematu), pejzażyków w rodzaju wierszy: „Wodospad" i „Pejzaż". Dlaczego? Dlatego, że to statyczny opis, migawka prawie właściwie prozą. Poezja realizmu socjalistycznego nie powinna pociągać za sobą rezygnacji z konstrukcji poetyckiej, z konstrukcji. Szczególnie rażą także w ostatnim tomie Różewicza wciąż jeszcze powtarzane obietnice, odejścia od przeszłości, będące w gruncie rzeczy powtarzaniem się obsesji wojennych wspomnień. Rażą nie dlatego, że ktoś wątpi w głębię przeżycia przez lat przez Różewicza, ale dlatego, że dzisiaj w roku 1951, wezwanie „odwróćmy od przeszłości nasze oczy", może być zrozumiane tylko jako skierowane do mieszczańskiego czy inteligenckiego czytelnika, a poeta musi pamiętać, że do tej pory nastąpiły przesunięcia klasowe w masie czytelniczej.

Czytelnik dzisiejszy, klasa robotnicza, jeśli zwraca się ku przeszłości to po to, by czerpać z jej postępowych tradycji siłę do przyszłej walki, czytelnik ten nie żyje obsesją wspomnień.

Tematykę socjalistyczną porusza w wiersze węgierskie. Można mieć duży żal do autora, że „troskliwość robotniczą o wspólne" dostrzegł dopiero w Budapeszcie, tak samo jak budownictwo mieszkań robotniczych czy dzielnice fabryczne, które rymi oddycha miasto.

Można by też i do tych utworów skierować zarzut braku poetyckich rygorów: są one właściwie prozą felietonu, a często i artykułu z gazety. Dalej zarzuty uczucia od tematyki polskiej, z tym, że godzą one nie tylko w Różewicza, ale także w wielu innych polskich poetów współczesnych. Są jedna-

(Dokończenie na str. 11)

*) Cytuję za artykułem Władysława Dulęby: „Poezja T. S. Eliota" „Znak" nr 14 (1948) r.

**) Cytata z tego samego źródła.

ADOLF SOWIŃSKI

O postawie moralnej lekarza

Socjalizm stawia lekarza we właściwej sytuacji moralnej, ukazującej w pełni ludzkie piękno tego zawodu. Lekarz staje się sługą ludu, któremu — jak każdy z nas — zawdzięcza wszystko i któremu winien odwdzięczać się za każdym kroku. To wysoko ceniony i dlatego podlegający kontroli pracownik społeczny. Nieprawdą jest, że bramy szpitali i klinik są zamkniętym królestwem „czystej" wiedzy medycznej. Za bramami szpitali i klinik, nie mówiąc już o zaciszu domowych gabinetów lekarskich, działa normalny człowiek z wszystkimi swymi zaletami i wadami. Człowiek, który krytykę czyli samoobronę społeczną powinien traktować jako wyciągniętą do niego braterską dłoń. Bo bez kontroli społecznej może zagubić się w błędach człowiek najuczciwszy pod słońcem.

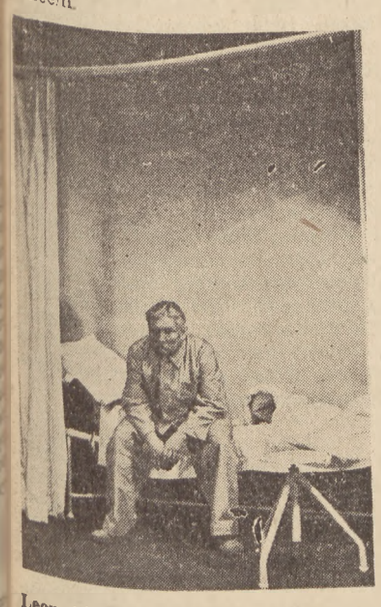

Leon Pietraszkiewicz w roli racjonalizatora Jesionka

Tym właśnie zagadnieniom poświęcona jest sztuka młodego lekarza, Jerzego Lutowskiego, pod tytułem „Próba sił", grana obecnie w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Jej wyraźne słabości artystyczne, o których krótko powiem na końcu, usuwają się zdecydowanie w cień wobec trafności i świeżości, którą autor wykazuje w postawieniu samego zagadnienia. Przedstawiając tę cząstkę naszego współczesnego życia społecznego, która obejmuje pracę lekarza, sztuka trzyma widza w napięciu od początku do końca. Koniecznie powinni obejrzeć ją wszyscy lekarze polscy. Bije z niej żarliwość nowego w walce ze starym.

Trafność postawienia problemu wyraża się przede wszystkim w powiązaniu pracy lekarza z przemianami ustrojowymi, których bohaterem jest cały naród. Lutowski rozwiewa szkodliwy mit rzekomej ekstrytorialności pracy zawodowej lekarza, chociażby nawet dany lekarz był wybitnym uczonym. Jest nim w sztuce dyrektor kliniki, profesor dr Mokrzycki, człowiek kryształowej uczciwości, w której jednak zamknął się niby w jakiejś kuli z nieprzejrzystego szkła. Nie przeciwstawia się złu, bo albo nie widzi zła albo też boi się zła, zwłaszcza jeżeli zło przyobleka się w pozory działalności politycznej.

Dr Mokrzycki nie miesza się do polityki i dlatego nie widzi właściwego oblicza swych asystentów. Jeden z nich, dr Poręba, członek partii, pokrywa rzekomą działalnością społeczną swe karygodne zaniedbywanie się w obowiązkach zawodowych. Inny, dr Grodecki, uczynił z podległej mu sali klinicznej dominium swych prywatnych pacjentów, a w końcu okazuje się zwykłym zbrodniarzem, który w czasie okupacji zadenuncjował ukrywającego się adwokata żydowskiego, w trakcie sztuki zaś usiłuje pozbawić życia człowieka, któremu znane jest jego okupacyjne przestępstwo.

Kryształowa uczciwość prof. Mokrzyckiego, traktującego mury szpitalne i biały fartuch lekarski jako nietykalne, kastowe czy zakonne (co na jedno wychodzi) tabu, uczciwość przejawiająca się w pełnej tolerancji wobec postępowania każdego z podwładnych — okazuje się zwykłą słabością. Trudno nie dodać, że w takim wypadku słabość jest przestępstwem, skoro stwarza właściwe warunki do popełnienia przestępstwa. Zagubił się w błędach fałszywie pojętej dobroci i wyrozumiałości wybitny uczony i człowiek wielkich zalet serca. Jest to w głównej mierze wynikiem błędnej koncepcji zawodu lekarskiego jako swego rodzaju państwa w państwie. Przekonanie dr Mokrzyckiego, że razem z przywdzianiem białego kitla lekarz staje się nieskalanym apostołem wzniosłej nauki i nikt nie ma prawa wtrącać się do jego roboty, przypomina raczej magię klasową niż postawę społeczną. Lekarz — jak każdy człowiek — potrzebuje pomocy bliźnich, którym sam idzie z pomocą.

Jak autor zaznaczył w tekście swej sztuki i jak to wynika z jej treści, rzecz dzieje się na wiosnę 1950, a więc rok temu. Jest to sztuka na gorąco współczesna, jedna przy tym z pierwszych sztuk scenicznych, które mówią bezpośrednio o zagadnieniach życia bieżącego. Do pokoju asystentów kliniki i do prywatnego mieszkania dr Mokrzyckiego wdziera się polska rzeczywistość, przynosząc z sobą odgłosy trwającej w kraju walki. Odbywa się zaznaczona przez autora w tytule „próba sił". Zarysowuje się wyraźnie układ sił klasowych na danym odcinku społecznym. W postaci zespołu lekarzy kliniki występuje inteligencja polska wywodząca się w przeważnej mierze z burżuazji i drobnomieszczaństwa, jednocześnie zaś występuje w sztuce klasa robotnicza, której bohaterem jest majster giserski Jesionek, reprezentujący pracowitość, entuzjazm, poświęcenie i uspołecznienie człowieka nowych idei. W scenicznym przeglądzie inteligencji polskiej autor trafnymi rzutami wyodrębnia ludzi złych i sprzedajnych, a mimo to niedostatecznie jeszcze w swej nikczemności zdemaskowanych, od ludzi, którzy razem z klasą robotniczą stanęli do budowy nowego życia, wyzbywszy się po drodze wielu wstecznych pojęć. Linia podziału przebiega oczywiście i przez „klan" lekarzy, przy czym człowiek stojący — jak dr Grodecki — na wrogich pozycjach społecznych, ale umiejący doskonale udawać korzystne dla jego oportunizmu cnoty, jest jednocześnie sabotażystą w stosunku do ostatnich zdobyczy nauki, jeżeli to są tylko zdobycze radzieckie. Typ pozytywnego inteligenta starej daty daje autor w doktorze Nowaku, pozytywnego przedstawiciela nowej inteligencji reprezentuje młody dr Czarnota, wychowany już w atmosferze Polski Ludowej.

„Próba sił" koncentruje się na sprawie tłoków samochowych, nad których udoskonaleniem pracuje wraz ze swoją brygadą Jesionek, stary robotnik - racjonalizator. Wysiłki brygady paraliżowane są przez inżyniera Sielawę, który przydziela do doświadczeń zły stop aluminium, przekazując wyborowy metal prywatnemu producentowi Kaliskiemu, na którego żołdzie pozostaje. Wrzód w żołądku sprowadza niebezpiecznie chorego Jesionka do kliniki, gdzie na tle jego leczenia odbywa się egzamin moralny lekarza. Autor wykazuje, że moralna postawa lekarza jest tylko szczegółową pozycją w ogólnej walce ideologicznej, że to co dzieje się w fabrykach, gdzie trwa wysiłek produkcyjny, znajduje swój dalszy ciąg i swe uzupełnienie w klinikach, gdzie toczyć się ma bój o zdrowie ludzi stojących przy warsztatach pracy. Egzamin z postawy moralnej lekarza wypada w rezultacie dodatnio i sztuka kończy się wydźwiękiem pełnego optymizmu. Zdemaskowany został nie tylko wróg w postaci sabotażysty i zbrodniarza. Zdemaskowany został również niemniej groźny wróg wewnętrzny, który działa w duszach ludzi z gruntu uczciwych, skłaniając ich do karygodnej wyrozumiałości i tolerancji wobec zła. Ludzie uczciwi wyciągają naukę ze swych błędów, zdobywają czujność wobec wydarzeń dokonywających się wokoło nich, oczyszczają się i stają się tym samym sojusznikami klasy robotniczej. Linia podziału moralnego przebiega tak samo jak linia podziału klasowego, ukazując na terenie zawodu lekarskiego manowce postawy zwanej apolitycznością.

Aczkolwiek w „Próbie sił" występuje partia i działa sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, chirurg dr Konwacki, to jednak należy zauważyć, że jej rola w dokonywających się na scenie przemianach i przełomach jest raczej słaba. Oprócz dr Poręby, który mógł i potrafił wyciągnąć właściwe wnioski z krytyki partyjnej, większość protagonistów idzie ku lepszemu — by tak rzec — moralnie samopas i doskonali się wewnętrznie na skutek wymowy rozgrywających się wydarzeń, nie zaś na skutek uprzedzającej zło i koordynującej pracę działalności partii. Autor raczej zaznaczył tylko doniosłe znaczenie partii w pracy zakładu, niż pokazał działanie partii w akcji swej sztuki. Dlatego pewnie przełomy pozytywnych bohaterów są jakby niedorysowane i niedopowiedziane, co w szczególności dotyczy dyrektora kliniki, profesora Mokrzyckiego, który — wyszedłszy ze szklanej kuli swych zamierzchłych pojęć o autonomicznym i samo przez się praworządnym królestwie lekarzy-aniołów w białych fartuchach, jak również stwierdziwszy, że za tą autonomicznością może kryć się nie tylko wybujała chciwość, ale i pospolita zbrodnia — nie powiedział nam nic na ten temat istotnego i nie przebył do końca swej drogi rozwojowej. Jego przemiany są nie dość zdecydowane. Dr. Mokrzycki uchyla się od swego ostatniego słowa, od wyciągnięcia ostatecznych wniosków z sytuacji. Może zresztą intencją autora było zaznaczenie, że tak jest jeszcze w rzeczywistości, ale i wtedy należałoby jakoś wyrazić postawę autorską w stosunku do inteligentów, których droga jest jeszcze nie zakończona, mimo że już odgrywają rolę pozytywną.

Podkreśliwszy tego rodzaju niedorysowania treściowe, należy również podkreślić szereg niedorysowań formalnych. Akcja łamie się nieraz w szczegółach fabularnych, w ważnych drobiazgach realizmu scenicznego, których sztuczność zmniejsza u widza poczucie prawdopodobieństwa wydarzeń. Czas trwania pewnych czynności i rozmów jest niejednokrotnie aż symboliczny w swej krótkości, ludzie opuszczają scenę i pojawiają się na niej częstokroć bez dostatecznego uzasadnienia sytuacyjnego, kilka postaci — jak na przykład siostra Jadwiga, nałogowa miłośniczka radia, cyniczny przedsiębiorca Kaliski i złoty młodzieniec Tolo, jego syn — grzeszy obiegowym uproszczeniem i powierzchownością głównych rysów charakteru. W ogóle sztuka Lutowskiego opiera się w dużym stopniu na umownym przeciwstawieniu czarnych i białych charakterów, co nie oznacza oczywiście, że w rzeczywistości takiego przeciwstawienia nie ma, ale sprawą artysty jest dostrzec jego głębokie i najistotniejsze czyli nie zauważone jeszcze dotąd cechy i aspekty społeczne, którymi nie mogą być rzeczy już po wielekroć powiedziane, zaszeregowane i powszechnie wiadome, a tym samym nazbyt elementarne, nazbyt abecadłowe.

Fot. Hartwig

Jerzy Lutowski

chodzi natomiast o rzeczywiste, życiowe ich skomplikowanie, przy którym droga do prawdy jest nieskończenie trudniejsza, ale i piękniejsza, owocniejsza w pouczające i trwałe doświadczenia. Droga sztuki prowadzi poprzez działanie plastycznym obrazem żmudnych walk, jakich nie szczędzi nam wróg, a nie przez płomienny nawet, ale zawsze łatwiejszy i mniej przekonywający dydaktyzm. Na sztuce Lutowskiego można właśnie zauważyć szereg łatwych uproszczeń dydaktycznych. To stanowi tu i ówdzie o jej słabości artystycznej.

Teatr Polski w osobie reżysera Aleksandra Bardiniego dał „Próbie sił" na ogół dobrą obsadę aktorską i dobrą interpretację tekstu. Jan Kreczmar stworzył z roli profesora Mokrzyckiego trafny wizerunek naukowca oderwanego od świata, ukazując zarazem trudności, z jakimi boryka się tego rodzaju człowiek, zanim przedrze się przez gęstą mgłę do żywych ludzi i rzeczywistych zagadnień. W roli Olimpii, żony Mokrzyckiego, wystąpiła Stanisława Kostecka, przeszarżowana nieco na płaską mieszczkę-półinteligentkę, co zresztą wiąże się niewątpliwie z przeszarżowaniem tekstu, który profesora starej daty powinien obdarzyć połowicą o lepszych manierach burżuazyjnych. Zbyt niejasną funkcję w sztuce spełnia „gęsiowata" Maria, córka Mokrzyckiego (Renata Kossobudzka). Miałbym również pewne zastrzeżenia co do doktora Czarnoty w wykonaniu Władysława Sheybala, który z młodego entuzjasty, jednego z najbardziej pozytywnych bohaterów sztuki, uczynił człowieka zimnego, o wiele spokojniejszego od swych starszych i doświadczeńszych kolegów, pewnego z góry swych sukcesów niby wyrachowany szachista. Czarnota w tej interpretacji Sheybala nie budzi w nas sympatji, co w dużym stopniu szkodzi młodemu entuzjaście. Nie widać tu zróżniczkowania sytuacyjnego, skoro dr Czarnota przybiera taki sam grymas uśmiechniętego spokoju w chwili, gdy ciąży na nim podejrzenie o zbrodnie, jak i w chwili, gdy odgrywa rolę (niepotrzebna zresztą wstawka farsowa) pewnego swych sukcesów amanta.

W pozostałych, trafnie ujętych rolach wystąpili: Andrzej Bogucki (dr Grodecki), Zofia Małynicz (dr Aniela Kruczkiewicz, jedna z lekarzy-asystentów prof. Mokrzyckiego), Mieczysław Milecki (dr Poręba), Tadeusz Woźniak (dr Nowak), Maciej Maciejewski (dr Konwacki), Krystyna Borowicz (siostra Jadwiga), Jan Ciecierski (Meisels, adwokat-Żyd, zadenuncjowany w czasie okupacji przez dr Grodeckiego), Franciszek Dominiak (przedsiębiorca Kaliski), Wieńczysław Gliński (Tolo), Stanisław Żeleński (inż. Sielawa), Leon Pietraszkiewicz (racjonalizator Jesionek) i Marian Łącz (Klejonka, młody robotnik z brygady Jesionka).

Pierwszy i trzeci akt dzieje się w pokoju asystentów kliniki, drugi — w domu prof. Mokrzyckiego. Celową prostotę w pierwszym wypadku, a właściwą atmosferę mieszczańskich gustów w wypadku drugim, stworzyły dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego. Kierownictwo artystyczne Bronisława Dąbrowskiego.

Adolf Sowiński

„Próba sił" Jerzego Lutowskiego w Teatrze Polskim w Warszawie — scena zbiorowa

Pierwsze koncerty festiwalowe

(Dokończenie ze str. 2)

Występ „Mazowsza" składał się z dwóch części: pieśni i tańców kurpiowskich, oraz pieśni i tańców regionu rawsko-opoczyńskiego. Obok pieśni znanych już z poprzednich występów znalazło się kilka nowych. Chór śpiewa z godną uznania czystością i bogactwem interpretacji. Natomiast problem akompaniującej orkiestry ciągle jeszcze nie jest należycie rozwiązany. Brzmienie jej ma charakter dość przypadkowy — ani stylizowanej kapeli ludowej, ani też zespołu symfonicznego. Pewne zastrzeżenia budzą także niektóre opracowania autentycznych pieśni — zbyt wyraźnie zbliżają się do „miejskiej" harmonii dur-moll, obcej strukturze polskiej melodyki ludowej. Skąd — by wymienić choć jeden przykład — w pięknej, oryginalnej melodii bandoskiej bierze się w kadencji harmonicznej septymowa dominanta bez prymy? — jeśli to wpływ akordeonu — lepiej tę manierę odrzucić. Autentyzmem, a jednocześnie prostotą tchnie natomiast układ opoczyńskiego oberka. Liryzm połączony z prawdziwie ludowym temperamentem wnoszą pieśni „To i hola", „Pod borem", czy żartobliwe „Kukułeczka" i „Olszyna".

Wspaniale przedstawia się strona taneczna widowiska. Wśród chłopców i dziewcząt widzimy szereg wielkich, samorodnych talentów. Niektórzy z nich już dziś mogliby konkurować z najlepszymi zawodowymi specjalistami od tańców ludowych. Układy choreograficzne Paplińskiego znakomite — bardzo interesujące i piękne w nowych tańcach kurpiowskich („Żuraw", „Powolniak", czy „Mazur"), a także w dawniej już znanych opoczyńskich: w „Tramblance", czy zawsze na nowo porywającym Oberku.

Powtórzenie występu „Mazowsza" odbyło się w poniedziałek 16 bm. W niedzielę zaś (15 bm.) na poranku Filharmonii powtórzony został program koncertu inauguracyjnego.

Wawrzyniec Żuławski

ARNOLD SŁUCKI

ODJAZD

Rano pociąg budził wioskę,
niczym żelazny, czupurny kogut —
tajała w oczach rzewność ojcowska,
jak na wiosnę śnieg u progu

Dwa bochny chleba w tłumoku,
koszula i czosnku pęczek,
pożółkły Pan Tadeusz,
zawinięty w lniany ręcznik.

Unosi się w górę szlaban,
niczym cyrkiel zakreśla koło —
jedzie córka biedniacka
po wiedzę, do miasta, do szkoły.

Rozmokłymi, wiejskimi drogami
walka idzie klasowa —
mówili koledzy w świetlicy
dziewczynie o włosach płowych

co znaczy ZMP i Partia,
jak życie można odmienić,
o tym, że uczyć się, uczyć
biednym przykazał Lenin.

Jeszcze na wsi tuczy się bogacz,
ziarnem upycha komin,
ale wschodzi już wola gromadzka
czerwonym sztandarem nad POM-em.

Mroźą palce o świcie
traktory pokryte szronem,
zdążyły oliwą nasiąknąć
chłopskie kombinezony.

Jedzie dziewczyna do miasta,
gdzie robotnik dla chłopa jest bratem,
w mieście robotnicy i chłopi
jak chlebem dzielą się światłem.

Wróci dziewczyna do wioski,
gdy zakwitną czeremchy i głogi,
by plony ustokrotnić,
by wyżej wspięły się stogi.

By jabłoń rodziła bujniej
płody soczyste i krągłe,
gałęziste szumiały zboża,
każdy kłos — urodzaju chorągiew.

DEZERTER

Podejmowaliśmy go życzliwie,
choć ufać było trudno
oczom, w których czaiła się zdrada,
pieśni zatrutej źródło.

Był tu, o łagodnej twarzy dziecka,
lecz od nienawiści mowa mu rzedła,
nie smakował mu polski chleb
i nasza pieśń powszednia.

I Wisła była mu obca,
syrena o twarzy robotnicy,
młotów łomot i kielni
błyskawica.

I hejnał, który budzi miasta
nowe za fosami wieków,
prostująca się w trudzie
duma i godność człowieka.

I naszej młodzieży śmiech,
zaraźliwy, jak elektryczność,
pieśń, która cegły nosi,
radość, która każe bić się.

O ziemi nowe oblicze,
o budowy słoneczny rozmach
o pokój dla budujących —
o śpiew na linach i krosnach.

Zimnym, wystygłym wierszem
cóż pocznie? — chyba skórę mrozić
muzie niewczesnych wspomnień —
kiedy w hutach i sztolniach,
historii bucha żywy płomień!...

Jest w ojczyźnie praca i chleb,
żelazo w dłoniach nam chrzęści,
i pieśń dotrzymuje nam kroku
w marszu po szczęście.

Dłoń nasza do młota nawykła
i pióro utrzyma łagodne.
naszą przyjaźń tkliwą
i myśl, jak pozdrowienie, pogodną.

Lecz marnieć od naszej wzgardy
tym, którzy pióro i łom
rzucili, z wrogiem w zmowie —
aby podpalić nasz dom.

WITOLD ZALEWSKI

U R O

VI

Ranek znowu zapłonął jaskrawy i suchy; szeroko w krąg słońca niebo zajmuje się jak słoma; nie ma nadziei na deszcz.

Towarzysz R. z Krakowa zagląda do przedziałów, twarz ma zaciętą i przenika ludzi wzrokiem.

— ... towarzysze, ja proszę, żebyście się po robociarsku ustosunkowali do zagadnienia. Zagadnienie stoi tak: w czasie postoju pociągu nie wolno pod żadnym pozorem korzystać z komórki. To nie są śmiechy, towarzyszko Słocina. Ustęp jest tam... — i wskazał dłonią kierunek.

Delegaci myją się przed wagonem, polewają sobie plecy, słońce niczym bibuła wchłania wilgoć; ci, którzy już się ubrali, spacerują po łące koło bocznicy kolejowej; za dużymi, ceglastymi budynkami niebo otwiera się nad błyszczącą jak rybia łuska powierzchnią pszenicy.

— Nie macie racji, towarzyszu Wziątek... — sprzeciwia się Kapała.

Siedzą pod samotną topolą. Kapała jak zawsze zapatrzony gdzieś daleko w przestrzeń, oczy za szkłami przynajmniej przez chwilę nieobecne; Wziątek skupiony, cały mocno wczepiony w to, o czym mowa.

— Ale, poczekajcie, towarzyszu Kapała, szesnaście spółdzielni produkcyjnych założyłem? Założyłem. Żadna mi się nie rozleciała? Żadna. A sposoby, jakich używałem, to moja rzecz; administracyjnego ani żadnego innego nacisku nie było...

— Towarzyszu Wziątek, ja wam powtarzam, ludzie muszą dojrzeć do wyższej formy życia... świadomość ludzka musi dorosnąć...

— Jak bym czekał, aż ludzie dojrzeją...

— Towarzysze, jedziemy! — woła ktoś od wagonu.

Za rampą już czekają ciężarówki. Grupa zbiera się przed wagonem; dookoła krąży Udaczin,* zagania, liczy obecnych. Obok stoi dwóch ludzi w drelichach, oczy im się śmieją przyjaźnie.

— Charaszo... — mówi jeden — pajechali...

Samochody, furcząc, lecą przez stanicę; z ubitej nawierzchni wznoszą się chmury kurzu. Domy świecą jak pestki dyni, w zieleni ogródków, wśród kwitnących słoneczników i poletek swojskich, a dawno tutaj nie widzianych, kartofli.

— Patrzcie, ziemniaki sadzą na działkach przyzagrodowych...

— Jasne. Kartofel u nich rzadkością; na takiej ziemi nie bardzo się udaje.

Domy są budowane przeważnie z kamienia, cegły, albo lepione z gliny.

— Drzewa na budulec tutaj się nie używa... — tłumaczy towarzysz Kapała — jak widzieliście, towarzysze, lasów na Kubaniu właściwie nie ma; dopiero stalinowski plan przeobrażenia przyrody zaopatrzy ten kraj w drzewo.

Domy mają dosyć płaskie dachy z blachy lub z trzciny, są niskie, kwadratowe, przeważnie rozległe, o kilku oknach na jednej ścianie z malowanymi okiennicami, z ganeczkami.

Więsyk kręci się na ławce, chce wszystko chwycić wzrokiem. To, co widzi, topi w nim resztki lodów, krzepi pewność i poczucie słuszności sprawy; tak jak w Siewierskiej, tak jak pod Krasnodarem, nie ma żadnego śladu ubóstwa, wszędzie świeci schludny dostatek. Jest szczęśliwy, że życie tak potwierdza to, co uczynił, że nadąża za jego krokami.

— Patrzcie... — trąca w ramię Stojka — jakie budynki... — pokazuje nowy, biały dom z zielonymi okiennicami.

Twarz Stojka, zwykle ponura, teraz jakby rozluźniła się w uśmiechu.

Samochody skręciły w boczną uliczkę, kolejno podskoczyły na drewnianym mostku i już pierwszy wtłacza się w kamienną bramę. Przed szerokim gankiem stoi gromada kołchoźników, nad wejściem do domu czerwienieje transparent „Da zdrastwujet narodnaja Polsza", „Zdrastwujtie dorogije gosti".

Siedząc za długim stołem przykrytym czerwonym płótnem, przewodniczący kołchozu opowiada o jego historii, dzisiejszym dniu i jutrzejszych zwycięstwach. Więsyk z nabożeństwem wpatruje się w pobrudzdżoną twarz, bystre oczy, wysokie czoło, które pod świecącą łysiną marszczy się co chwila, jakby chwytało w gęste sieci trudniejsze myśli. Pewność i spokój p r e d s i e d a t i e l a imponuje Więsykowi, widzi tutaj to, czego tak jeszcze brakuje jemu, początkującemu przewodniczącemu: żelazne przekonanie i siłę zawartą w każdym rozważnie wypowiadanym słowie.

Co parę zdań towarzysz Kapała tłumaczy przemówienie. Kuliczkowski (tak się nazywa p r e d s i e d a t i e l) podnosi wówczas wzrok i wpatruje się uważnie w delegatów. Obok Więsyka wierci się młody, drobny kozaczek.

— Dwadzieścia lat u nas przewodniczy, od pierwszego dnia; dobry człowiek; kiedyś był ostatnim parobkiem. U nas kierują sami najbiedniejsi ludzie: sekretarz partii dawniej pasał bydło kułackie...

— Kołchoz im. Woroszyłowa powstał w 29-ym roku, przystąpiło najpierw do niego 13 gospodarstw. W ciężkiej walce klasowej kołchoz stanął na nogi. Do 1 stycznia 31 r. zrzeszonych było 160 gospodarstw. Do czasu wojny był to przodujący kołchoz. Jego roczny dochód przewyższał 2 miliony rubli. Uprawialiśmy 1500 hektarów ziemi ornej, mieliśmy piękną winnicę, duże stada bydła, owiec i koni... W 42-im roku okupant zrównał z ziemią kołchoz. Zburzył zabudowania, spalił domy kołchoźników, zniszczył narzędzia, wytępił inwentarz...

W pokoju zapadła nagła cisza. Więsyk przestraszony widzi, że p r e d s i e d a t i e l o w i słowa uwięzły w gardle, oczy szybko zachodzą łzami; wyjmuje z kieszeni chustkę. Podnosi się Kapała i zaczyna tłumaczyć. Kuliczkowski głośno wyciera nos.

— Wróciliśmy z partyzantki do ruin. Ale na drugi dzień po wyzwoleniu przystąpiliśmy do odbudowy gospodarstwa. Zaczęliśmy z jednym koniem. Już w 46-ym roku kołchoz był dochodowy. Dziś jest odbudowany. Postawiono 68 dużych budowli. Zbudowano domy kołchoźnikom. Ślady zniszczeń zostaną ze wszystkim usunięte w 51-ym r. Uprawiamy 1715 hektarów ziemi ornej. Inwentarz przewyższył już stan przedwojenny. Mamy 350 krów, 700 baranów, 4000 kur, 106 koni.

Głos Kuliczkowskiego znów nabrał siły. Więsyk szybko zapisuje cyfry, ale co chwilę rzuca spojrzenie na p r e d s i e d a t i e l a. Siedzi odsunięty z krzesłem, tylko ciężkie pięści położył na stole i uważnie patrzy na notujących delegatów.

— Dochód kołchozu rośnie z roku na rok. Równo z nim wzrasta dochód kołchoźnika, czyli dniówka obrachunkowa. Na ścianie wisi tablica, która to pokazuje. Proszę, towarzysze, spójrzcie:

Dochód kołchozu	1944 r.	1945 r.	1947 r.	1948 r.	1949 r.
	—	—	2.000 tys. r.	2.100 tys. r.	2.473 tys. r.
Dniówka obrachunkowa	87 kop. i 0,4 kg ziarna	67 kop. i 1,25 kg ziarna	1,20 rub. 1,500 kg pszenicy, 1 kg owoców i jarzyn	3,10 rub., 2 kg pszenicy, 0,5 kg oleistych, 1,2 kg owoców i jarzyn	5,75 rub., 2,700 kg pszenicy, 1,100 kg owoców i jarzyn, 0,4 kg oleistych

— Średnio na każdego kołchoźnika wypadło w 49-ym roku 268 dniówek obrachunkowych, a wyjść do roboty — 216. Nasi ludzie rozumieją dobrze, że pracują u siebie i na siebie. Panuje u nas zasada, że im więcej zrobisz dla wspólnoty, tym więcej masz dla siebie. Dlatego w 31-ym r. zaprowadziliśmy normy dla t r u d o d n i. Wysoko premiujemy dobrą pracę. Jedna rodzina na przykład, złożona z trzech osób, zarobiła przez rok 7900 rubli, 2800 kg pszenicy, 830 kg kukurydzy, 550 kg oleistych i 1200 kg owoców i jarzyn...

— Wierno... — mruczy kozaczek obok Więsyka — Jaszczenki...

— Pracuje się w kołchozie osiem godzin. Jednakże, jeżeli zachodzi potrzeba, pora żniw na przykład, robotę przedłuża się w miarę konieczności. W razie choroby kołchoźnik jest leczony na koszt kołchozu w 30 proc., a w 70 proc. na koszt państwa. Przewodniczący otrzymuje uposażenie w stosunku do uprawionej ziemi i dochodu. Jest ono jednak ograniczone w ten sposób, że na 150 tysięcy dniówek obrachunkowych na cały zarząd może wypaść najwyżej 7 tysięcy dniówek. Zarząd kołchozu im. Woroszyłowa składa się z 9 członków. Najwyższą władzą kołchozu jest ogólne zebranie członkowskie. Co roku wybiera się nowy zarząd. Zebranie ogólne zwoływane jest najrzadziej raz na miesiąc. Teraz, towarzysze, proszę, zadawajcie mi pytania, porozmawiamy...

Więsyk odkłada ołówek. Boli go ręka i pieką oczy od śledzenia krzywych liter. Rozgląda się po pokoju. W drzwiach i w sieni ciśnie się stadko przeważnie młodych, barwnie ubranych kozaczek; na głowach mają bielutkie chusteczki; za nimi czernieją czupryny mężczyzn.

Delegaci nieznacznie prostują kości przy stole.

Pierwszy wyrywa się zadzierżysty dziadek Pietrzak.

— Ja chciałbym, żeby nam towarzysz przewodniczący opowiedział, jak to oni kierują się ze starymi. Ja sam, to choć mi też nie tak daleko do tej adamowej ziemi, ale jeszcze swoje zrobię, u siebie we wiosce spółdzielnię produkcyjną założyłem, no i teraz przyjąłem zobowiązanie, że się przyczynię do założenia jeszcze trzech spółdzielni w naszym powiecie. Ale co inni starsi ludzie, to oni tego ryzyka nie mają, oglądają się, a co tam im kto powie, boją się, że nie będą mieli co jeść w spółdzielni. Więc proszę, żeby nam towarzysz przewodniczący wyłożył tę sprawę...

— I co on tak ględzi? — myśli Więsyk — musi się pochwalić, że założył spółdzielnię. Kogo to może obchodzić, i w ostatku przecież nie on jeden...

— — — — — — —

— Na co trzeba naprowadzić ich uwagę? Przede wszystkim na korzyści, jakie daje chłopom kolektyw...

— Nieprawda, nieprawda, towarzyszu Wziątek... — Kapała zaperzył się — to jest błąd, to jest niedocenianie tej drugiej, pracowniczej połowy duszy naszego chłopa... A ja wam powiadam, towarzyszu Wziątek że ona przeważa, tak, towarzyszu Wziątek, ona przeważa. Trzeba się odwoływać do pracowniczej natury chłopa...

Wziątek milczy, atak Kapały zaskoczył go. Siedzą znów na swoich pryczach po bogatym dniu, w czasie którego zwiedzali pola kołchozu im. Woroszyłowa, jego fermy hodowlane, ugadywali się z kołchoźnikami przy tłustej kolacji w kołchozowym klubie i wreszcie — napełnieni baraniną, rybami, ciastem i winem, ucieszeni rumianym księżycem — wracali do swojego wędrującego domu, słuchając śpiewu szofera - leningradczyka.

— Posłuchajcie, towarzyszu Wziątek... — zaczyna rozsiadając się Kapała — to jest pouczająca historyjka. W 42-im roku jechałem pociągiem z Rzeszowa do Jasła. W przedziale oprócz mnie siedziały trzy osoby; jak się potem z rozmowy dowiedziałem, paniusia była przed wojną dyrektorką gimnazjum w Jaśle, a w czasie okupacji handlowała; mężczyzna też z Jasła, pracował do 39-go jako urzędnik w banku, a teraz rzucało się w oczy, że mu się bardzo kiepsko powodzi; oprócz nich siedziałem ja i chłop w kożuchu, wciśnięty w kąt, który milczał od samego początku podróży. Rozmowa między nami zaczęła się od tego, że urzędnik wyciągnął z plecaka — wtedy się podróżowało z plecakami — kawał okropnego blina z ciemnej mąki. Zaczął to jeść z takim apetytem, ze smakiem, wiecie, jak człowiek głodny... Ja sam w czasie okupacji nawet takiego placka często nie miałem w ustach, więc tylko łakomie spoglądałem, jak gość smakowicie przeżuwa. Ale paniusia coraz to zerkała na niego, jakby zdziwiona. W pewnej chwili gość przestał jeść i powiada: „Pani to się dziwi, że ja takie świństwo jem? przed wojną nie tak się jadało; ale to nic, proszę pani, przyjdzie czas, to jeszcze będziemy jeść tak samo albo i lepiej..." Paniusia zapaliła się do tej perspektywy i zaczęła się rozmowa pełna wspaniałych planów. Widocznie i mnie uznali za godnego komitywy, rzeczywiście miałem to piętno zubożałego inteligenta, więc usiłowali mnie wciągnąć do rozmowy. Odpowiadałem półgłębokiem i nie bardzo do sensu. Chłopa nie zaczepiali. Siedział obojętny i nie wiadomo było, czy słucha, czy tylko tak sobie drzemie z otwartymi oczyma. Tych dwoje dogadało się wreszcie, że oboje są z Jasła. No i zaczęła się rozmowa o lokalu Meinla. Firma Meinla zajęła wtedy w centrum miasta kilka sklepów, położonych obok siebie, połączyła je w jeden wielki, odremontowała i utworzyła takim sposobem piękny lokal. Oczywiście Meinl obsługiwał tylko Niemców, no i zaopatrzony był wtedy jeszcze wspaniale. Tych dwoje zaczęło roztrząsać, jak zużytkować lokal po wojnie. Bawili się cudnie; dyrektorka aż dostała wypieków z przejęcia, urzędnik o mały włos nie udławił się swoim czarnym blinem. Pani żądała dancingu. „Jaki tam będzie wspaniały dancing, wytańczę się za wszystkie czasy, za ten cały ponury postny okres". Urzędnik z początku oponował; był zdania, że lokal nadaje się raczej na reprezentacyjną kawiarnię albo restaurację, godną Jasła; dał się jednak w końcu przekonać, a właściwie porwać temperamentowi swojej partnerki. Już doszli do porozumienia i zgodzili się na dancing. I nagle ten chłop z kąta, jakby budząc się ze snu, przemówił: „A może by sie ta na co inszego zdało... Jużeśta ją raz przetańcowali..." Tylko to powiedział, znów wetknął nos w kołnierz swojego kożucha i zapadł w obojętność.

— Widzicie, towarzysze... — ciągnie Kapała błyskając oczami po słuchaczach — dla mnie kryje się w tym zdarzeniu ziarno głębokiej prawdy. Zawsze w dziejach ludzkość dzieliła się na twórców — tych, co tworzyli dobra — i na tych, co spożywali tylko to, co tamci zrobili. Chłopi są właśnie twórcami. Dla chłopa sens życia zawiera się w pracy, nie w zabawie i nie w używaniu, ale właśnie w tworzeniu dobra. Uważam, że chłop jest nawet skłonny do poświęceń i wyrzeczeń, jeżeli tylko uwierzy, że będzie z nich jakaś korzyść, powstaną dobra gospodarcze, nowe wartości...

— Towarzyszu Kapała... — do przedziału zagląda Materka, który nie słyszał zakończenia powiastki. — I co z tym Meinlem, coście tam założyli?

VII

Z notatek Słociny:

„... jakżem się zapytała, czy do cerkwi wolno zachodzić, roześmiały się i mówią: — Chcesz — chodź, chcesz — nie chodź, nikt ci o to sprawy nie wyda. Był czas — powiadają — kiedy popi krzyża nadużywali, biali atamanowie wieszali naszych na przydrożnych drzewach, a batiuszka, jak na to, błogosławił ich Jezu Krystem. Krew wsiąkła w żyzną ziemię kubańską. Żyjemy teraz nie tak, jak ptaszkowie niebiescy, nie wiada czym; tylko żeśmy się rozrośli na tej ziemi. My ludzie radzieccy; głowy nasze otwarły się dla prawd nowych; ale jeśli wierzysz w istność jakąś poza tym, nikt do twego sumienia kopytami nie włazi..

Tak to sobie dokumentnie zapamiętałam, bo choć nie ze wszystkim to jest dla mnie jasne, ale przecie widzę, że nie od złych ludzi to się rozchodzi, tylko od dobrych.

Do mieszkań wstępowałam, nie do jednego i nie do dwóch. Zapraszali mnie ludzkim słowem, częstowali chłodnikiem albo kwasem, a w jednym miejscu nawet gąsiorek wina postawili. O mieszkaniu kołchoźniczym można powiedzieć prosto: „Izba oczy raduje, bo komora wór zboża czuje..." Nie byłoby tej czystości jaka jest, ani tych kwiatków wszędzie poutykanych, ani tych serweteczek albo poduszek czy wyszywanek ślicznych, żeby w komorze nie wisiały połcie słoniny, nie stały worki pszenicy, cukru i innego dobra. Pokazywali mi i komory, zaglądałam nawet do garnków, co szykują na obiad. A gotują oni na podwórkach, na letnich kuchenkach, bo w taki żar, jak tutaj o porze letniej, to w kuchni kobieta by nie wytrzymała przy płycie. Więc co oni gotowali? A gotowali u jednego kołchoźnika, który pracuje w brygadzie polowej, nazwiskiem Dobrow, i ma rodzinę z żony i dwojga dzieci i starej matki lat przeszło 70, gotowali barszcz na kości baraniej i na drugie danie placek z mąki kukurydzianej dobrze kraszony. Do tego kompot u nich musi być. Zwiadywałam się też, jaki jest los starych ludzi; więc pracować muszą mężczyźni do 50 lat, a kobiety do 45-go roku życia. Kto chce, pracuje dłużej, nawet do stu lat, ale już od tego czasu nie ma obowiązku. Każdy kołchoz 3 procent od dochodu rozdaje na pensje dla swoich emerytów. Ale stary zawsze złapie jakąś lżejszą pracę, to przy drobiu w brygadzie hodowlanej, to gdzieś na podwórzu i tym sposobem sobie dorabia. Jeden staruszek, siwiutki, lat przeszło 70, wypracował przy winogronach 560 dniówek obrachunkowych w zeszłym roku. Latoś odgraża się, że sam siebie przegoni. Jest on odznaczony orderem „Bohater Pracy". W ogóle co do tego, trzeba przyznać, że ludzie u nich nie giną. Ilu tu się widzi inwalidów skrzywdzonych na wojnie, bez rąk, bez nóg, i wszystkich jakoś utkali. Jeden ślepy mężczyzna gra jako artysta na harmonii w klubie kołchozowym, drugi bez nogi jest kierownikiem świetlicy. Na tej kolacji, którą nas ugościli w kołchozie Woroszyłowa, rozmawiałam sobie na boku z jednym dobrze starszym kozakiem. Bardzo był ciekaw, jak my żyjemy i czy długo jeszcze zamierzamy tę naszą indywidualną gospodarkę ciągnąć pod górę. Odpowiedziałam, że co do nas, to już większa część wioski przesiada się z prywatnych wozów na spółdzielcze maszyny, ale dookoła jeszcze ludzie patrzą na dzień wczorajszy. A on mi na to:

„... z początku to i ja darłem koty z władzą radziecką. Byłem średni. Nie tak łatwo dusza odstaje swoich dziesięcin. W 20-ym s... łem przy czerwonym sztand... Lenin powiedział przecie, że p... ską ziemię należy oddać chłop... Och, tutaj boje szły... Esauły i k... zackie kułactwo mocno następo... li. Aleśmy z pomocą robotni... krasnodarskich przemogli. Zie... dostałem — dwie dziesięciny — ... łem na niej ni tak ni owak, ... wtedy zdawało mi się, żem ... szczyt góry wlazł. I kiedy w 29-... partia wzięła kurs na kolekty... zację, jakby mnie kto nożem p... żebro zdzielił. Zdawało mi się, ... ziemię ludziom spod nóg wydzie... ją... Jakże? O co się biłem? ... baran w stadzie, poszedłem do ... chozu; zabrakło mi ryzyki s... przeciw gromadzie. A i nie mog... tego zrobić, bo po tamtej str... byli kułacy, a ja z nimi nigdy. I ... piero życie kołchozowe otworz... moje oczy. Nikt mi ziemi nie ... dzierał; powoli zrozumiałem, że ... dałem swoją część do wspólne... majątku. Pracowałem ostro i ... chód mój rósł szybko. Dziś jest ... brygadierem. Nasze dobro roz... się i moja hodowlana brygada w... suwa się naprzód..

Długo jeszcze mówił brygadzi... ale to, co najważniejsze, zapisała... potem kazał sobie opowiadać, ... żyjemy. Mówiłam o tym i o ... Słuchał chętnie i rozpamiętywał: ... to i u nas podobnie bywało, ... 29-ym, a tak w 30-ym albo 31-... Wesoły człowiek..."

VIII

Na południu cały horyzont za... ka fioletowo-sine pasmo półno... go Kaukazu. Spiętrzone góry ... i ówdzie białą pianką spryskł... błękit. Przed zbity tłum wypchn... się okrągła głowa Papajki w ... nej kubance. Patrzymy wzdłuż ... skiej, szarej jak lont szosy w... cej się przez sfalowane podgó... aż do soczyście zielonych gąszc... w których gubi się wzrok. Od ... żonych szczytów wieje lekki ... much chłodzący rozpalone po... trze. Kiedy zwrócić oczy na ... noc, otwiera się szeroka równ... płaska jak powierzchnia spokojn... morza. Ze szczytu naszego w... gradowego wzgórza bielejące w ... leni domki Krymskiej stanicy p... padły nisko do ziemi, dookoła ... daleko, jak tylko wzrok potrafi ... lecieć, pola zaciągnięte pozłotą ... zielone łany kukurydzy, słonec... ków, jarzyn i pastwisk. Gdzie ... zapadł step?

Winnica, którą oglądamy, zos... założona w 32-im roku, w dwa ... ta po zorganizowaniu kołchozu ... Lenina, na kamienistym nieuży... na którym nic by się innego op... winogron nie urodziło. Dzięki ... szynowej uprawie zdołano zła... opór skały i teraz jasnozielona ... torośl krzewi się bujnie na ... cznych południowych zboczach. ... samego jej zaplantowania aż ... dzień dzisiejszy głównym gospo... rzem winnicy jest brygadier Kli... szczew. Mały, baryłkowaty, z k... stą twarzą zakończoną chwos... koziej bródki, uważnie przygl... się delegatom ciemnymi jak ja... dy oczyma. Nikt by mu nie da... lat, ale też lata owe płoszone k... kiem nienawiści, pędzone str... mi, zachęcane głosami wielkiej ... dowy, przemknęły nad głową ... gadiera jak rysaki, nie zdąży... przygiąć jego pleców do ziemi. ... płóciennej bluzie Klimiszczew ... świeci order „Bohater Pracy".

— To nie za sezonowe rzeczy... tłumaczy jeden z jego pomocni... — W ubiegłym roku dobiliśmy ... 60 kwintali owocu z hektara. ... dziadek ma głowę otwartą i ... zamiłowany w pracy...

Maksym Nikołajewicz Klim... czew od wczesnej młodości zaj... wał się sadownictwem. Po ... objął w posiadanie skrawek ... w Krymskiej. Pieścił tam swoje ... błonie, grusze i śliwy, ale za... nęcił go owoc szlachetniejszy.

*) Patrz „Nowa Kultura" nr 12, 13, 14 i 15.

LESZEK GOLIŃSKI

Wiosna proletariatu

Kwiecień 1936 roku ciepły był i burzliwy. Wiosna triumfującego faszyzmu, wiosna sensacji politycznych stała się jednocześnie wiosną wielkich bitew klasowych, które potężną falą rozlały się po całej Europie. Szpalty gazet przynosiły codziennie nowe wiadomości o strajkach, o demonstracjach, o wystąpieniach klasy robotniczej. W Abisynii faszyści włoscy podchodzili pod Addis Abebę, w Hiszpanii Franco przygotowywał zamach stanu, w Niemczech Hitler montował swoje pancerne dywizje, a jednocześnie mężowie stanu mocarstw zachodnich podróżowali po Europie, zabiegając w gołosłownych deklaracjach o „stabilizację" sytuacji. Coraz szersze kręgi zataczał nowy kryzys ekonomiczny, coraz bardziej potężniała armia bezrobotnych. Zaostrzały się sprzeczności kapitalizmu. Skutecznym antidotum na rosnące nastroje rewolucyjne mas miał stać się międzynarodowy faszyzm, którego wzorem stawał się oficjalnie krwawy reżim Mussoliniego i Hitlera — ostatnia nadzieja ginącego świata.

W kwietniu pan premier Kościałkowski wybrał się z oficjalną wizytą do Budapesztu. Celem jego wizyty miał być pakt z regentem Horthy dla rozbioru Czechosłowacji. Wizyta Kościałkowskiego zbiegła się jednak z wydarzeniami, które wpłynęły na znaczne jej opóźnienie.

Strajk w „Sempericie" krakowskim, 8 robotników zabitych przez policję, wydarzenia w Chorzowie, w Łodzi, w Będzinie, w Augustowie — zelektryzowały gabinet Kościałkowskiego. Kwiecień nie wróżył nic dobrego dla sanacyjno-faszystowskiej kliki, nie przydały się zaostrzenia cenzury, stan pogotowia dla policji, metody zastraszenia i szantażu. Nadchodziły dni gorące, półtoramilionowa rzesza bezrobotnych wyległa na ulice, dopominając się coraz mocniejszym głosem pracy i chleba. Szybko rosła świadomość klasy robotniczej, stawało się coraz oczywistsze, że żaden gabinet, że żadna forma ustroju kapitalistycznego nie przyczyni się w najmniejszej mierze do poprawy sytuacji, przeciwnie, sytuację tę pogorszy jeszcze bardziej. Żądanie pracy i chleba zmieniało się w hasło obalenia kapitalizmu w Polsce.

15 kwietnia 1936 r. staraniem Stowarzyszenia Restauratorów w Warszawie urządzono z wielką pompą „święcone dla bezrobotnych". 800 osób, w tym 150 „zubożałych kelnerów", obdarowano skromnymi paczuszkami, których uprzednio nie omieszkał uroczyście pokropić ks. Krzemiński. W ten sposób panowie restauratorzy pragnęli tanim kosztem uspokoić swoje szynkarskie sumienia. Tego samego dnia w endeckim „Kurierze Warszawskim" felietonista tego pisma Adam Grzymała-Siedlecki pisał w artykule zatytułowanym „Pod światło":

„Oblewa nas już istna powódź nędzy. Statystyka wykazuje zastraszającą ilość ludzi, pozbawionych pracy, a statystyka obejmuje przecie tylko część bezrobotnych, nie obejmuje też tysięcy, cierpiących biedę z innych powodów, nie z bezrobocia: z choroby, z niedołęstwa etc. A każda cyfra w statystyce i poza statystyką — to nie kończące się nigdy, beznadziejne dni niedostatku, niedojadania, rozpaczliwych warunków mieszkania, strzępów, wiszących na ciele zamiast ubrania: każda z niemych cyfr to zdziczenie cywilizacyjne i moralne zaniedbanie dusz w olbrzymich masach społeczeństwa".

Jako środek zaradczy proponuje oczywiście felietonista „Kuriera Warszawskiego" miłosierdzie, kwestę, zbiórkę. Za pomocą blaszanej puszki czy „zegara ofiarności", jaki wystawili mieszkańcy Gniezna na swoim rynku, pragnęli endeccy dziennikarze i klerykalni burmistrze zażegnać nadchodzącą burzę.

Ani jednak kiełbasa świąteczna ani faryzeuszowe dary nie zapobiegły bliskim już wydarzeniom. Tegoż bowiem dnia we wszystkich pismach krajowych, zależnie od ich politycznego zabarwienia, albo na pierwszej albo na dalszych stronach, albo borgisem albo nonparelem — zamieszczony został komunikat PAT-a:

„W dniu 14 bm. we Lwowie w godzinach przedpołudniowych zgromadziła się przed biurem pośrednictwa pracy przy ul. Świętokrzyskiej większa grupa bezrobotnych, żądając zatrudnienia ich. Gdy przedstawiciel funduszu pracy oznajmił bezrobotnym, że na razie fundusz nie jest w stanie zatrudnić większej ilości bezrobotnych, część zgromadzonych udała się do magistratu, usiłując wtargnąć na dziedziniec. Funkcjonariusze policji nie dopuścili do tego. Wówczas część bezrobotnych udała się na plac Akademicki, rozkopany obecnie z powodu prowadzonych tam robót kanalizacyjnych. Sześciu konnych policjantów usiłowało uspokoić gromadzących się bezrobotnych, wówczas jednak na funkcjonariuszów policji rzucono kilka kostek brukowych i kamieni. Oddział policji cofnął się w ulicę Akademicką, a jeden z policjantów w obronie własnej użył broni (rewolweru), dając najprzód 5 strzałów w powietrze, następnie jeden strzał w kierunku atakujących go. W wyniku strzału ranione zostały 2 osoby spośród demonstrantów. Jeden z nich, 23-letni bezrobotny W. Kozak, po przewiezieniu do szpitala zmarł, a drugi z lżejszą raną przebywa w szpitalu".

W rzeczywistości sytuacja przedstawiała się nieco inaczej. Policja zastosowała bowiem wobec zebranych na placu Akademickim robotników swoiste metody „uspokajania". Polegały one na szarży na zebrany tłum, przy czym poszły w ruch gumowe pałki. Kilka osób ... przy tym pierwszym starciu zostało poturbowanych i potratowanych. Wówczas właśnie padły owe strzały, których ofiarą stał się młody ślusarz Kozak.

Wieść o mordzie na pl. Akademickim lotem błyskawicy obiegła miasto. Na ulicach ukazały się wzmocnione patrole policji w samochodach. Z Mostów Wielkich przybyła kompania policji rezerwowej w zielonych mundurach. W razie najmniejszego zgromadzenia na ulicach natychmiast dochodziło do brutalnej interwencji policji. Już 14 kwietnia wieczorem aresztowano kilkadziesiąt osób, głównie w dzielnicach robotniczych, na Zniesieniu i w okolicach Grodeckiej Wojewoda Bialina - Prażmowski zwołał specjalną konferencję, na której omawiano zaszłe wypadki. Nauka krakowska nie poszła w las.

DZAJ*)

morele nie mógł sobie pozwolić. Kiedy ostrzejszej zimy wymarzły mu wszystkie drzewka, musiał zrezygnować z ambicji. W rewolucję zaplątał go przypadek. Dwom noworosyjskim matrosom przystrojonym w czerwone kokardy niesłychanie udały się klimiszczewowskie renety. Ponieważ było im pilno, a droga przez domek właściciela wydawała się zbyt okrężna, trafili bezpośrednio na drzewa. Klimiszczew interweniował, krzycząc pełnym głosem: „Czego drzewa łamiecie? Czyż ja wyzyskiwacz?"

Niepostrzeżenie utarczka przemieniła się w mityng. I tutaj wyszło na jaw, że klimiszczewowskie poglądy niedaleko upadły od programu czerwonoarmistów. Taki był początek rewolucyjnej drogi Maksyma Nikołajewicza. Wielkich czynów w czasie tych gorących lat Klimiszczew nie dokonał; z zadowoleniem wrócił do swojego cichego sadu. Ponieważ nigdy nie był przedsiębiorcą — w owocach kochał się, ale nie lubił nimi handlować — wędzidło, które zaczęło wstrzymywać kułaka, jego nie uciskało. W tych czasach z początku bywało głodno i chłodno, potem nędza spłynęła jak kra na wiosnę; ale szybciej jeszcze niż tony zboża, rosły ludzkie zamierzenia. Klimiszczewowi również jego sadzik wydał się nagle mały jak paznokieć i nie wart zachodu. Gdzieś na północy, nad Wołgą, sadownik dużego formatu, nazwiskiem Miczurin, hodował nowe gatunki, krzyżował jabłoń z gruszą, czereśnię ze śliwą. Otrzymywał owoce o nieznanym smaku, odporne na mróz i zabezpieczone przed chorobami. Klimiszczew z tych dni miał już głowę gęsto ośnieżoną, jego młodość dawno przekwitła. — Brać się do nauki z siwym łbem? — Jeśli się tylko pokazała taka pokusa, natychmiast niszczył ją jak mszyce. — Pójść do pracy w sowchozie albo w wielkim instytucie hodowlanym, których teraz dużo zakładano, tam dorwać się do moreli, do brzoskwini, do winorośli... — Z tą myślą miał więcej kłopotu, ale również dawał jej radę. Klimiszczew niedostatecznie ufał ludziom. Zazdrośnie strzegł tajemnic swojego zawodu. Niektórzy nazywali go czarownikiem, tak dziwne i niezrozumiałe wydawały się jego praktyki sadownicze. W każdym razie przed rokiem 30-ym życie Klimiszczewa zawisło między niespełnionymi pragnieniami a zniechęceniem do skrawka wyjałowionego już sadu. Toteż kolektywizację przywitał jak dobry wiosenny wiatr. Przy tym jednak niepokoił się trochę. Liczył, że teraz powstanie w Krymskiej duży ogród i że znajdzie się tam robota dla niego. Ale o gromadzie ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć w pracy, myślał niechętnie. Ze zmąconymi uczuciami poszedł do kołchozu. Wyklarowały się one po roku, kiedy kołchoz postanowił zakładać winnicę na Ostrej Górze i na brygadiera grupy hodowlanej zebranie ogólne, po krótkiej dyskusji, postanowiło powołać jego — Maksyma Nikołajewicza Klimiszczewa. Z początku powściągliwie udzielał nauk i przez parę lat sprawiało mu przykrość rozstawanie się z każdym wypielęgnowanym sekretem. Ale kolektyw działał. Klimiszczew widział zapał młodych, ich zdolności, pracowitość, ofiarność, wspaniale objawioną podczas ratowania zagrożonego zbioru winogron w 36-ym roku. Niepostrzeżenie w myśli starego sadownika na pierwszy plan zaczęli się wysuwać ludzie. Zrósł się z kolektywem, tak samo jak od początku zrośnięty był z winnicą.

Teraz plantacja zajmuje 36 hektarów południowych zboczy Ostrej Góry i daje kołchozowi niemały dochód. Klimiszczew już się oswoił z gośćmi. Stoi otoczony gromadką delegatów i tłumaczy Materce:

— Pamiętaj, kochany, nawóz kłaść głęboko w korzenie, nie na powierzchni adamowej ziemi... Winogrono roślina szlachetna; moim zdaniem w niektórych rejonach Polski powinno się udawać.

— Ale nie deserowe — wtrąca Materka.

— I deserowe, kochany; tylko trzeba przystosować. Nasz Miczurin powiedział: „Nie oczekujmy łaski od przyrody; wziąć od niej to, co nam potrzebne — oto nasze zadanie..."

Więsyk zna już te słowa. Wbiły mu się w pamięć. Czytał je w każdym biurze kołchozowym, w każdym klubie, wypisane na rozpiętych transparentach. Ale ważniejsze, że sprawdził, jak się do tego hasła stosują w życiu. Wszędzie pólka doświadczalne; na nich agronomowie i kołchoźnicy selekcjonują rozmaite gatunki zbóż, krzyżują, badają i otrzymują z tego ładne rezultaty.

Już prawie wszyscy delegaci skupili się koło Klimiszczewa. Przewodniczący kołchozu, wysoki, smukły kozak stoi opuszczony na boku, prawie sam. Jego szczery uśmiech skurczył się nagle na wargach, ale Ponomarenko opanował się. Zaczyna wesołym głosem nawoływać delegatów do dalszej jazdy.

— Nu, pajechali, pajechali, bystriej, tawariszczi...

Delegaci serdecznie żegnają Klimiszczewa. Brygadier woła za oddalającym się Materką:

— Pamiętaj, kochany, latorośl spryskuj na wiosnę...

Między wysokimi, sięgającymi do pół głowy ścianami pszenicy, delegaci dowiadują się, gdzie zniknął step.

— Tę ziemię zaczęliśmy uprawiać dopiero w kołchozie. Przedtem ugorowała. Oto przed wami, towarzysze, rekordowe pole kołchoźne, a kto wie, czy i nie najlepsze w całym rejonie.

Ponomarenko błyska czarnymi oczyma, jedną ręką odgarnia co chwila niespokojną czuprynę, w drugiej, wzniesionej, trzyma ciężki, szeroki na dwa palce, kłos pszeniczny.

— W takim kłosie znajduje się więcej niż sto ziaren. Możecie sobie urwać na pamiątkę, towarzysze...

Więsyk bada pszenicę skrupulatnie. Słoma gruba, mocna, siane nie za rzadko, kłos jeden w drugi niezwykły, aż trudno oczom przyzwyczajonym do wiotkich strączków uwierzyć w takie grube, wąsate cudo. Ale jest, waży na dłoni jak dobra marchew. Taki kłos, to cztery normalne w jednym. Więsyk jeszcze w Polsce słyszał o pszenicy krzaczastej, ale co innego słyszeć, a co innego zobaczyć własnymi oczami.

— To jest pszenica krzaczasta, tak zwana „Nowoukraińska 83", wyprodukowana przez selekcjonera Łukienkę z naszego kołchozu. Łan ten zajmuje 100 hektarów obszaru. W tym roku zbierzemy tu więcej niż 50 kwintali z hektara.

Delegaci napychają kieszenie kłosami. Od pszenicy przerzucają ich do soczyście zielonych pomidorów, bujnie przykrywających łan 50-hektarowy.

Ponomarenko nie kryje gospodarskiej dumy.

— Oto samo najlepsze pole kołchozowe. Brygada, która tutaj pracowała, zarobiła w przeszłym roku po 600 do 700 dniówek obrachunkowych każdy, z dodatkiem premii w wysokości 700 gramów pomidorów dziennie...

Więsyk ogląda krzaki. Są szeroko rozrośnięte i oblepione owocami.

— Zarobili, bo dobrze pracowali, brygada dała kołchozowi po 70 kwintali pomidorów z hektara.

Ponomarenko, znów przygładzając niesforny czub, patrzy uważnie na delegatów, czy imponująca statystyka robi na nich należyte wrażenie.

— A w kołchozie Woroszyłowa— wyrywa się Materka — to mieli też, zdaje się, 70 kwintali z hektara, tak mówili...

Ponomarenko chwilę milczy.

— W tym roku spodziewamy się jeszcze większego zbioru — podnosi głos — zadeklarowaliśmy państwu 80 kwintali z hektara, a myślimy osiągnąć 125!

W samochodzie Więsyk rozmawia z małym czarniawym kołchoźnikiem.

— Z „Woroszyłowcem" idziemy dotąd łeb w łeb. Oni wygrywają na bydle, ale my przebijamy rośliną. Ten rok musi kogoś wywyższyć — myśmy się zawzięli. Przewodniczący nasz — chłop dobry...

Samochód przecina rozkopaną drogę, po której ciężko pełza kilka ogromnych maszyn wyrównujących nawierzchnię. Kozaczek nawraca do swojego tematu.

— On człowiek dzielny. Z samych najbiedniejszych w stanicy wyszedł. Kiedy zakładali kołchoz, byłem wtenczas nierozumnym pastuszkiem, ale dobrze pamiętam, czyje oczy były zwrócone na Ponomarenkę — prowadził całą biedotę staniczną. On komunista — takiego nawet pożarem nie przepłoszysz...

Więsyk wytrzeszcza oczy. — Spalili?

— Żartów u nas nie było. Kułak zagrał fałszywą kartą, musiał oddać bank.

Na buraczysku, niedaleko drogi, bieleją chustki pielących kobiet. Kiedy samochody mijają je, dziewczęta pozdrawiają delegatów machając rękami. Ranne słońce zaczyna przypiekać, suchy żar unosi się ze spękanej ziemi, tylko chwilami lekki podmuch od gór i od bliskiego morza chłodzi powietrze.

— Żarko... — kozak rozpina kołnierz wełnianej bluzy. — Kobietki zaraz zejdą z pola. W upał nie pracujemy. Wypada odpocząć. Za to po zachodzie słońca robotę nadgoni się... — chwila przerwy. — W tym roku musimy wygrać; woroszyłowcy także nabrali rozpędu, ale w naszych rękach mocniejsze atuty. Oni bydłem, my pszeniczką, oni owcą, my winogronem, oni jarzyną, i u nas pomidorów nie braknie, oleiste mamy także, a przebitka nasza — kukurydza i burak...

Ciężarówka potoczyła się przez most. Wyschnięte, spękane koryto rzeczki, tylko środkiem sączy się leniwa struga. Z szosy skręcili na ubitą glinę i po chwili szary pył wzbił się w powietrzu. Kiedy opadł, samochód stał już obok rzędu drzew, ciągnącego się na kilkaset metrów, a dalej rozbiegającego się w lewo i w prawo.

— Niezłe, co? — krzyknął kozak do zeskakującego Więsyka.

— Przed wami, towarzysze, kołchozowe pasy leśne... — Ponomarenko zatoczył łuk ręką.

I po drugiej stronie biegnie taki sam szpaler. W parometrowej odległości od siebie rosną rzędem dęby, buki, topole, brzozy, klony. Pas jest szeroki na kilkanaście metrów. Najwyżej wyrosły topole, sięgają już ponad głowę Więsyka.

— Zuchy... — gada kozak — jak to wybujały. A u dębu całkiem inna natura, w korzeń rośnie najsampierw i wzrost u niego jak dotąd nieszczególny, ale dogoni...

— Te pasy sadzone były dwa lata temu... — tłumaczy Ponomarenko. — Podług planu wszystkie pola kołchozu mają być otoczone takimi szpalerami; to są tylko pasy kołchozowe; oprócz nich zasadzone już są rejonowe i wielkie państwowe. Lasy te zagrodzą drogę wiatrom wiejącym do nas z Azji, w szczególności temu „suchowiejowi", co przynosi suszę na naszą ziemię. Roślinność leśna ściągnie również więcej wilgoci z powietrza w postaci deszczów... — Ponomarenko przygładza niesforny czub. — W ten sposób realizujemy stalinowski plan przeobrażenia przyrody. Nam nie wystarcza to, cośmy osiągnęli. Naszemu narodowi potrzeba wiele zboża. I my je damy. Nie będziemy, jak Miczurin powiedział, „czekać łaski od przyrody — naszym zadaniem wziąć od niej to, co nam jest potrzebne".

IX

Pokazali nam wszystkiego razem pięć kołchozów, jeden sowchoz, jeden MTS, dwa instytuty naukowo-rolnicze, nie licząc innych pomniejszych rzeczy. Takich grup jak nasza było w całej wycieczce jeszcze pięć i każda taka grupa obejrzała tyle samo, co i my, w innym obwodzie czyli województwie. A znowu takich wycieczek było do tych pór w Związku Radzieckim kilka, coś sześć albo siedem, i każda wycieczka była skierowana w inne strony. Ta na Ukrainę, ta do Zagłębia Donieckiego, ta znowu kręciła się niedaleko Moskwy albo jeździła aż na Syberię, czyli też na Kubań, jak na przykład my...

Więsyk przerwał, odsunął się na krześle, dłonie zwinięte w pięści położył przed sobą na stole i uważnie rozejrzał się po zebranych. Z pierwszego rzędu przyjaźnie kiwał do niego głową Kucharski, obok Kubić, dalej błysnął jakby drwiący uśmiech jakiejś kobiety.

— Takim sposobem Związek Radziecki dał nam możność poznać szmat swojego kraju i to, co ja wam teraz opowiem, to nie jest, żę będzie może taki, co powie: No bo ich tam zawieźli z zawiązanymi oczami i tylko ten kawałek pokazali. Nie: Widziałem po drodze, widziałem i na miejscu to, co chciałem zobaczyć i co mnie interesowało i nikt mi oczu nie zasłaniał. Więc co ja widziałem? Powiem najsampierw krótko: ludzie w kołchozach radzieckich żyją dobrze...

Kucharski rozglądał się po sali. Duża izba szkolna zapchana jest ludźmi, przeważnie tymi nienajgorzej usposobionymi do spółdzielni gospodarzami z Szymonek, samymi spółdzielcami; sporo siedzi kobiet słuchających pobożnie, ale tu i ówdzie daje się schwycić ostry wzrok wparty nieprzychylnie w Więsyka.

— ...przykładowo: w kołchozie „Droga do komunizmu" w stanicy Siewierskiej młoda świniarka Zina Malczykowa, przodownica, wypracowała 700 dniówek obrachunkowych plus premie. W przeliczeniu to jej dało 16 metrów pszenicy, 3.500 rubli gotówką i pięć prosiąt premii nie licząc jarzyn, oleistych i innych pomniejszych — wszystko to zarobiła przez jeden rok — 49-ty. A co ona ma do wykonania? Ma ona pod dozorem 13 macior. Norma: z każdej maciory odebrać i odchować do 3 miesięcy 7 prosiąt, każde dziesiąte prosię ponad normę, licząc od wszystkich, jest jej, Zina Malczykowa dała kołchozowi 50 prosiąt ponad plan i tym sposobem sama zarobiła 5 sztuk.

— To ci majątek... — mruknął ktoś za Kucharskim.

— Ale... doliczcie to do pszenicy i do gotówki...

— A bo to prawda...

Kucharski obrócił się. Jakaś nieznajoma kobieta z cudzej wioski. Udaje, że nie czuje na sobie spojrzenia Kucharskiego, i pilnie wpatruje się w prelegenta. Kucharski zna szczegółowo to, co Więsyk opowiada. Od tygodnia już, od dnia jego powrotu, prawie co dzień wysłuchiwali w stajni ciekawych rzeczy. O maszynach, o wesołym życiu kołchoźników, o potędze Związku Radzieckiego. Sam Więsyk przyjechał jakby odmieniony; nie żeby udawał ważnego, przeciwnie, kipiał wesołością, ale nie było teraz takiej sprawy spółdzielczej, na którą by nie odpowiadał stanowczo i pewnie. A jak szybko poradził sobie z Kowalczykiem. Przed wyjazdem nie był taki stanowczy; teraz potrafił przycisnąć chłopa i zmusić go do wydania łobuza. Kowalczyk — członek spółdzielni, średni gospodarz z Szymonek, wstępując do wspólnoty wymówił sobie pierwszeństwo przy otrzymywaniu kredytów na budowę domu mieszkalnego. Przez pół roku nie burzył się, pomruczał sobie tylko od czasu do czasu na zebraniu i nagle po tygodniu nieobecności Więsyka jakby go ktoś odmienił, przybiegł do Kucharskiego z wielkim krzykiem, z awanturą: niech nie myślą, że on się da orzynać; jak tak, to niech go pocałują gdzieś, on jeszcze dzisiaj występuje z takiego za...nego interesu. Kucharski dużo musiał wysłuchać zanim zrozumiał, o co chłop się wścieka. Ktoś mu powiedział, że zarząd już przed miesiącem otrzymał kredyty na budowę domków, ale rozprowadził je między sobą i pierwszy będzie stawiał Więsyk. Teraz Kucharski wpadł na Kowalczyka, krzycząc ostro, żeby wyznał natychmiast, kto mu nakładł do głowy takich głupstw. Kowalczyk zmiękł, uwierzył w końcu, że padł ofiarą, jak powiedział, „zmyłki", ale nie zgodził się wydać tego, który go poszczuł na spółdzielnię. A Więsykowi powiedział.

— ...Więc jakem rzekł, jest ten podział na brygady: polowe, hodowlane, podwórzowe, budowlane. Tym sposobem ludzie mogą pracować podług swoich zamiłowań i mogą rozwijać swoje zdolności. Nie tak jak u nas za sanacji, kiedy prawie nikt starszy nie uczył się. Tam na przykład przewodniczący kołchozu, 55-letni, zdawał dwuletni kurs rolniczy za naszego pobytu. Ale to nie tylko on, można powiedzieć, że wszyscy kołchoźnicy uczą się. Zimą agronomowie z MTS-ów prowadzą w kołchozach różne kursy. Zawdzięczając tej specjalizacji, 16-letnia świniarka Wala Ermizidi w kołchozie Woroszyłowa w Krymskiej wypowiedziała nam taki referat o hodowli i o swojej pracy, że zdawało się — musi ona mieć jakieś wyższe klasy ukończone; tymczasem jest ona prostą świniarką...

Ktoś roześmiał się hałaśliwie i głupkowato. Syknięto na niego z różnych stron. Kucharski odwrócił się gwałtownie. Mazur — młody elegancik z czubem — szczerzy zęby. Jakby było do czego. Och, drania. Ilu tutaj jest takich, którzy pragnęliby z duszy, serca pogrzebać Więsyka razem z jego referatem. Czerwona płachta drażni ich, jak tego buhaja na łące. A sprawa łąk też wybuchła w nieobecności Bronka. To było branie się na sposób. Liczyli, że skoro nie ma przewodniczącego, wspólnota stoi na jednej nodze, lada rozruch ją przewróci; ale się oszukali... Jak to Kubić wpadł wtedy blady, z jedwością chwytający oddech: „Już — krzyczał — po naszej spółdzielni... wpędzili na łąki, wypasają... już!..."

— A więc kołchoźnicy żyją kulturalnie. Parki i kina widziałem we wszystkich kołchozach. Czytają dużo książek, mają teatry amatorskie, jest się gdzie zabawić po pracy i także samo odpocząć. Nie ma, tak jak u nas marzą wrogowie, wspólnego kotła, ale są stołówki dla tych, co chcą w nich jadać, bo mają na przykład małą rodzinę i nie opłaci im się gotować.

Kucharski znów przestaje słuchać. Nadchodzi go wspomnienie, jak tamtego dnia wpadł z karabinem na łąki. Drogę zaskoczył mu Józefek, biedak ze wsi. — Alem się wtedy utrzymał w lejcach — myśli zadowolony. Na przekór złości zaświtało człowiekowi w głowie, że to judaszowska gra. A sprawa mogłaby się rzeczywiście potoczyć ku naszej zgubie, gdybym zrobił użytek z broni i na przykład kogoś postrzelił...

— „Zostaw, człowieku, na co się porywasz..."

— „Skończyły się wasze dziadowskie rządy"... — zapluwał się Józefek.

— „Przyszedł nakaz, że pastwisko nie je już wasze ino gminne..." — odezwał się ktoś z boku.

— „Kto wam to naplótł?"

Ale ludzie milczeli. Sekretarz w komitecie gminnym także od razu przejrzał szachrajstwo.

— „Jasne, że to ich ręka. I na pewno nie chodziło im o zajęcie łąk, tylko o wbicie klina między wieś a spółdzielnię".

Potem na rekolekcjach u komendanta posterunku tłumaczyli się wszyscy, że zasłyszeli o rozporządzeniu odbierającym pastwisko spółdzielni. Puszczono ich do domu, a pod klucz trafił Górski z kolonii, do którego w końcu doprowadził kręty ślad intrygi. Przeliczył się kułak z siłami.

— Co do ogromnej ilości maszyn, które widziałem w kołchozach i w ogóle w Związku Radzieckim, to muszę nadmienić, że widziałem ogromną motoryzację od taksówek osobowych do wielkich kopaczek, które budują szosy, to ani jednej maszyny nie było wyrobu cudzoziemskiego — wszystko radzieckie. O maszynach w kołchozach, jak o kombajnach, już nadmieniałem; dodam tylko, że przez cały czas, jak widziałem sporo kołchozów i wiele pól, to tylko dwie grupy pracowały w polu ręcznie, przy pieleniu kukurydzy, i to koło samych łodyg, tam gdzie pielaczka mechaniczna nie może sięgnąć...

— A Sejnik... — myśli Kucharski — mącił ludziom w głowach; teraz by go tutaj postawić przed oczy prawdzie. Nie tak dawno jeszcze nawet Więsyka płoszył złą mową. Związku Radzieckiego nienawidzi; nic dziwnego, majątku tam wyciskać nie wolno. Całkiem inaczej niż Więsyk opowiadał o Rosji. Ale teraz widać, co warte jego zdanie. To fałszywa moneta. Skoro opluł kłamstwem spółdzielnię. Za te domki Kowalczykowe powinien trochę posiedzieć.

— Myślałem — znów dochodzą słowa Więsyka — że przyjaźń polsko-radziecka to taki okrzyk wznoszony na zakończenie różnych zebrań, tymczasem przekonałem się, że radziecki chłop i każdy obywatel odnosi się do nas jak do braci. Przyjmowali nas w kołchozach tak, że — jak to mówią po polsku — „po brodach nam ciekło"... Ale nie w tym rzecz. Co innego jeszcze było najważniejsze. Głównie chodzi o to: jak oni się wypytywali o nasze życie, jak starali się, żeby nam dopomóc przykładowo, a także dobrą radą. Dwóch młodych komsomolców w kołchozie „Czerwony partyzant" powiedziało mi: „Obchodzi nas wszystko, co się dzieje w Polsce, jesteście nam bliscy, bo stoimy pod jednym sztandarem".

— Czerwonym — dopowiada sobie w myśli Kucharski. Dolatuje go szept od strony nieznajomej kobiety, tej samej, która nie wierzy w zarobki kołchoźników. Kucharski przechyla się na krześle i próbuje coś usłyszeć. Na próżno, Więsyk zbliża się już widocznie ku końcowi referatu.

— Kiedy odjeżdżałem, mówili mi różni podżegacze: inaczej będziesz widział, a inaczej będziesz mówił. Tymczasem na pożegnaniu powiedział do nas minister rolnictwa ZSRR — Benediktow: „Kiedy wrócicie do siebie, opowiadajcie tylko to, coście widzieli i słyszeli, a nie przesalajcie, bo i tak się nie umówicie i tylko byście szkody narobili". I ja w tym, co powiedziałem stosowałem się do nakazu tow. Benediktowa. Opowiadałem wam tylko to, co widziałem i słyszałem. Powiedziałem samą czystą prawdę i za to wszystko odpowiadam. I chcę wam jeszcze, obywatele, powiedzieć, że jechałem nie ze wszystkim przekonany; jeszczem sobie czasami myślał tak, jak agitowali wrogowie, czy nie panuje tam „czarny komunizm", i dopiero przekonałem się na własne oczy, tak jak ten niewierny Tomasz, który się musiał dotknąć, żeby uwierzyć, tak i ja przekonałem się, że w Związku Radzieckim panuje czerwony komunizm, i dlatego uwierzyłem, że może być sprawiedliwość na ziemi. Ale do tego, żeby to było u nas, trzeba jeszcze przezwyciężyć. I tutaj, proszę obywateli, została podrzucona kartka i na tej kartce jest pytanie. Tę kartkę napisał albo wróg, albo człowiek skołowany przez tego wroga. Ale ja na to pytanie odpowiem. Napisane jest tak: „A dlaczego w raju sowieckim jedzą obierki?"

Na sali zapadła cisza. Więsyk odłożył mały skrawek papieru

(Dokończenie na str. 11)

Pogrzeb Kozaka wyznaczono na czwartek, 16 kwietnia. W przeddzień pogrzebu doszło do ponownej manifestacji na miejscu mordu, na pl. Akademickim. Na zaimprowizowanej mównicy przemawiało kilku mówców, przeważnie członków KPZU. Przemówienie działacza PPS, nawołującego do rozejścia się, przerywano częstymi okrzykami protestu.

Pogrzeb Kozaka miał się odbyć na koszt miasta. W środę wybrany został komitet pogrzebowy, w skład którego weszło dwu przedstawicieli klasowych Związków Zawodowych, dwu przedstawicieli ZZZ, przedstawiciel PPS i przedstawiciel Bundu. Starostwo miejskie wyznaczyło komitetowi dokładną trasę, któredy miał przejść kondukt pogrzebowy. Chodziło o to, aby trasa ta była jak najkrótsza i aby dawała jak najmniej powodów do „zaburzeń": z krypty kościoła Bernardynów pochód miał się skierować wąską ulicą Piekarską wprost na cmentarz Łyczakowski.

W środę ukazał się także oficjalny komunikat władz, w którym stwierdzono, iż „śledztwo w sprawie zaburzeń ulicznych na pl. Akademickim doprowadziło do aresztowania 5 bezpośrednich przywódców zajść. Są to komuniści, nie przynależni do Lwowa. Ponadto aresztowano jeszcze i komunistów — tutejszych robotników. W mieście panuje zupełny spokój".

Było rzeczą jasną, że wojewoda i sanacyjne władze dążą zupełnie otwarcie do krwawego stłumienia wystąpień robotniczych. 16 kwietnia już od wczesnych godzin rannych wzmocnione patrole uzbrojonej od stóp do głów policji ulokowane zostały w bramach wzdłuż całej ulicy Piekarskiej i wokół placu Bernardyńskiego. W Komendzie Policji przy ul. Łąckiego zmobilizowano kompanię rezerwową i dodatkowe oddziały policji konnej. Ponadto na placu Halickim i Mariackim w narożnych kamienicach ulokowano karabiny maszynowe.

Dzień 16 kwietnia był bardzo ciepły, prawdziwie wiosenny. Punktualnie o godzinie 12-tej zahuczały syreny wszystkich fabryk i lokomotyw, stanęły wszystkie tramwaje i zakłady komunalne, wszędzie przerwano pracę. Na plac Bernardyński ciągnęły wielotysięczne tłumy robotników — każdy miał przypiętą na klapie marynarki czerwoną rozetkę. Napływały zorganizowane kolumny pod czerwonymi sztandarami i transparentami. Własna milicja porządkowa z czerwonymi opaskami na rękawach formowała olbrzymi pochód. Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy zmobilizowała cały lwowski, wielojęzyczny świat pracy. W mieście, w którym nacjonalistyczne, endeckie grupki studentów nieustannie prowokowały antyukraińskie i antyżydowskie hece, solidarność proletariatu miała szczególną wymowę. Utworzył się bojowy, jednolity front robotniczy niezależnie od narodowości czy ugrupowań partyjnych.

Około 14-tej pochód ruszył zwolna w stronę ulicy Piekarskiej. Poprzedzały go niezliczone poczty sztandarowe i delegacje z wieńcami. Policja skryła się w bramach, sklepikarze szybko spuszczali żaluzje swoich wystaw, wzdłuż Piekarskiej szczelnie pozamykano okna. Trumna ze zwłokami Kozaka nie dotarła jednak nawet do wylotu Piekarskiej. Pochód zawrócił i mimo energicznych protestów ugodowych przywódców związkowych przeszedł przez plac Halicki i Mariacki w stronę cmentarza Janowskiego.

„W tej sytuacji — głosił opublikowany w kilka godzin później urzędowy komunikat — oddziały policji państwowej zmuszone były do użycia broni. W czasie starć zabite zostały trzy osoby, a liczba rannych wynosi kilkadziesiąt osób. Rannych zostało również kilkunastu policjantów".

Policja po raz pierwszy zagrodziła drogę konduktowi na pl. Halickim. Użyto broni palnej. Przemówiły także ukryte karabiny maszynowe. Tłum jednak parł dalej. Od strony Kopernika zaatakował czoło pochodu zwarty klin policji rezerwowej. Kilka razy szarżowała także policja konna, jednak policjantów ściągano za nogi z koni. Trumna ze zwłokami Kozaka została kilkakrotnie przestrzelona. Zaczęto śpiewać „Międzynarodówkę" w języku polskim, ukraińskim i żydowskim. Po przejściu ulicy Legionów manifestanci zaczęli budować z porzuconych tramwajów barykady. Kilka barykad wyrosło również przy ulicy Kazimierzowskiej i Grodeckiej. Na barykadach zakwitły czerwone sztandary. Przy akompaniamencie ustawicznych strzałów, krzyku dziesiątków tysięcy ludzi i śpiewu Międzynarodówki pochód doszedł do cmentarza Janowskiego. Całe śródmieście znajdowało się w rękach robotniczych.

O godzinie 18-tej, kiedy nad miastem zapanował wiosenny zmierzch, nie zapłonęła ani jedna latarnia gazowa ani elektryczna. Przez radio nadawane były ustawicznie komunikaty wzywające ludność miasta do zachowania spokoju. Prawie jednocześnie wybuchł pożar w składzie drzewa przy ulicy Grodeckiej i łuna rozlała się na seledynowym niebie.

Do stłumienia demonstracji przyczyniły się dopiero oddziały wojskowe (ingerowały głównie oddziały podchorążych), w dużej mierze zdradzieckie stanowisko góry PPS i Bundu. Około godziny 20-tej barykady zostały zdobyte. Przez całą noc ulice miasta patrolowały samochody pancerne i lekkie czołgi.

Nazajutrz strajk ogarnął ponad 50 proc. zakładów lwowskich. Na murach miasta rozlepiona została odezwa sanacyjnego wiceprezydenta Ostrowskiego:

„Bezroboczy mimo wielokrotnych ostrzeżeń dali się sprowokować przez zorganizowanych agitatorów, działających za obce pieniądze i w imię obcych interesów. Udział i cele wyrotowe tych czynników zostały ponad wszelką wątpliwość stwierdzone. Wszyscy odczuwamy niedolę świata pracy, walczącego ze skutkami kryzysu ogólnoświatowego. Zdajemy sobie jednak wszyscy sprawę, że droga do przezwyciężenia panujących trudności nie prowadzi przez gwałt i terror".

Aresztowano komitet pogrzebowy, a w nocy z czwartku na piątek aresztowano 1500 osób; 60 wywieziono w kilka dni później do obozu koncentracyjnego w Berezie. Według ostatecznych oficjalnych danych, w demonstracji czwartkowej 14 osób zostało zabitych, 120 rannych. Na miejscu zginęli albo w wyniku odniesionych ran zmarli: Michał Łaciniuk, Ukrainiec, lat 31, Mieczysław Sikorski, Polak, lat 29, Michał Łogucki, Polak, lat 40, Jan Hwozdij, Ukrainiec, lat 33, Józef Pochwała, Polak, lat 22, Piotr Grabowski, Bronisława Henc, Michał Karbownik. Nazwisk pozostałych 6 osób nie ogłoszono. Pogrzeb ofiar odbył się w absolutnej tajemnicy.

W piątek zmobilizowano wszelkie siły i środki, aby „zaprowadzić porządek". Sanacyjne, faszystowskie organizacje, jak Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, w skład której wchodziły: Związek Obrońców Lwowa, Związek Legionistów, Związek Legionistek, Związek Peowiaków, Związek Oficerów Rezerwy, Związek Podoficerów Rezerwy, Związek Ociemniałych Żołnierzy, Związek Inwalidów Wojennych, Związek Żydów uczestników walk o niepodległość Polski, Związek Strzelecki i inne — ogłosiły oszczerczą odezwę rozlepioną na ulicach miasta.

ROMAN ZIMAND

OTO AMERYKA

Z mitu o amerykańskim „raju" i amerykańskiej „demokracji", który szerzył się w pewnych kręgach naszego społeczeństwa przed wojną, zostały u nas strzępy. Ale nawet i te łachmany walające się po różnych zakamarkach, plebaniach, dancingach i niektórych seminariach uniwersyteckich należy uprzątnąć. Uprzątnąć w imię prawdy, którą ludzie w Polsce nauczyli się cenić i samemu odnajdywać.

Prawda, prawda o Ameryce — oto co dają naszemu czytelnikowi wydane ostatnio trzy książki o tym kraju. *)

Wbrew chronologii powstania tych szkiców, wierszy i pamfletów zacznę od Majakowskiego. Od Majakowskiego — ponieważ błędy tej edycji są najbardziej rzucające się w oczy. Błędy polskiego wydania książki „Majakowski o Ameryce" świadczą nie tyle o nieumiejętności tłumacza, ile o niechlujstwie wszystkich, którzy „przyczynili" się do tej edycji od tłumacza począwszy, poprzez grafika a na redaktorach skończywszy. O niechlujstwie, którego owocem jest np. to, że w jednej z książek wydanych ostatnio przez „Czytelnika" można przeczytać, że komuniści **bali się** w pierwszych szeregach (winno być rzecz jasna **bili się**).

„Moje odkrycie Ameryki" — to wynik najdłuższego z wielu pobytów Majakowskiego za granicami ZSRR. Majakowski odbywał swe podróże zagraniczne nie jako turysta z przysłowiowym „kodakiem" na ramieniu. Za granicą był reprezentantem pierwszego na świecie państwa Rad, na zagranicę patrzył wyczulonym wzrokiem poety-rewolucjonisty. Stąd wyjątkowa ostrość widzenia, stąd umiejętność uchwycenia i opisania tego, co dla kapitalistycznych USA najbardziej typowe.

Już opis parowca, którym Majakowski odbył swą podróż, daje próbę tego rewolucyjnego ujmowania zagadnień. „Klasy jak się patrzy. W pierwszej — kupcy, fabrykanci kapeluszy i kołnierzyków, matadorzy sztuki oraz mniszki" — opis okrętu zaczyna Majakowski od zaprawionego gorzką ironią opisu rozwarstwienia klasowego pasażerów.

Ze wszystkich szkiców przebija to — jedynie słuszne — ujęcie kapitalistycznego społeczeństwa. Tam, gdzie burżuazyjni reporterzy i pisarze dostrzegali w najlepszym wypadku „dziwactwa" Nowego Świata, Majakowski potrafił dać poetycką i satyryczną analizę kapitalistycznego społeczeństwa.

W okresie np. gdy cały świat kapitalistyczny zachłystywał się książką Forda („Wiadomości Literackie" zamieściły recenzję pod wiele mówiącym tytułem „Wiedza radosna miliardera"). Majakowski dojrzał bezmyślność i antyhumanizm fordowskiego systemu wyciskania z robotnika pieniędzy: „O czwartej oglądałem zmianę, która wychodziła z bramy Forda — ludzie walili się do tramwajów i wnet zasypiali opadłszy z sił... System Forda czyni robotników impotentami."

Nie chciałbym powtarzać wszystkich zagadnień związanych z książką Majakowskiego o Ameryce, a omówionych w doskonałej radzieckiej przedmowie. Warto jednak na kilka rzeczy zwrócić uwagę polskiego czytelnika.

Ameryka dla Majakowskiego nie jest tylko krajem nieludzkiego wyzysku i idiotycznych rozrywek. Oprócz Ameryki Vanderblidtów, „nieprzekupnych" — bo raz na zawsze kupionych — dziennikarzy i „mężów stanu", jest druga Ameryka. Ameryka tych, którzy w codziennej pracy i nędzy tworzą wszystkie bogactwa. I o tej Ameryce Majakowski mówił z miłością: „Kocham New Jork w jesienne pracowite dni".

O tej Ameryce myśli Majakowski z trwogą. Ameryka codziennej pracy, oszukiwana przez demagogiczną propagandę swoich fordów i hooverów, okłamywana przez zdrajców klasy robotniczej jest przedmiotem troski poety. „Jak wbić jej w głowę myśli — noże, że w Rosji lud inną drabinę obrał, po której na wszystkie piętra wleźć może bez rojeń, bez ożenków i bez spadkobrań".

Dla Majakowskiego opis kapitalistycznej Ameryki nie jest celem sam w sobie. Wielki rewolucjonista — internacjonalista pisze dla milionów ludzi pracy na całym świecie. I z tej więzi z międzynarodowym proletariatem rodzą się takie wiersze jak „Black and White", „Gompers", „Świadczę" i in.

Ale internacjonalizm Majakowskiego — i to jest szczególnie cenne — jak każdy prawdziwy internacjonalizm, związany jest ściśle z patriotyzmem. Świadczą o tym takie wiersze jak słynny dziś na całym świecie „Wiersz o radzieckim paszporcie" lub „Broadway". Poeta opisuje Amerykę jako przedstawiciel wyższej, socjalistycznej formacji społecznej, jako jej bojownik. Stąd ta genialna uwaga o Ameryce „... Gnałem siedem tysięcy wiorst naprzód, a przyjechałem siedem lat wstecz..."

rys. Anna Rembacz
Włodzimierz Majakowski

Nie miejsce w tej recenzji, niestety, na szczegółowe omówienie specyfiki poezji i prozy Majakowskiego. Ale wydana przez „Czytelnika" książka „Majakowski o Ameryce" ma dzisiaj jeszcze inną wartość: jest cenną również i dlatego, że mogą się na niej uczyć i poeci i reporterzy i publicyści. Uczyć się metody realizmu socjalistycznego.

O polskim wydaniu zbioru szkiców i wierszy o Ameryce była już mowa. Przejdę do faktów. Nie wiadomo dlaczego tłumacz — Jerzy Litwiniuk pisze „czerwonoskórców" zamiast czerwonoskórych, albo „czerwony murzyn" co jest a) nonsensem, b) niezgodne z oryginałem, c) psuje kolorystyczny efekt ironicznego obrazu „nadegzotyki". Szczytem wszystkiego, jeśli chodzi o przekład Litwiniuka, jest ów „skórzany dywan" (oczywiście fotel), na którym siedzi jeden z jego współrozmówców.

Wydawnictwo zamieściło na końcu książki — i słusznie — słowniczek. Ale dlaczego nie wyjaśniono tam np., co to jest GUM. Czytelnik przypuszcza, że to nazwa radzieckiego okrętu, co jest niezgodne z prawdą, bowiem GUM to tyle, co

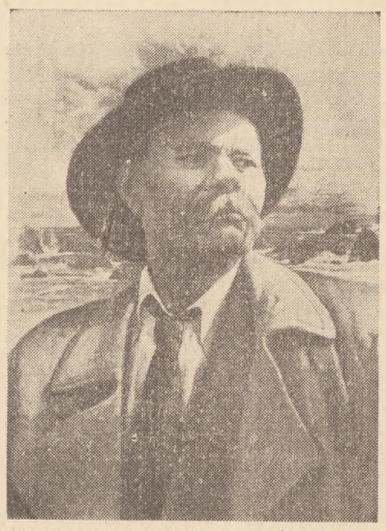

M. Gorki, portret pędzla I. Brodskiego

PDT. Okładka J. S. Miklaszewskiemu tym razem się nie udała.

Jeśli już mowa o błędach w tłumaczeniu i edycji, to wypada powiedzieć od razu o dwóch pozostałych książkach. Czytelnik kupiwszy obydwie książki będzie niemile zdziwiony: zarówno „Książka i Wiedza" jak i „Czytelnik" wydały dwa te same pamflety Gorkiego („Miasto żółtego diabła" i „Jeden z królów republiki") z tym, że „Czytelnik" zamieścił w swojej edycji ponadto „Odpowiedź na ankietę dziennika amerykańskiego" oraz „Kapłana moralności" i „Królestwo nudy", a „Książka i Wiedza" „Trzy reportaże Al. Chamadana" *). Takie „zbieżności" w polityce wydawniczej wydają się w okresie walki o oszczędności, co najmniej zbędne.

Jeśli porównać obie omawiane edycje to na korzyść „Czytelnika" zapisać należy zamieszczenie b. ciekawej przedmowy E. Surkowa oraz przyjemną tym razem okładkę wymienionego już J. S. Miklaszewskiego.

Z przekładami w obu wydaniach bywa różnie. Weźmy pierwszy lepszy przykład: „Miasto żółtego diabła."

Gorki pisze: „Massiwnaja figura bronzowoj żenszczziny pokryta s nog do gołowy zielonoj okisju. Chołodnoje lico slepo smotrit skwoź tuman, toczno bronza ździot sołnca, cztoby ono ożywiło jejo miortwyje głaza".

Barbara Rafałowska tłumaczy: „Posąg z brązu pokryty jest cały miedzią. Zimna twarz spogląda ślepymi źrenicami w pustynię oceanu, jak gdyby w oczekiwaniu słońca, które ożywi martwe oczy".

W czytelnikowskim wydaniu czytamy: „Oto potężna, odlana z brązu postać kobieca, od stóp do głów pokryta zieloną śniedzią. Z martwego oblicza skroś mgłę spozierają ślepe oczy na pustynny ocean, jak gdyby brąz łaknął słońca, które by tchnęło życie w jego zgasłe źrenice".

Drugi przekład jest w danym wypadku lepszy. Rafałowska skróciła po prostu tekst. Wyrzuciła i to, że posąg jest kobiecy, wyrażenie „od stóp do głów" zamieniła na „cały", zlikwidowała mgłę. Rzecz jasna, że tłumacz musi się wystrzegać takich zabiegów.

Ale i drugi przekład nie jest bezgrzeszny. Nie wiadomo po co na początek wstawione zostało „oto", którego u Gorkiego nie ma. Tłumacz nie powinien robić niczego bez szczególnej potrzeby. Oryginałowi nie należy nic dodawać, ani odejmować, chyba że duch języka przekładu wymaga tego.

Nie chodzi tu o „łapanie za słówka", ale o to, aby przyswajanie narodowi polskiemu bezcennych dzieł kultury narodów świata odbywało się w sposób nie krzywdzący twórców tych dzieł. „Książka i Wiedza" zaopatrzyła również omawianą edycję w ilustracje... nie wiadomo czyje. (Jeden rysunek został np. „wzięty" ze znanego cyklu B. Prorokowa „Oto — Ameryka").

Gorkiego pamflety i artykuły o Ameryce to szczytowe osiągnięcia publicystycznej literatury realizmu socjalistycznego. Uderzające jest to, że większość z nich napisana została w 1906 r., a więc w okresie, gdy pisarz przybył do USA — renomowanego kraju wolności — z „więzienia narodów", z carskiej Rosji. Ale wielki pisarz proletariacki nie dał sobie zamydlić oczu pozorami amerykańskiej demokracji. Za posągiem Wolności dojrzał bezmyślną tępą głowę kapitalistycznego sępa-ścierwnika.

Pamflety i artykuły, z jakimi czytelnik może się zapoznać w obu omawianych książkach — to przede wszystkim gorący protest proletariackiego humanisty przeciw nieludzkiej i antyludzkiej kulturze amerykańskiego imperializmu.

„Miasto żółtego diabła" — to obraz chwalącej się swoim kalectwem przysłowiowej, a bezdusznej techniki amerykańskiej, amerykańskiego miasta - ośmiornicy dławiącego człowieka w objęciach dolara-żółtego diabła.

„Kapłan moralności" — kapitalny pamflet na doprowadzoną w Ameryce do absurdu fałszywą mieszczańską moralność. „Gdy człowiek posiada pieniądze, woły, osły, niewolników — a sam przy tym nie jest idiotą — jest moralistą. Moralność popłaca, gdy się posiada wszystko, czego człowiekowi potrzeba i gdy się chce zachować to dla siebie. Nie popłaca zaś — jeżeli nie posiada nic zbędnego prócz włosów na głowie". Ten sąd wypowiedziany ustami funkcjonariusza biura do wywoływania drobnych skandali, w których morzu ginąć mają przestępstwa prawdziwych rządców USA, to istota moralności (i religii) kapitalizmu.

Ponad tym tłumem systematycznie doprowadzanych do nędzy i otępienia ludzi, ponad szajkami drobnych łajdaków i aferzystów wynoszą się „królowie republiki". Ich jest rząd, który chwalą lub ganią jak niegrzeczne dziecko, im służą filozofowie „którzy w niedzielę co najmniej przez osiem godzin uczą ludzi poszanowania prawa". Im służy moralność, prawo, sztuka i na wszystkich tych dziedzinach życia oni wyciskają swoiste piętno. Przez kontrastowe przeciwstawienia fantastycznego obrazu milionera - potwora i realnego obrazu milionera — zewnętrznie normalnego człowieka, Gorki w pamflecie „Jeden z królów republiki" pokazuje antyhumanistyczne oblicze kapitalizmu.

Czy to jest cała Ameryka? Gorki w „Odpowiedzi na ankietę dziennika amerykańskiego" pisze, że wątpi, aby znalazł się choć jeden człowiek, który mógłby powiedzieć, że nienawidzi „...wszystkiego, co znajduje się w USA, i wszystkich, którzy mieszkają w Stanach". Nic bardziej obcego Gorkiemu, Majakowskiemu i w ogóle kulturze socjalizmu, nad takie powszechne potępienie całego narodu. Dwie są Ameryki. USA imperialistów, których „cywilizacja jest najpotworniejszą cywilizacją naszej planety..." i USA mas pracujących, USA postępu i walki o wolność. Do tej drugiej Ameryki należą najlepsze tradycje młodego narodu, do niej należą Lincoln, Burbrank, T. Dreiser, Whitman i „wspaniały romantyk Bret Harte".

Gorki i Majakowski mówią — oto Ameryka i uczą naprawdę nienawidzić i naprawdę kochać.

Roman Zimand

*) Majakowski o Ameryce, „Czytelnik", 1950, str. 204; M. Gorki, W Ameryce, „Czytelnik", 1950, str. 95; M. Gorki i Al. Chamadan, W Ameryce, „Książka i Wiedza", str. 87.

*) Nie wiem, ilu czytelników w Polsce wie coś o Al. Chamadanie. Należało o nim poinformować naszego czytelnika.

Z TYGODNIA

PREZYDENT Bolesław Bierut objął protektorat nad jubileuszem 75-lecia pracy artystycznej nestora sceny polskiej Ludwika Solskiego. Obchód jubileuszowy odbędzie się w dniu 28 bm. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, po przedstawieniu sztuki J. T. Dybowskiego „Kościuszko w Berville".

*

ZMARŁ w Warszawie, przeżywszy lat 52, wybitny artysta dramatyczny i reżyser, Dobiesław Damięcki.

Pracę artystyczną rozpoczął artysta w teatrze „Reduta" za dyrekcji Juliusza Osterwy; następnie występował na scenach Teatru Polskiego i Teatru Narodowego w Warszawie. W czasie okupacji był jednym z najbardziej czynnych organizatorów akcji zmierzającej do bojkotowania przez aktorów polskich teatrów podległych „Propaganda-Abteilung".

Po wyzwoleniu reaktywował ZASP i był jego prezesem przez trzy kolejne kadencje. Równocześnie występował w Teatrze Wojska Polskiego, w teatrach miejskich Warszawy i w Teatrze Nowym oraz w „Rozmaitościach", w których był zarazem dyrektorem.

*

PREZYDENT RP odznaczył Tadeusza Sygietyńskiego, kierownika artystycznego Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze" Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi położone w organizowaniu i szkoleniu tego zespołu.

*

25-tą rocznicę zgonu Stefana Żeromskiego uczcił pracujący Śląsk uroczystą akademią zorganizowaną w Katowicach przez Wojewódzką Radę Narodową i Związek Literatów Polskich. Akademię zagaił Gustaw Morcinek, a referat o twórczości Żeromskiego wygłosił Andrzej Wydrzyński. Ponadto program obejmował odczytanie fragmentów utworów Żeromskiego oraz część muzyczną z udziałem Bolesława Woytowicza, solistów i baletu Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu.

*

KOŁA naukowe wydziału humanistycznego Uniwersytetu Łódzkiego zorganizowały zebranie poświęcone pracom Józefa Stalina o językoznawstwie. W zebraniu wziął udział bawiący w Polsce profesor Uniwersytetu Leningradzkiego — Aleksander Fiodorow. Wygłoszone zostały przez studentów dwa referaty „Baza i nadbudowa w świetle prac Stalina o językoznawstwie" oraz „Językoznawstwo na nowych drogach rozwoju". W dyskusji zabrało głos 15 mówców, m. in. prof. Fiodorow.

*

DOBIEGAJĄ końca prace przygotowawcze do I Kongresu Nauki Polskiej, który zbierze się na sesję plenarną w drugiej połowie maja b. r. Sześćdziesiąt dwa referaty podsekcji pozwoliły na przygotowanie jedenastu referatów sekcyjnych, które sumują postulaty poszczególnych dyscyplin naukowych. Kulminacyjnym punktem obrad będzie powołanie do życia Polskiej Akademii Nauk, która przejmie całokształt spraw naukowych w Polsce.

*

W PIERWSZYM etapie Festiwalu Muzyki Polskiej (do końca kwietnia b. r.) teatry operowe wystawią liczne opery i balety kompozytorów polskich. Opera im. Moniuszki w Poznaniu — „Halka", „Straszny Dwór", „Verbum nobile" i „Flisa" — Moniuszki oraz baletu „Swantewit" Perkowskiego.

Opera Śląska w Bytomiu — „Janka" — Żeleńskiego, „Casanovę" — Różyckiego i „Verbum nobile" — Moniuszki. Opera we Wrocławiu „Parię" i „Halkę" Moniuszki. Opera w Warszawie — balet „Pan Twardowski" Różyckiego, Studio Operowe w Gdańsku — „Straszny Dwór".

Ponadto Wrocław przygotowuje prapremierę opery „Bunt żaków" i balet „Paw i dziewczyna" — Szczygowskiego, a Opera Śląska nowy balet Maklakiewicza „Złota kaczka" oraz operę Perkowskiego „Rapsod" i balet „Pan Twardowski". Warszawa stara się również ukazać praźródła Moniuszki i „Bunt żaków".

*

MUZEUM Kultur Ludowych zorganizowało w Warszawie wystawę „Praźródła teatru". Liczne plansze, fotografie, rysunki oraz oryginalne eksponaty ukazują praźródła z jakich narodził się teatr. Szereg plansz ukazuje ciekawe obrzędy ludów Afryki Północnej, Oceanii, Indonezji itd. Zwracają uwagę oryginalne eksponaty z „Jawajskiego teatru miniatur". Warszawa stara się również ukazać praźródła teatru europejskiego, m. in. początki dramatu w Polsce.

*

DO nowego Zarządu Łódzkiego Oddziału Zw. Literatów Polskich weszli: Stanisław Brucz (prezes), Jan Koprowski, Edward Szustek, Jerzy Miller, Jan Huszcza, Igor Sikirycki i Wanda Karczewska; do sądu koleżeńskiego: Bolesław Dudziński, Włodzimierz Słobodnik i Grzegorz Timofiejew.

*

W ŁÓDZKIM atelier „Filmu Polskiego" rozpoczęto nakręcanie filmu „Gromada", który przedstawia walkę klasową, jaka toczy się na wsi polskiej. Obok aktorów zawodowych wiele ról odtwarzają amatorzy. Warszawa stara się również ukazać praźródła dramatycznych. Reżyserują autorzy scenariusza: J. Kawalerowicz i K. Sumerski.

*

ZOSTAŁ rozstrzygnięty konkurs na odznakę nagrody państwowej za zasługi w dziedzinie nauki, sztuki, techniki oraz organizacji pracy. Nagrodę otrzymał projekt Józefa Gosławskiego z Poznania. Projekt ten przedstawia w owalnej rozetce godło państwowe z wyrytym dookoła napisem: „Nagroda państwowa".

*

W MOSKWIE ukazała się w tłumaczeniu na język rosyjski książka Mariana Brandysa „Spotkania włoskie". Przekładu dokonali M. Ignatow i W. Arcymowicz, przedmowę napisał — P. Lisowski.

OSSOLINEUM

kupuje dzieła bio- i bibliograficzne, encyklopedyczne słowniki oraz polonica w szerokim zakresie.

Oferty, zawierające nazwisko autora, tytuł książki, miejsce, rok i kolejność wydania, kierować:

Biblioteka Ossolineum, Wrocław, Szewska 37

Przedstawiciele OKR Związków Zawodowych i PPS zjawili się u wojewody Prażmowskiego, aby zapewnić go o swojej lojalności. Nieomal w drzwiach rozminęła się ta „robotnicza" delegacja z „dostojnymi rajcami miejskimi" w osobach Ostrowskiego, Chajesa i Waryńskiego. Czego chcieli ci panowie? Zrozumieli oni, że sytuacji nie można opanować tylko bagnetem. Ludziom trzeba dać pracę. Praca — zdaniem zarządu miasta — uspokoi wzburzone umysły. Należy więc kołatać u wojewody o powiększenie kredytów na prace kanalizacyjne, drogowe, o fundusze na regulację Pełtwi i na budowę nowych linii tramwajowych. Oczywiście skończyło się na obietnicach pana wojewody.

Tegoż dnia przybył do Lwowa naczelnik wydziału społeczno-politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — Myśliński, aby na miejscu zbadać sytuację.

Do jednolitego frontu burżuazji nie przestawały zgłaszać akcesu inne organizacje zatrwożone wypadkami lwowskimi. Związek Obrońców Lwowa zupełnie niedwuznacznie głosił, że „nie cofniemy się przed żadną akcją, niezbędną dla zachowania ładu i spokoju we Lwowie". Podobną odezwę wydała ukraińska partia nacjonalistyczna UNDO. W trzy dni później ukazała się zbiorowa odezwa arcybiskupów obrządku rzymsko- i grecko - katolickiego oraz ormiańskiego, nawołująca do „konsolidacji w imię ideałów miłości ojczyzny" i przestrzegająca przed komunizmem. Sanacyjny działacz, policjant, ukraiński faszysta i biskup podawali sobie ręce nad zwłokami czternastu bestialsko zamordowanych robotników ukraińskich i polskich.

20 kwietnia do wicewojewody Sochańskiego zgłosiła się delegacja Ligi Obrony Praw Człowieka w osobach prof. Szymkiewicza, Haliny Górskiej i d-ra Mienieckiego, składając protest przeciw drakońskim metodom policji i sądów sanacyjnych, szafujących hojnie surowymi wyrokami za udział w demonstracjach.

Prasa burżuazyjna wszelkich odcieni uderzyła na alarm. Wydarzenia krakowskie, a następnie, w trzy tygodnie później, lwowskie, świadczyły o szybko wzrastającej fali rewolucyjnej w Polsce. Wiosna 1936 r. stała się zwiastunem nowych, nadchodzących dni. W dziesiątkach artykułów i komentarzy przebija ton lęku i zakłopotania. Jedni żądają jeszcze ostrzejszej rozprawy, inni złagodzenia kursu. Gabinet Kościałkowskiego zaczyna się chwiać: ostatnim wyczynem politycznym niefortunnego premiera będzie długo odkładana podróż do Budapesztu.

Rzecz charakterystyczna, że w pierwszym momencie prasa burżuazyjna starała się za wszelką cenę zbagatelizować wydarzenia lwowskie. Kiedy jednak wiadomość o nich rozeszła się po Europie, gdy reakcyjna prasa angielska i francuska zaczęły komentować wypadki w Krakowie i Lwowie jako objaw nieudolności i słabości rządu sanacyjnego, zmienił się stosunek polskiej prasy do demonstracji lwowskiej. Stało się to szczególnie po obszernym artykule paryskiego „Tempsa" oraz po wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy przez b. premiera, prof. Kazimierza Bartla, który powrócił właśnie z podróży do Francji: „Ale co też panowie wypisują po gazetach o Lwowie? — mówił Bartel. — Były to daleko poważniejsze rzeczy. Jeżeli do ludzi strzelają, a ci nie uciekają, lecz idą bez obawy śmierci, to już nie są zamieszki. To pachnie rewolucją".

Krakowski „Głos Narodu" pisał w kilka dni po wydarzeniach lwowskich: „Trzeba się nam odtąd poważnie liczyć z faktem, że do politycznej rozgrywki w naszym kraju przybył nowy czynnik, którego dotąd nie było: komunizm. Liczyć się z nim, to znaczy — likwidować go, bronić masy przed wpływem komunizmu. Jest to uwaga przede wszystkim pod adresem władz administracyjnych".

„Warszawski Dziennik Narodowy", organ Stronnictwa Narodowego, donosił w tym samym czasie: „Tylko świadome zorganizowanie wszystkich polskich sił może stanowić skuteczny szaniec przeciw atakom czerwonej Międzynarodówki".

Konserwatywny „Czas" czynił analogię do wydarzeń międzynarodowych:

„Wszystko to przypomina nam obecną Hiszpanię. Wypadki lwowskie, których w tej skali żadna pojedyncza grupa nie zdołałaby zorganizować, dały odpowiedź, że „front ludowy", obejmujący lewicę pod przewodem komunistów, nie tylko już jest, ale już działa. Jakby nie było, wypadki lwowskie powinny wykazać, jakie niebezpieczeństwo jest i w Polsce i we Lwowie — niebezpieczeństwem nie urojonym, czy dalekim, ale bliskim bardzo i realnym. Jeden dzisiaj jest wróg, wróg wspólny, na pierwsze wysuwający się miejsce..."

Sanacyjny „Express Poranny":

„Trzeba działać szybko! Sytuacja dojrzała już do zdecydowanych rozstrzygnięć, radykalnych i szybkich! Dziś już nie o to idzie, by działać, lecz o to, aby działać natychmiast, oczywiście w pełni autorytetu silnego rządu".

Zeszły w cień różnice dzielące jeszcze endeków od sanacji, undowców od konserwatystów. Uderzono w dzwon alarmowy: to pachnie rewolucją! Zapełniały się więzienia i Bereza. Powstał projekt utworzenia specjalnego obozu koncentracyjnego we Lwowie. Projekt ten zrealizowali w pięć lat później hitlerowcy.

A jednocześnie szukano gorączkowo półśrodków, aby zapobiec dalszym wystąpieniom. Już bowiem depesze przyniosły wiadomość o demonstracji kwietniowej w Poznaniu, już nadchodziły wiadomości o wrzeniu ogarniającym wieś folwarczną. Posypały się represje, aresztowano masowo członków KPZU i KPP. W Łucku uwięziono cały komitet Kom. Partii Zachodniej Ukrainy. Toczyły się debaty na temat nowych zasiłków dla bezrobotnych, których bezrobotni nigdy nie zobaczyli. Krzyczano głośno o nowych, wielkich inwestycjach, podczas gdy skarb państwa zagrożonego już przez hitlerowskie Niemcy świecił pustkami. Czepiano się nawet bezpłodnych demonstracji: 30 kwietnia Lwowska Rada Miejska „uczciła" pamięć poległych minutą milczenia.

Na gazety, rozpisujące się szeroko o wydarzeniach lwowskich, nałożono kaganiec milczenia. Wiadomości, drukowane w gazetach lwowskich, przechodzić musiały najpierw przez oficjalną cenzurę w Warszawie. To, co po niej zostawało, dawało jedynie spaczony, wykrzywiony obraz sytuacji.

Aby uniemożliwić udział w dalszych demonstracjach młodzieży, której tysiące wyległy na ulice pamiętnego 16 kwietnia, kuratorium okręgu szkolnego wydało zakaz popołudniowych zajęć i „wałęsania się po ulicach" uczniom szkół średnich, surowo potem przestrzegany przez dyrekcje, a ferie wielkanocne na wyższych uczelniach przedłużono o tydzień.

Rząd Kościałkowskiego wkrótce upadł. Szefem nowego rządu został Składkowski. Nastał okres jeszcze ostrzejszego kursu, okres krwawej reakcji i malowanych ustępów. W przyśpieszonym tempie odbywała się faszyzacja Polski. Wrzesień zbliżał się szybkimi krokami.

Leszek Goliński

WSRÓD CZASOPISM

„Życie Literackie"

Po przeniesieniu redakcji „Twórczości" do Warszawy funkcję jedynego pisma literackiego o ideologii postępowej w południowej części Polski spełniał **„Dziennik Literacki"**, tygodnik o trochę niefortunnej nazwie, ukazujący się początkowo jako niedzielny dodatek do „Dziennika Polskiego". Zdołał on wprawdzie w krótkim czasie rozszerzyć swą poczytność poza zasięg oddziaływania swego pisma macierzystego, miał szlachetną ambicję stania się pismem literackim dla najszerszych mas, niezależnie też od tych czy innych niedociągnięć spotykaliśmy na jego łamach szereg ciekawych pozycji — jednakże już sam „dodatkowy" charakter sprawił, że nie mógł on sprostać zadaniom, jakie ostatnimi czasy postawiło przed nim życie. Wzrost aktywności i potrzeb kulturalnych ośrodka śląsko - krakowskiego spowodował konieczność utworzenia w Krakowie samodzielnego pisma literackiego, odpowiadającego tym społecznym potrzebom, a uwzględniającego szerzej problematykę kulturalną Polski południowej i Śląska.

W takich warunkach narodził się dwutygodnik **„Życie Literackie"**, wydawany przez oddziały krakowski i katowicki Związku Literatów Polskich. A uświadomić sobie trzeba, że narodził się w warunkach trudnych. Śląskie środowisko literackie jest nieliczne, krakowskie zaś — niezaktywizowane dotąd publicystycznie dzięki specyficznemu charakterowi „Dziennika Literackiego" — należało ożywić i wciągnąć do współpracy. Nie można również zapominać i o trudnościach wypływających ze specyficznej atmosfery krakowskiej. Dzisiejszy Kraków ma bowiem jeszcze dwa oblicza. Jedno z nich dojrzewa pod ożywczym wpływem Nowej Huty, drugie tuła się jeszcze po krakowskich plantach, przebija z każdej strony „Tygodnika Powszechnego..." „Upośledzenie gospodarcze Krakowa i jego zaplecza — pisze Adam Polewka w nr. 2 „Życia Literackiego" — tworzyło wśród większości inteligencji typ umysłowości chorej, pełnej pretensjonalności, zarozumiałego tradycjonalizmu, bezproduktywnych marzeń o wielkości. Gdyby Kraków i jego zaplecze były okręgami przemysłowymi — wiele zjawisk kulturalnych wyglądałoby inaczej (...) Ale ulice Krakowa z dnia na dzień zmieniają swe oblicze. Coraz liczniej kroczy po nich nowy człowiek, budowniczy Nowej Huty i nowego życia. Człowiek twórczy. Zwycięski proletariat". Pięć dotąd wydanych numerów „Życia Literackiego" pozwala stwierdzić, że pojawienie się tego nowego człowieka niosącego z sobą nową problematykę znalazło na łamach pisma należyty — chociaż na pewno jeszcze nie całkiem doskonały i niepełny — wyraz artystyczny. „Życie Literackie" zdobyło sobie poczesne miejsce wśród innych czasopism literackich i przekonani jesteśmy, że dążyć będzie nadal do ugruntowania i umocnienia tej pozycji. Przybył nam więc sojusznik w walce o socjalistyczną literaturę i współzawodnik w bitwie o coraz wyższy poziom ideowy i artystyczny naszego czasopiśmiennictwa literackiego.

Z perspektywy sześciu numerów daje się stwierdzić, że „Życiu Literackiemu" nie udaje się jeszcze w wystarczającej mierze reagowanie publicystyczne na istotne wydarzenia bieżącego życia polityczno-kulturalnego. Wiąże się to ze wspomnianą trudną sprawą zaktywizowania piór literackich do publicystyki. Szereg przykładów z naszego czasopiśmiennictwa świadczy, że udział literatów w pracy publicystycznej wokół zagadnień walki o pokój, ważnych wydarzeń polityki w skali światowej, realizacji planu sześcioletniego może być i jest wyjątkowo twórczy. „Życie Literackie" ma na swym terenie to ważne zadanie do spełnienia.

Drugą kwestią, wyłaniającą się przy lekturze dotychczasowego dorobku nowego dwutygodnika, jest próba udzielenia odpowiedzi na pytanie: w jakim stopniu „Życie Literackie" odzwierciedla życie i problemy swego terenu, oraz czy potrafiło ono zmobilizować do współpracy tamtejszych pisarzy. Niewątpliwie słusznie, że na pierwszych stronicach pojawiają się zasadnicze, ogólno-kulturalne artykuły, lecz nie one wskazują na łączność pisma ze swym terenem. To dopiero owe „wewnętrzne" zagadnienia, sposób ich przełamywania i ukazywania, nadają każdemu pismu charakterystyczne i jemu tylko właściwe oblicze. W „Życiu Literackim" „teren" znalazł swoje odbicie i swoje problemy. Otwinowski i Bober piszą o objazdach prowincjonalnych; jeden do Nowego Sącza, drugi do Dąbrowy Tarnowskiej i Żywca. Poruszają sprawy tamtejsze, osiągnięcia i niedomagania. Na pewno znajdą oddźwięk, wywołają dyskusję (chociaż niekoniecznie w prasie), spowodują zmiany. Kazimierz Olszewski sumuje plon stu wieczorów literackich zorganizowanych przez TWP na terenie województwa krakowskiego. Andrzej Wydrzyński zamieszcza reportaż z kopalni węgla, Jerzy Lovell zbeletryzowane szkice o procesie wolbromskim i ludziach budujących Nową Hutę. Są też i artykuły o nieco innym charakterze. Np. omówienie życia teatralnego Chrzanowa i działalności amatorskiego „Miejskiego Teatru Ludowego" w tymże mieście. Jakaż korzyść płynie z takiego sprawozdania? — nasuwa się pytanie. Nie tylko — jak sądzę — poinformowanie rzesz czytelniczych o danej sprawie, ale i zachęta dla ludzi, o których się pisze. Wiem z własnych obserwacji co znaczy dla prowincjonalnych placówek kulturalnych, jeśli znajdują one słowa uznania dla swojej pracy. W ten sposób wytwarza się poczucie łączności: ludzie uświadamiają sobie, że każdy na swoim odcinku walczy o wspólny cel, że ich wkład ma także znaczenie, że wkład ten jest należycie oceniany.

Fakt powstania na terenie Krakowa i Śląska „Życia Literackiego" przyczynił się do twórczego ożywienia pisarzy tego okręgu. Naturalnie pismo nie rezygnuje ze ścisłej współpracy z pisarzami innych środowisk, rozumiejąc doskonale, że nie leżałoby to w interesie zarówno literatury jak i czytelników. Na jego łamach drukują fragmenty nowych powieści m. in. Kazimierz Brandys i Franciszek Fenikowski. Ten wachlarz nazwisk wskazuje na ambicje zespołu redakcyjnego. Natomiast silnie podkreślić trzeba fakt zaktywizowania pisarzy miejscowych starszego pokolenia, dotąd rzadko odzywających się na łamach pism. I tak **Gustaw Morcinek** zamieszcza fragment nowej powieści o śląskim Janosiku-Ondraszku, **Jan Brzoza** opowiadanie o elektryfikacji wsi, **Jan Wiktor** fragmenty ciekawej przedmowy do nowego wydania „Wierzb nad Sekwaną". **Adam Polewka** drukuje cięte felietony o kołtunerii krakowskiej. „Życie Literackie" dba również o młodych prozaików. Interesująco wypadają nowatorskie tematycznie debiuty młodych: Jana Jaźwieca i Włodzimierza Graba. Na opowiadanie „Oddział trzeci nie nadąża..." pióra tego ostatniego, górnika kopalni „Kleofas", warto zwrócić uwagę. Mimo pewnych braków artystycznych i kompozycyjnych autor ukazał w sposób realistyczny węzłowe dziś problemy śląskiego środowiska robotniczego. Poezja za to w piśmie jest dosyć nierówna — obok wierszy ciekawych trafiają się i słabe. Są też — nieliczne — wręcz nieudolne (np. Timofiejewa „Warszawski murarz"), tak że zastanowić się wypada nad celowością ich wykorzystania. Również kolumna młodych poetów zamieszczona w związku ze zjazdem nieborowskim wykazuje raczej słabość krakowskiego narybku poetyckiego.

W dziale historyczno - literackim, mającym ukazać we właściwym świetle postępowe tradycje naszej literatury, Stefan Żółkiewski daje nową interpretację twórczości młodego Mickiewicza, Tadeusz Mikulski pisze o roli „Monitora" w rozwoju pisarskim Krasickiego, Błoński recenzuje powieść Jana Potockiego W związku z tą ostatnią pozycją zamieszczoną w numerze piątym „Życia Literackiego", wraz z otwierającym numer artykułem Wyki o sytuacji na froncie polonistycznym — dawało się słyszeć głosy o pewnym przeroście zagadnień „polonistycznych" nad aktualno-literackimi. Wydaje się jednak, że jest to tylko sporadyczne zakłócenie równowagi. Na czoło artykułów krytycznych wysuwają się niewątpliwie szkice Ludwika Flaszena, poświęcone najnowszej literaturze radzieckiej („Zwyciężył człowiek", „Powieści czwartej pięciolatki"). Flaszen ujmuje szereg pozycji z tej literatury o pokrewnej tematyce czy problematyce w jednym dłuższym artykule krytycznym, dając tym samym czytelnikowi polskiemu możność głębszego zrozumienia zagadnień najnowszej literatury radzieckiej. Zdarzają się jednak w piśmie recenzje słabsze, np zdawkowe omówienia książki Korczaka przez Kijowskiego, czy nie przemyślana ideologicznie recenzja Błońskiego ze „Studni cudów" Chamsona, poprzestającego na błyskotliwych sformułowaniach, nie trafiających w istotę zagadnienia. W dziedzinie krytyki poetyckiej pożyteczna jest popularna próba bilansu zeszłorocznego dorobku poezji polskiej dokonana przez Włodzimierza Maciąga; słuszna jest również recenzja z poezji Jalu Kurka pióra Leszka Herdegena.

Trudno omawiać dokładnie materiał zawarty w „Życiu Literackim". Dokonajmy podsumowania. Sprawy teatru i filmu zajmują w piśmie należne im miejsce. Ciekawie również przedstawiają się ostatnie kolumny, poświęcone kronikom, przeglądowi prasy i drobnym notatkom. Potrzebny i pożyteczny dla czytelnika jest dział krótkich omówień nowości wydawniczych, chociaż w odniesieniu do współczesnych pozycji krajowych razi czasami bezkrytycyzm, poprzestawanie na samym streszczeniu akcji (np. notatka o „Mądrych ziołach Żukrowskiego"). W sumie wysiłek, jakiego dokonał zespół redakcyjny „Życia Literackiego", wymaga należytej oceny i pochwały. Życie literackie kraju powiększyło się o nową, poważną placówkę walczącą, wraz z innymi, o jego socjalistyczne oblicze. **gbl**

EDWARD SZUSTER

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Po roku doświadczeń

Od czasu do czasu pojawiają się na łamach naszych pism wypowiedzi i artykuły dotyczące zagadnień pisarstwa filmowego lub — jak kto woli — scenariopisarstwa. Ostatnio nawet temat ten podejmowany był dość często. O ile pozytywnie ocenić należy wzrost zainteresowania sprawą scenariopisarstwa, o tyle trudno nie podkreślić dość jednostronnego charakteru poświęconych temu zagadnieniu prac. Ogromna ich większość dotyczy przede wszystkim teorii scenariusza; wiele już napisano na temat: jak trzeba pisać dla filmu. Wydawać by się mogło, że największą bolączką naszego scenariopisarstwa jest niedostateczna sprawność scenarzystów. Tymczasem jest wiadomo powszechnie, że nie tylko jakość naszych scenariuszy kuleje. Wiadomo także, że i ilość scenarzystów, liczebność kadry pisarzy filmowych jest zdecydowanie niedostateczna dla skromnych tymczasem ale wciąż rosnących potrzeb naszej kinematografii. Wydaje się, iż warto omówić i to zagadnienie.

*

Z okresu międzywojennego — zgoła przecież nieciekawego w zakresie filmu — wyszła ta niewielka grupka ludzi, ktorzy stanowią dziś wykwalifikowaną kadrę scenariopisarzy. W sumie liczba tych mniej czy więcej lecz już doświadczonych scenarzystów nie przekracza dziesiątki. Dziesięć filmów rocznie ma produkować Wytwórnia Filmów Fabularnych pod koniec sześciolatki. Kto napisze scenariusze? Jest rzeczą oczywistą, że pracy tej nie podoła ta szczupła grupka.

Film poszukiwał kontaktów z pisarzami od początku swej działalności. Powiedzmy szczerze, że niewiele rezultatów poszukiwania te przyniosły. Dopiero zjazd wrocławski z listopada 1949 roku przyniósł propozycję organizacyjnego rozwiązania problemu współpracy pisarza z Filmem, wysunął koncepcję tzw. Zespołów Dramaturgicznych.

*

Zainteresowanie scenariuszem było i jest w środowisku pisarskim różne. Są pisarze w ogóle nie interesujący się scenariuszem, są tacy, którzy od czasu do czasu zajmą się tym gatunkiem na uboczu głównego nurtu swej pracy. Są wreszcie, bardzo nieliczni, traktujący scenariopisarstwo jeżeli nie jako zasadnicze, to jako równoprawne z innymi — zajęcie pisarskie. Ci ostatni właśnie wezwani zostali w Wiśle do współpracy z Filmem w ramach Zespołów Dramaturgicznych. Składające się z dwu lub trzech ludzi Zespoły — poza pisarzami mogli wchodzić do nich także publicyści czy filmowcy — miały dostarczać Filmowi określoną ilość tekstów scenariuszowych. W zamierzeniach organizatorów Zespoły winny wykonywać swe zadania nie tylko w oparciu o własną produkcję pisarską. Miały ponadto być ośrodkami oddziaływania na środowisko pisarskie. Poprzez nawiązanie kontaktów z tymi pisarzami, których „od czasu do czasu" scenariusz interesuje, poprzez konsultowanie ich pracy, poprzez szereg czynności, które określało się mianem akwizycji. Zespół miał wyglądać drogę między literatem a Filmem. Koncepcja niewątpliwie ciekawa. Organizując Zespoły, Film — po pierwsze — zyskuje pewną ilość stałych pracowników twórczych, specjalizujących się w scenariopisarstwie, po drugie — rozszerza się wydatnie front kontaktów Filmu z literatami. Wydawać by się mogło, że Zespoły rozwiążą zagadnienie kadr scenariopisarskich i ciążąca nad Filmem zmora trudności programowych stanie się mniej niebezpieczna. Czy rezultaty rocznej pracy Zespołów potwierdzają te oczekiwania?

*

Od stycznia ubiegłego roku pracują przy Wytwórni Filmów Fabularnych Zespoły Dramaturgiczne. Nie jest oczywiście przypadkiem, że łódzkie środowisko pisarskie nawiązało ściślejszy kontakt z Filmem; Wytwórnia znajduje się w Łodzi. Trzy trójki aspirantów scenariopisarstwa działają tutaj od chwili zorganizowania Zespołów, co jednak wcale nie znaczy, że mamy do czynienia z tą samą wciąż dziewiątką. Przeciwnie. W okresie od stycznia do września ubiegłego roku pojawiło się tu siedem trójkowych kombinacji, przez które przeszło 18 pisarzy, publicystów czy filmowców. Ten okres reorganizacji i przemian zastąpiła od października do dziś trwająca era stabilizacji. Dziś łódzkie Zespoły Dramaturgiczne skupiają 8 członków ZLP, 1 publicystę i 1 uczestnika prac Koła Młodych przy ZLP; w ósemce, która przepłynęła przez Zespoły w okresie organizacji było 5 literatów, 2 filmowców i 1 publicysta. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Zespoły warszawskie składały się wyłącznie z literatów, to stwierdzić należy, że wezwanie pisarzy do współpracy z Filmem zostało podjęte. W rezultacie, po zmianach i reorganizacjach, Film istotnie ma dziś 9 nowych stałych scenarzystów, a więc wokół starej kadry pojawił się równy jej ilościowo „narybek". Zobaczmy jakie są jego osiągnięcia?

*

Umowy stanowiące formalną podstawę współpracy między WFF a Zespołami nakładają na każdy Zespół obowiązek dostarczenia w ciągu roku 10 konspektów, 4 nowel i 2 scenariuszy (zaznaczam, że za tekst „dostarczony" uważa się wyłącznie tekst zaakceptowany przez Przedsiębiorstwo; odrzucone nie wchodzą w rachubę). W ciągu rocznej pracy Zespołów Film przyjął od nich 8 konspektów i 1 nowelę. Jeśli uprzytomnimy sobie, że mimo zmian w składzie personalnym Zespołów, mimo wspomnianych reorganizacji, w roku 1950 nie było dnia, w którym przy WFF nie pracowałyby co najmniej 3 Zespoły — rezultat ich pracy jest niewątpliwie znikomy. Trzy Zespoły powinny dać w ciągu roku 30 konspektów, 12 nowel i 6 scenariuszy. Liczby wskazują, że Zespoły nie spełniły swego zadania. Czyżby więc należało przerwać ten eksperyment i Zespoły rozwiązać? Odpowiedź na to pytanie winna poprzedzić staranniejsza analiza zagadnienia.

*

Kontakty Filmu z pisarzami nawiązywane w okresie przedwiślańskim dowiodły, że naszemu aktywowi literackiemu obce są na ogół sprawy warsztatu scenariopisarza. W tych warunkach jest rzeczą oczywistą, że sam fakt zorganizowania Zespołów Dramaturgicznych kryzysu scenariuszowego rozwiązać nie mógł. Najwybitniejszy nawet literat oddalony do tychczas od zagadnień pisarstwa filmowego nie uzupełni swych kwalifikacji w tym zakresie tylko przez prosty fakt znalezienia się w towarzystwie dwóch takich samych jak i on laików. Nie wystarcza powiązanie ludzi w grupki i danie im takich czy innych pensji; konieczna jest wydatna i celowa praca mająca na celu zapoznanie pisarza z obcą mu dotychczas gałęzią twórczości. Na kogo spada obowiązek wykonania tej pracy? Rzecz jasna — na Film. Gdybyśmy nawet założyli, że literat-adept pisarstwa filmowego powinien sam, własnym trudem, poprzez liczne omyłki i zawody, zdobyć potrzebne mu doświadczenie, to i tu Film winien jakoś organizować tę pracę, ustawiać ją we właściwym kierunku, słowem — pozostawać w stałym, roboczym kontakcie ze swym nowym współpracownikiem. W przeciwnym razie — zakładając idealną cierpliwość obu stron: pisarza i filmu — można lata całe czekać aż członkowie Zespołów Dramaturgicznych „dojrzeją" do scenariopisarstwa. Warto więc zobaczyć, jak kształtował się ten wychowawczy stosunek Filmu do Zespołów.

*

Omawiając roczną pracę Zespołów czy też pracę z Zespołami, należy wyodrębnić dwa, różne pod każdym względem okresy. Pierwszy z nich, trwający gdzieś od września ubiegłego roku, to okres, który najsłuszniej chyba będzie określić mianem partyzanckiego. Okres ten jest już przezwyciężony i jeżeli w dalszym ciągu zajmował się będę jego charakterystyką, to nie dla wątpliwej satysfakcji wspominania błędów, lecz po to by stwierdzić czy zostały one całkowicie przełamane.

Natychmiast po zorganizowaniu się, Zespoły ruszyły do pracy. Nie poprzedził jej żaden okres przygotowawczy. Szkolenia nie przeprowadzono zadowalając się tym, że w każdym Zespole znalazł się ktoś jako tako obznajmiony z zagadnieniami scenariopisarstwa przeważnie przez uprzednią współpracę z komórką programową łódzkiej Wytwórni. Na dobrą więc sprawę doświadczenie fachowe Zespołów nie wiele przewyższało doświadczenie trójki pisarzy-laików filmowych. Pozycja startowa trudna, choć przyznać trzeba, że członkowie Zespołów nie zdawali sobie z tego sprawy. Tę trudną pozycję startową można było w czasie pracy korygować, umacniać, ale było to możliwe jedynie pod warunkiem istnienia ścisłego kontaktu między Zespołami a czynnikami prowadzącymi politykę programową Filmu. Niestety, tego kontaktu zabrakło. Zabrakło kontaktu roboczego między Zespołami a mieszczącą się w Warszawie Dyrekcją Programową, która oceniała rezultaty ich pracy: nie było planu pracy Zespołów, które działały według swego widzim się bez autorytatywnej kontroli; nie było wreszcie celowej, przemyślanej pracy nad podniesieniem kwalifikacji zespołowców jako scenarzystów.

Dopiero we wrześniu czy październiku ten stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie. Rozpoczęły się cotygodniowe zebrania robocze, na których członkowie Zespołów spotykają się z Dyrekcją przy omawianiu konkretnych tekstów. I nie jest to przypadek, że o ile w ciągu 9 miesięcy okresu partyzanckiego łódzkim Zespołom zlecono opracowanie 2 nowel, to 4 dalsze miesiące przyniosły 4 umowy na nowele. Jest więc i w konkretnych wynikach postęp wyraźny; liczby wskazują, jak potrzebny był Zespołom ścisły kontakt z Dyrekcją. Czy jest on już obecnie dostatecznie mocny?

*

Wróćmy jeszcze na chwilę do okresu partyzantki. Grupka entuzjastów scenariopisarstwa ruszyła w środowisko literackie na poszukiwanie autorów i tematów, trzeba bowiem podkreślić, że omawiana już akwizycja była w okresie partyzanckim zasadniczą metodą pracy Zespołów. I choć prawdą jest, że Zespoły dotarły do wielu pisarzy, to prawdą jest także, że stosowały wobec autorów metodę „puszczania na głęboką wodę". Mówiło się wówczas: napiszcie coś dla filmu i na tym kończyła się konsultacja. Opierając się na intuicyjnym wyczuciu potrzeb Filmu autor pisał, oddawał prace niewiele bardziej świadomemu Zespołowi i rzecz wędrowała dalej drogą urzędową. Tą samą drogą urzędową nadchodziła po pewnym czasie odpowiedź; że była ona najczęściej negatywna — to chyba nic dziwnego.

Wspomniana wyżej procedura irytowała zwerbowanego przez Zespół pisarza, zniechęcała go do dalszej współpracy z mało kompetentnym wysłannikiem Filmu i Filmem w ogóle Zespoły także wycofały się z akcji akwizycyjnej, która nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Cóż więc robią członkowie Zespołów, by choć w części wywiązać się z przyjętych zobowiązań? Zwracają się przede wszystkim ku twórczości własnej, piszą sami.

*

Praca prowadzona przez Zespoły od paru miesięcy w bliskim już powiązaniu z kierownictwem programowym Filmu jest pracą przygotowawczą do nowej ofensywy na środowisko pisarskie. Miejmy nadzieję, że ofensywa ta będzie tym razem skuteczna, że Zespoły przystąpią do niej należycie przygotowane. Jakimi atutami winni dysponować członkowie Zespołów, w co trzeba uzbroić zespoły, by spełniły oczekiwania? Oczywiście warunkiem zasadniczym, podstawowym jest oparcie się o metodę realizmu socjalistycznego jako przodującą metodę twórczości artystycznej Tego warunku nie będę nawet bliżej omawiał. Ponadto sądzę, że istnieją tu jeszcze trzy zasadnicze warunki powodzenia: talent literacki, minimum doświadczenia w pracy scenariopisarskiej i znajomość programowych potrzeb Filmu.

*

Zacznijmy od zagadnienia talentu.

Nie potrzeba udowadniać, że stwierdzenie czy aspirant twórczości literackiej — jaka by to nie była gałąź tej twórczości — dysponuje talentem, może być dokonane dopiero wówczas, gdy „podejrzany" o talent coś napisze. Kandydat na pisarza filmowego powinien więc przede wszystkim własną pracą udowodnić swoją przydatność do obranego zawodu. Czy członkowie Zespołów Dramaturgicznych nie składają takich egzaminów? Niewątpliwie tak: piszą dużo, może nawet za dużo, a raczej za często opracowują i przepracowują konspekty Jak wiadomo, konspekt filmowy jest streszczeniem przyszłego scenariusza. Nad konspektami właśnie siedzą od początku swej pracy Zespoły Dramaturgiczne. Czy konspekt jest formą, której opanowanie świadczy o talencie scenariopisarskim?

Z pewnością nie. Konspekt nie jest gatunkiem literackim. Od utworu literackiego — myślę oczywiście o literaturze realizmu socjalistycznego — wymaga się „typowości przedstawianych postaci i wydarzeń z zachowaniem ich konkretności, indywidualizacji w czasie i przestrzeni": konspekt natomiast uprawnia jedynie do oceny typowości zdarzeń czy postaci.

Zasada konspektu została postawiona przez Film szczególnie twardo jako lekarstwo na zamieszanie w dziedzinie ideologii artystycznej, charakteryzujące w pewnym czasie środowisko pisarskie. W tym czasie konspekt był czymś w rodzaju papierka lakmusowego, ujawniającego w zarysach ogólnych ideologię i zainteresowania tematyczne autora. W tym czasie konspekt był szczególnie przydatny, gdyż ukazywał stosunek autora do realizmu Czy znaczenie konspektu pozostaje niezmienione i dziś, kiedy rozszerzone plenum Zarządu Głównego ZLP stwierdziło, iż aktyw pisarski przyjął jako metodę twórczą — metodę realizmu socjalistycznego? Wydaje się, że nie. Wydaje się, że obecnie konspekt traktować należy jedynie jako przyczynek do określenia trafności wyboru i ustawienia tematu w jak najbardziej ogólnych wymiarach — nic więcej. Konspekt to pomysł. Pełne ideologiczne i artystyczne rozwinięcie pomysłu nastąpić może dopiero w noweli, która jest już już gatunkiem literackim a nie tylko schematyczną notatką.

Dlatego też twierdzę, że formą, która może w pełni zaświadczyć o przydatności pisarza do pracy scenariopisarskiej, jest nowela filmowa. Przerabianie konspek ów niczego nie ujawni. Wiadomo, że nie każdy pisarz przystępuje do pracy z wyraźnym już jej planem, wiadomo też, jak bardzo zmienia się w czasie pracy najstaranniej obmyślony plan.

Tymczasem Zespoły uprawiają wciąż, i niemal wyłącznie, młóckę konspektów. W tej sytuacji czynniki kierujące ich pracą do dzisiaj nie są w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy zatrudnieni w Zespołach przyszli scenarzyści w ogóle nadają się do tej pracy. Na dziewięciu członków Zespołów dopiero trzech próbowało swych sił w noweli filmowej; możliwości pozostałych sześciu są jeszcze nieznane. Wydaje się, że trzeba jak najprędzej sprawdzić te możliwości. Warto chyba istniejący jeszcze stan nieświadomości zlikwidować choćby za cenę paru nieudanych nowel po to, by następnie zweryfikować i ewentualnie odświeżyć skład Zespołów. W przeciwnym razie irytujące obie strony rozczarowania mogą się pojawić już w pełnej pracy Zespołów.

*

Ciągła dyskusja nad konspektami zatrzymuje ponadto rozwój scenariopisarskich doświadczeń członków Zespołów. W dyskusji takiej wykształcić się mogą co prawda przyszli fachowcy konspektu, ale przecież — po pierwsze — nie o to chodzi, po drugie — nie zanosi się nawet na to. Gdybyż dyskusje nad konspektami doprowadziły przynajmniej do sprecyzowania poglądów, czego można i należy wymagać od konspektu. Niestety, nawet to podsumowanie nie zostało dokonane. Od czasu do czasu pojawiają się w dyskusjach pretensje, że jakiś konspekt nie daje żywych postaci, od czasu do czasu słychać zarzut ogólnikowości w rysowaniu fabuły Sądzę, że nie należy oczekiwać od autora, by pisząc konspekt, streszczał doskonale już i dokładnie zarysowany w jego wyobraźni film; wolno mu chyba czegoś jeszcze nie wiedzieć. Na to ogólnikowe stwierdzenie zgadzają się zresztą wszyscy uczestnicy odpraw z Zespołami, ale zakres dozwolonej autorowi niewiedzy jest komentowany dowolnie.

Nie zanosi się więc na wychowanie zespołowców jako speców od konspektu. Na co się więc zanosi? Specjalistami od nowel filmowych nieprędko będą, bo ich jeszcze nie pisali. A scenariusze? Pewno za parę miesięcy stanie na dyskusjach zespołowych pierwszy opracowany przez członka Zespołu scenariusz. Wtedy będą i doświadczenia w pracy scenariopisarskiej. Ale przecież — odpowie mi ktoś — minęła już dawno epoka zdobywania wiedzy wyłącznie drogą empiryczną, dziś ludzie przekazują sobie wzajemnie swe doświadczenia; są przecież u nas — nieliczni co prawda — doświadczeni scenarzyści.

Istotnie, minęła już epoka, gdy świadomość zdobywało się tylko drogą własnych doświadczeń, w Filmie jednak ta epoka trwa jeszcze. Istotnie, są u nas doświadczeni scenarzyści, ale ich stosunek do Zespołów jest — w najlepszym wypadku — nijaki. W ciągu roku pracy Zespołów nie zdarzyło się, by któryś z członków starej kadry zainteresował się tym, co się dzieje w Zespołach. Z Zespołami współdziałają jedynie członkowie Dyrekcji Generalnej Filmu; twórczych pracowników filmowych, bardziej doświadczonych, niektórzy członkowie Zespołów nawet z widzenia nie znają. Powiedzmy szczerze: nie jest tajemnicą, że koncepcja Zespołów Dramaturgicznych posiada właśnie wśród kadry filmowców zdecydowanych przeciwników twierdzących, że „z tej mąki chleba nie będzie". Nie mam zamiaru przeciwstawiać tu swego poglądu na tę sprawę, jedno tylko wydaje mi się niewątpliwe: bez aktywnego stosunku do Zespołów wszystkich czynników mogących coś wnieść w ich pracę — a więc i Dyrekcji i kadry doświadczonych filmowców — na pewno nie będzie chleba z tej mąki. Czy ten wkład pracy da w ostatecznym rezultacie obfitość chleba scenariuszowego? Nie przesadzajmy Same Zespoły sytuacji nie rozwiążą, mogą być jednak nie ostatnim elementem w produkcji scenariuszy, a już teraz są jedynym miejscem, w którym zgrupowała się — może nie dobrana jeszcze — kadra przyszłych pisarzy filmowych. Czy zagadnienie kadr scenariopisarskich istotnie nie interesuje doświadczonych filmowców?

Niedobrze więc jest ze sprawą zdobywania doświadczeń fachowych przez członków Zespołów Dramaturgicznych. Jedyna droga jaką tymczasem widać, to droga włas-

(Dokończenie na str. 11)

EGON NAGANOWSKI

CAŁA PRAWDA REWOLUCJI

Zbiorową bohaterką sztuki Treniewa jest sama Rewolucja, rewolucyjna walka nowego ze starym, walka tocząca się na polu bitwy, w konspiracji, w ludzkich umysłach i sercach. Przedstawiając chwilowe wycofanie się czerwonych oddziałów z pewnego miasta, krótkotrwałe panowanie w nim białych, ich ostateczną klęskę zakończoną paniczną ucieczką i zwycięstwem rewolucji, autor wokoło tych prostych historycznych zdarzeń osnuwa kilkanaście krzyżujących się pierwszo- i dalszoplanowych wątków akcji. Niby ruchliwy operator filmowy kieruje swój obiektyw to na obóz rewolucji, to na obóz kontrrewolucji, ukazując wyraźnie klasową, ideologiczną i moralną przepaść, która dzieli zmagające się siły. Przy tym bynajmniej nie ułatwia sobie zadania. Obok niezłomnych, monolitycznych od samego początku bojowników proletariackiej sprawy, oraz do gruntu zdeprawowanych, nieuchronnie skazanych na zagładę białogwardzistów, wprowadza postacie, które pod wpływem rozwoju wypadków przechodzą definitywnie na stronę ludu, stają się prawdziwymi towarzyszami lub też staczają się ostatecznie na stracone pozycje ginącego świata. Te dramatyczne „przejścia", subtelnie i indywidualnie zróżnicowane, a zarazem typowe w swej klasowej wymowie, świadczące — jak cała zresztą sztuka — o tym, że piękna i wzniosła prawda rewolucji porywa i uszlachetnia tych, co jej służą, otwiera oczy ślepym, a piętnuje zdrajców i wrogów, rzuca Treniew na szeroko namalowane tło ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego. Widzimy wiele mniej lub więcej epizodycznych, nieraz kapitalnie zarysowanych postaci — od budzących się z klasowego uśpienia lub zupełnie jeszcze ciemnych chłopów, do błąkających się między „liniami" liberałów, od szlachetnego lecz naiwnego sekciarza do zawodowego donosiciela, „szabrowniczki" i prostytutki. Postacie te pomieszane z tłumem żołnierzy Czerwonej Armii, robotników, białogwardzistów, mieszczan, sprzedawców ulicznych, przechodniów itp. pokazuje autor w ciągłym ruchu, w migawkowych, szybko zmieniających się scenach i scenkach. To współgrające z głównymi bohaterami tło wyrzuca co chwilę pewne grupy czy jednostki na pierwszy plan, by je zaraz znów pochłonąć i wysunąć inne. Dzięki temu otrzymujemy niesłychanie barwne i dynamiczne widowisko, oddające wyśmienicie rytm rewolucyjnych walk i przemian — oczywiście pod warunkiem, że się sztukę należycie wystawi.

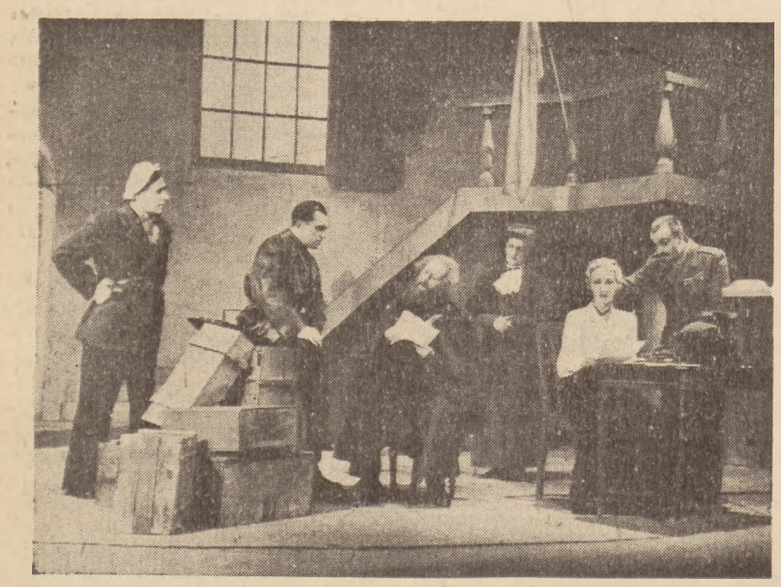

„Lubow Jarowaja" Treniewa w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu. Scena zbiorowa. Od lewej: Szwandia (K. Wichniarz), Koszkin (A. Żukowski), Profesor (A. Possart), Żona (I. Detkowska), Panowa (M. Kiernikówna), Jelisatow (Z. Salaburski).

Twórca i reżyser poznańskiego spektaklu, Tadeusz Muskat, przystąpił do rzeczy z jasno sprecyzowaną, z samej sztuki wysnutą koncepcją inscenizacyjną. Widać to od razu po trafnym zróżnicowaniu atmosfery, panującej w obozie czerwonych i obozie białych. Pierwszy tchnie, mimo nieodzownego chwilami pośpiechu, wytężonej pracy i aktywności bojowej, wielkim wewnętrznym spokojem, płynącym z niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo, a drugi trawiony jest nieustannym, „podskórnym" niepokojem, przeczuciem klęski, maskowanym bądź sztucznym optymizmem, bądź też hulaszczą, jakże nerwową w gruncie rzeczy „beztroską". Zamierzony przez autora kontrast reżyser pogłębił wszystkimi stojącymi mu do dyspozycji środkami. O ile np. scenę w Komitecie Rewolucyjnym, krótko przed ewakuacją miasta, cechuje celowość działania, oszczędność ruchów aktorów, brak jakiegokolwiek popłochu, o tyle zamieszanie wśród białych, wywołane przez drobny incydent w scenie bulwarowej przeradza się w histeryczną, z doskonałym realizmem wyreżyserowaną panikę. Operowanie tłumami, grającymi w „Lubow" tak ważną rolę, jest w ogóle jednym z bezsprzecznych osiągnięć poznańskiego przedstawienia. Dotyczy to zwłaszcza wszystkich scen tumultów, zamieszek i batalistycznych fragmentów.

We wspomnianej scenie bulwarowej reżyser ani na chwilę nie pozwala widzowi zapomnieć o tym, że biali, ogarnięci szałem spekulacji, trawiący lekkomyślnie czas na hulance, siedzą na beczce z prochem, do której proletariackie ręce przytykają już palący się lont. Przy tym obraz ten zyskał niewątpliwie na symbolicznej wymowie dzięki dobremu pomysłowi dekoracyjnemu Tadeusza Kantora. Podział planów na bawiącą się „górę" i na „doły", gdzie rozstrzygają się losy przyszłości ma naprawdę głębszy, pozadekoracyjny sens. Sensu tego scenograf w innych obrazach niestety nie wydobył. I tak np. lokal Komitetu Rewolucyjnego, mający się mieścić w jakiejś byłej willi, nie wykazuje — wbrew wyraźnym wskazówkom autora — żadnych „śladów dawnej zamożności", stylizowana szkoła (obraz VI) niczym z sztuką nie jest związana a ponadto robi wrażenie szkoły dla liliputów, ekspresjonistyczne skały w obrazie III ani nie harmonizują z rozgrywającą się na nich sceną, ani tym bardziej z ściśle realistycznym charakterem całości spektaklu. Tyle, sumarycznie o dekoracjach, które nie są najmocniejszą stroną poznańskiej „Lubow".

A teraz najważniejsze postacie sztuki i ich aktorska interpretacja. Otóż pod względem ideologicznym w „Lubow Jarowaja" dominuje niewątpliwie komisarz Koszkin, mimo że sytuacyjnie nie jest on bynajmniej postacią centralną. Koszkin reprezentuje siłę, prawdę, bezkompromisową ideowość i moralną czystość rewolucji. Kieruje z ramienia partii akcją bojową, potem w czasie okupacji miasta przez białych działalnością konspiracyjną, nie waha się zastrzelić swego przyjaciela i „towarzysza na śmierć i życie", Groznoja, gdy ten splamił się rabunkiem, głęboko docenia znaczenie oświaty, otacza opieką znanego uczonego, profesora Gornostajewa, który pod jego wpływem postanawia służyć swą wiedzą ludowi. Koszkin jest więc pięknym typem pozytywnego bohatera — właśnie takiego, jaki naszym aktorom wciąż jeszcze sprawia najwięcej kłopotów. Antoni Żukowski, odtwarzający tę postać, dzięki silnie zaakcentowanej prawości, energii i stanowczości, dzięki spokojowi, promieniującemu z jego postawy, na ogół dobrze podkreśla przodującą rolę ludzi partii w walkach z białogwardyjską kontrrewolucją. Szeregowca rewolucji Szwandię autor wyposażył we wspaniały ludowy humor i dowcip, uczynił zeń niezapomnianą, tryskającą życiem postać. I trzeba przyznać, że Kazimierz Wichniarz walory te wydobywa z doskonałą werwą i rozmachem. Chwilami co prawda komizm Wichniarza przygłusza klasową wymowę postaci (scena z konwojentami), lub nawet nabiera trochę operetkowego zabarwienia (przeszarżowane uwolnienie Lubow). Mimo to Wichniarz, ogólnie biorąc, dobrze wywiązuje się ze swego zadania, bo grając Szwandię dodaje do komizmu sporą dozę naiwnej, lecz gorącej wiary w sprawę, trafnie stwarza pełnego uroku i romantyki pozytywnego bohatera.

Pragnąc odmalować całą prawdę rewolucji, Treniew nie mógł pominąć jej optymistycznego tragizmu. Przeciwnie. Poprzez postać Lubow Jarowaja postawił go w centralnym punkcie sztuki. Lubow, niepozorna nauczycielka wiejska, z „ciemnej, tchórzliwej mieszczki" — jak samą siebie retrospektywnie określa — staje się bohaterską bojowniczką, okupującą ideologiczne zwycięstwo nad sobą samą najstraszliwszą osobistą tragedią. Koszkin i Szwandia nie ulegają od pierwszego do ostatniego aktu żadnym przemianom. Natomiast Lubow rośnie w naszych oczach, mimo wewnętrznej męki nie załamuje się, kiedy zaginionego podczas wojny męża, ongiś ofiarnego rewolucjonistę, odnajduje w szeregach białych, krzepnie jeszcze bardziej pod wpływem tego okropnego odkrycia oraz dalszych bolesnych rozczarowań i ostatecznie wydaje zdrajcę w ręce karzącej sprawiedliwości ludu. I wtedy dopiero, złożywszy ofiarę ze swej miłości, która stała się miłością złą, bo sprzeczną z jej drogą ideologiczną i dobrem ludu, może o sobie powiedzieć, że od tej chwili zasługuje na miano „prawdziwego towarzysza".

Niemirowicz, Danczenko ostrzegał kiedyś, by roli Lubow nie ujmować statycznie, by nie przedstawiać jej zaraz od początku jako zbyt silnej indywidualności i jako towarzyszki, bez reszty oddanej sprawie rewolucji. I słusznie. W ten bowiem sposób jej dojrzewanie nie znajdzie wyrazu, jej ofiara straci na decydującym znaczeniu, a dynamika rewolucyjnej prawdy, wyzwalającej w ludziach szlachetne bohaterstwo, zostanie — w oczach widza — osłabiona. Niestety Janina Jabłonowska, poznańska Lubow, jest właśnie od pierwszej sceny silną i wykrystalizowaną towarzyszką. W tych zwężonych ramach stwarza konsekwentny typ zahartowanej, twardej, surowej dla siebie samej kobiety, co m. i. zewnętrznie podkreśla „topornością" postawy i ruchów, zupełnym prawie zatarciem kobiecych cech. Lubow Jabłonowskiej jest chwilami głęboko tragiczna, ale jest to tragizm zbyt jednostronnie heroiczno-patetyczny, a tam gdzie aktorka stara się, jak np. w scenie przed szkołą, zgodnie z tekstem zdobyć na bardziej miękkie akcenty — nie przekonuje. Trudno nam uwierzyć, że Lubow naprawdę kocha męża silnym uczuciem zaprawionym raz tęsknotą i nadzieją, to znów goryczą i wzgardą. Dlatego też scena wskazania patrolowi uciekającego w przebraniu Jarowoja oraz scena ostatniego spotkania z nim, gdy przechodzi pod eskortą, choć zasadniczo świetnie zagrane (mimika!), nie wywierają takiego wrażenia, jakie wywierać powinny. Tragedia, ofiara i zwycięstwo Lubow nie wydają się tak wielkie, tak po ludzku bliskie, jakimi przecież są.

Zupełnie innego rodzaju, niż optymistyczna tragedia Lubow, jest specyficzna tragedia Michała Jarowoja. Jego linia nie wznosi się, lecz opada, jego nieszczęście osobiste jest wynikiem ideologicznego upadku, zdrada spycha go do „ślepego zaułka". Tak jak wszystkie postacie Treniewa, tak też i on jest zindywidualizowanym typem, typem inteligenckiego mienszewika czy eserowca, który dostawszy się w czasie wojny do niemieckiej niewoli i przesiąknąwszy kapitulanckimi ideami tamtejszej socjaldemokracji, przeszedł faktycznie do obozu reakcji i wiernie mu służy, bo fanatycznie nienawidzi bolszewików. Wprawdzie uważa to tylko za chwilowe przymierze, oszukując sam siebie jednocześnie jasno widzi w kontrrewolucjonistach „garść skazańców"", „zeschłe liście niesione wiatrem", lecz wdziawszy raz białogwardyjski mundur oficerski zdejmie go dopiero w chwili ostatecznej klęski. Przy tym trzeba podkreślić, że autor, rzetelny, unikający wszelkich schematów realista, nie poskąpił zdrajcy rysów dodatnich. Jarowoj jest początkowo w pewnym sensie uczciwy — tą uczciwością odbija od całego białogwardyjskiego otoczenia — jest odważny, energiczny, gorąco kocha Lubow. Przymioty te nie ratują go jednak przed upadkiem. Reakcyjna ideologia rozkłada nieuchronnie jego osobowość, prowadzi go od zdrady do zdrady, w końcu odbiera mu nawet osobistą odwagę. Jak ostatni tchórz stara się uciec w ubraniu „ofiarnika" Kołosowa, skazując tym samym niewinnego człowieka na śmierć, byle tylko uratować swe życie — nędzne życie zupełnego bankruta.

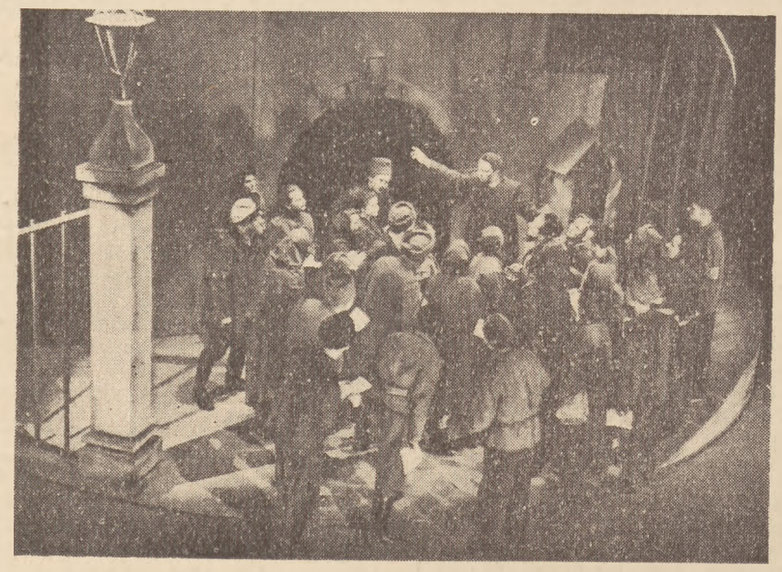

„Lubow Jarowaja" Treniewa w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu. Scena zbiorowa z obrazu VII: Lubow (Jabłonowska) przemawia do robotników.

Rola Jarowoja, podobnie jak rola jego żony, jest trudna. Jan Rudnicki zaś, grając ją, popełnia ten sam błąd co Jabłonowska, tylko że... w odwrotnym kierunku. O ile Lubow Jabłonowskiej jest od początku taką, jaką powinna być dopiero przy końcu, o tyle Jarowoj Rudnickiego jest do końca taki, jakim powinien być najwyżej — i to częściowo — na początku. Chodzi bowiem o to, że Rudnicki uwypuklając silnie dodatnie cechy postaci, utrzymując się stale w tonie bolesno-tragicznego napięcia, pozostaje do końca, do ostatniego „Żegnaj, Luba!" stanowczo zbyt sympatyczny i szlachetny. A ponieważ w ramach tej koncepcji gra bardzo dobrze, budzi raczej współczucie, niż odrazę, schodzi ze sceny nie jako okryty hańbą zdrajca, morderca i bankrut, lecz jako ofiara na wpół tylko zawinionych win. Razem z Panową gotowiśmy w nim prawie upatrywać biednego, zabłąkanego „rewolucyjnego porucznika", który nie mógł się rozeznać w gmatwaninie powikłanych czasów i dlatego poniósł tragiczną klęskę.

Typową bankrutką jest też Pawła Piotrowna Panowa, wdowa po zmarłym w czasie rewolucji architekcie. Zieje ona nienawiścią do czerwonych, do nowego, rodzącego się życia, którego nie rozumie i rozumieć nie chce. Mimo że widzi nieskazitelną uczciwość i ideowość takich rewolucjonistów jak Koszkin, mimo że, z drugiej strony, nie ma żadnych złudzeń co do wartości „zbawców ojczyzny" — jak sarkastycznie nazywa białogwardyjskich oficerów, to jednak solidaryzuje się z obozem kontrrewolucji, ze swoją klasą. W Panowej, pięknym lecz trującym kwiecie, wyrosłym na bagnistym gruncie, autor skoncentrował wszystkie cechy ginącego świata, jego błyskotliwy, zewnętrzny szych, jego beznadziejną pustkę, bezideowość, moralną klęskę przed klęską oręża. A w chwili tej klęski, podczas ostatniej rozmowy z Lubow Panowa staje przed nami w całej swej niczym już nie zamaskowanej podłości. Ulotniły się słowa o kulturze, salonowe kalambury i świetne pozory, ulotniła się ironiczna pewność siebie, pozostała sama obłędna, bezsilna nienawiść klasowa i nic prócz niej.

Treniew przedstawił psychikę i drogę Panowej z mistrzowską wnikliwością. Z bezbłędną ideologiczną i artystyczną prawdą wycieniował typową postać, potępił przez nią i obnażył kosmopolityzm i rozkład dawnej burżuazyjnej inteligencji rosyjskiej gardzącej rodzinnym „barbarzyńskim" krajem. A jednak ustawienie tej postaci w sztuce budzi zastrzeżenia. Autor tak ją „wypieścił", tyle miejsca jej przyznał, że przez to niewątpliwie naruszył proporcje całości. Stąd płynie jasna wskazówka, że w realizacji trzeba Panową, przedstawicielkę ginącego świata, chwilami stonować, by — z szkodą dla ideologicznego sensu — nie wysuwała się zbytnio na pierwszy plan. Tego słusznego, jak mi się wydaje, postulatu w omawianym przedstawieniu nie uwzględniono. Manuela Kiernikówna dysponując doskonałymi warunkami zewnętrznymi wygrywa bez reszty wszystkie nuance i sugestie tekstu. Pomijając pewne „przegięcia" i sztuczne pozy, kształtuje — ogólnie biorąc — typ Panowej z tak wyrafinowaną finezją, czyni go przy całej jego moralnie i ideologicznie odrażającej wymowie, aktorsko tak interesującym, że zapewnia sobie w sztuce dominujące miejsce. Szczególnie w zestawieniu z przesadnie heroiczną i „usztywnioną" Lubow Jabłonowskiej, drapieżna i dekadencka, lecz bardzo przy tym żywa i przekonywająca w swym błyskotliwym cynizmie Panowa-Kiernikówna przykuwa ponad słuszną miarę uwagę widza.

Powiedzieliśmy poprzednio, że dużo trudności przy realizowaniu „Lubow Jarowaja" nastręcza konieczność wprowadzenia znacznej ilości drugoplanowych i epizodycznych postaci, które są ważne dla całości obrazu. I tak np. przez pułkowników Malinina i Kutowa oraz dziennikarza Jelisatowa Treniew dobitnie charakteryzuje białogwardyjski obóz jako kłębowisko osobistych rozgrywek i ambicyjek, małostkowych zawiści, demoralizacji, spekulanckich interesów ukrywanych pod szumnymi frazesami o honorze i ojczyźnie. Rysy te wydobyto w przedstawieniu z dużą prawdą i umiarem, bez wpadania w łatwiznę karykatury. Malinin Zdzisława Relskiego jest udanym typem szarmanckiego kobieciarza i brutalnego specjalisty od wypraw karnych i egzekucji, a Zdzisław Salaburski oddaje w każdym szczególe wyśmienicie ciętego cynika i oszukańczego aferzystę — Arkadiusza Jelisatowa, nędzną kreaturę bez czci i wiary.

Malując szeroko zakrojone tło społeczne Treniew pokazuje w sztuce m. in. kilka reprezentacyjnych postaci chłopskich: wieśniaczkę Marię (doskonała starucha Jadwigi Sachnowskiej) poszukującą i znajdującą swych synów we wrogich obozach — biedniaka Grzegorza u czerwonych i kułaka Siemiona u białych (dobry typ stworzony przez Józefa Skwierczyńskiego), dalej dwóch również klasowo zróżnicowanych konwojentów, z których drugi, fornal, przechodzi do partyzantów, a wreszcie Pikałowa, zupełnie nieuświadomionego i zahukanego chłopka, co to „chadzał z towarzyszami i przeciw towarzyszom". Pikałowa gra kapitalnie Eugeniusz Kotarski, udowadniając raz jeszcze, że — mówiąc słowami Sokorskiego — „nie ma ról wielkich i małych. Są tylko role świadomie zagrane albo bezdusznie odczytane".

Z innych postaci należy jeszcze wymienić szlachetnego, lecz naiwnego sekciarza Kołosowa (z ujmującą prostotą gra go Jerzy Pietraszkiewicz), służącą Dunię, spekulantkę i szabrowniczkę, swoiście pojmującą awans społeczny (Antonina Barczewska), stróża Czyra, zawodowego donosiciela (Stanisław Płonka-Fiszer) oraz małostkową mieszczkę Helenę Gornostajewę (bardzo dobra — Janina Detkowska). Mąż tej ostatniej, profesor Gornostajew zasadniczo odgrywa w sztuce dosyć ważną rolę. Przekonawszy się, że władza radziecka otacza naukę i naukowców troskliwą opieką, że w przeciwieństwie do kontrrewolucjonistów, chodzi jej o rzeczywiste podniesienie poziomu kulturalnego szerokich mas, profesor postanawia użyć swych sił i wiedzy dla szczytnego dzieła ludowego nauczania. Z oderwanego od życia humanisty staje się pożytecznym członkiem nowego, rodzącego się społeczeństwa. Niestety w bezbarwnej interpretacji Jerzego Kordowskiego (stałe zastępstwo za chorego, o wiele lepszego Apolinarego Possarta) Gornostajew jest tylko żałosnym safandułą, wieczystym aresztantem. Ideologiczny sens postaci ginie przy tym prawie zupełnie. Zdecydowanie słaby jest też liberał Folgin, grany przez Władysława Kozłowskiego.

Jak wynika z wyżej przeprowadzonej analizy głównych postaci „Lubow", trafne ich odtworzenie jest rzeczą bardzo trudną i miarą tych trudności trzeba też — mimo takich czy innych zastrzeżeń — mierzyć osiągnięcia wykonawców i reżysera. Jeżeli zaś właśnie przy omawianiu ról najważniejszych starałem się przede wszystkim zwrócić uwagę na pewne błędy czy niedociągnięcia, to czyniłem to dlatego, aby ewentualnie pomóc w ich usunięciu. Chciałoby się przecież, by przedstawienie, które na pewno nie prędko zejdzie z afisza, przedstawienie ogólnie biorąc dobre, inscenizacyjnie bardzo ciekawe, było jeszcze lepsze i jeszcze ciekawsze. By cała prawda Wielkiej Rewolucji Proletariackiej, artystycznie skondensowana i zawarta w dziele Treniewa dotarła nieskażona do widzów cisnących się coraz tłumniej do teatru.

Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości i to chciałbym na zakończenie specjalnie podkreślić, a mianowicie, że „Lubow Jarowaja" w reżyserii Tadeusza Muskata, będąc godnym uwagi osiągnięciem w skali ogólnopolskiej, stanowi w pracy Teatru Polskiego w Poznaniu wielki krok naprzód. Krok w kierunku socjalistycznego realizmu i ideologicznego upartyjnienia sztuki scenicznej.

Egon Naganowski

WŚRÓD KSIĄŻEK

Antonina Koptiajewa: „Towarzyszka Anna" — przełożyła z języka rosyjskiego, Maria Kelles-Krawczowa. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950 — str. 444.

Akcja powieści rozgrywa się w 1938 r. wśród surowej syberyjskiej tajgi nad rzeką Ałdanem. Towarzyszka Anna Ławrentiewa jest dyrektorem jednego z zespołów stalinowskich syberyjskich kopalń złota. Zdrowa ambicja jej współpracowników rodzi śmiałe plany produkcyjne, wokół których toczy się akcja. Ale zagadnienia produkcyjne nie przysłaniają autorce tzw. życia „osobistego" jej bohaterów. Praca zawodowa i sprawy osobiste poszczególnych postaci łączą się w powieści w jedną całość, dając pełny, szeroko odmalowany obraz bogatego życia.

Tytułowa postać towarzyszki Anny zawiera w sobie typowe cechy kobiety radzieckiej: szerokie horizonty myślowe, energię w pracy zawodowej i serdeczną tkliwość w życiu rodzinnym. To zestawienie obowiązków zawodowych z naturalnymi czyni z niej postać bliską czytelnikowi, żywą i głęboko ludzką.

Na tle porywającej walki o produkcję — obok głębokich konfliktów osobistych poszczególnych bohaterów — opisuje autorka piękną syberyjskiej ziemi, ukazuje wielu jej mieszkańców, odtwarza zwycięski pochód kultury, przyniesionej przez władzę radziecką na te ogromne, zaniedbane przez carat przestrzenie.

„Towarzyszka Anna" jest powieścią napisaną przez popularną dziś w Związku Radzieckim autorkę w czas jej studiów w Moskiewskim Instytucie Literackim im. Gorkiego.

b.k.

Takidżi Kobajaszi: „Poławiacze krabów" — tłumaczył z przekładu czeskiego A. J. Kamiński — Wyd.-Ośw. „Czytelnik", Warszawa 1950 — str. 149.

Piękne opowiadanie japońskiego rewolucjonisty i pisarza Takidżi Kobajaszi (zamordowanego przez faszystów w 1933 r.) napisane zostało w 1929 r. Treścią jego jest proces kształtowania się świadomości klasowej japońskiego proletariatu. Rzecz dzieje się na statku rybackim, należącym od jednego z japońskich koncernów. Nieludzkie traktowanie robotników przez przedstawiciela koncernu rodzi wśród załogi rozpaczliwy bunt. Tragiczna rezygnacja, cechująca robotników na początku podróży, zmienia się w miarę rozwoju wypadków w uświadomioną klasowo nienawiść. Do buntu podjętego przez rybaków przyłączają się palacze i marynarze. Jedność daje im poczucie siły, która mimo stłumienia buntu przez policję, pozostaje ich trwałą zdobyczą. Powieść przepojona jest wiarą w ostateczne zwycięstwo wielkiej sprawy.

Piękny język, umiejętność roztaczania przed oczyma czytelnika malowanych najprostszymi środkami obrazów, stawia autora w rzędzie pisarzy wielkiej miary.

Dziś, gdy imperializm amerykański usiłuje podźwignąć z upadku odradzający się faszyzm japoński, gdy w bezpośrednim sąsiedztwie Japonii — na Korei — spisek międzynarodowego kapitału rozpalił pożogę wojenną zagrażającą pokojowi świata, książka Takidżi Kobajaszi, ukazująca nieprzejednany stosunek japońskiego proletariatu do faszyzmu, posiada szczególną wymowę.

b.k.

Andreas Kedros: „Odeon" — tłum. z francuskiego Danuta Wojtygowska. Wyd. „Czytelnik", Warszawa 1950 — str. 193.

Akcja opowiadania płynie dwoma nurtami: jednym z nich jest pamiętnik młodej uczennicy ateńskiej szkoły muzyczej, drugim relacja autora, stanowiąca konfrontację osobistych doznań pamiętnikarki z otaczającą ją rzeczywistością. Rzecz dzieje się w Atenach w latach hitlerowskiej okupacji.

Autor oddał w porywający sposób bohaterski patos walk ludu greckiego z rodzimym i hitlerowskim faszyzmem, ukazał przodującą rolę komunistów, odmalował kilka znakomitych ich portretów, ale niewłaściwa hierarchia opisywanych zdarzeń — fakt, iż walkę, cechującą odtwarzaną epokę, zamknął w komentarzu do mało typowych dziejów młodej dziewczyny z drobnomieszczańskiego środowiska — ciąży nad prawdą artystycznego wyrazu świetnego skądinąd opowiadania.

Tom uzupełnia kilka szkiców, demaskujących cynizm angloamerykańskich okupantów i obłudę monarcho - faszystów. Odkrywcze w treści, zwarte w formie, dowcipne stanowią one rzadki przykład doskonałych krótkich opowiadań.

b.k.

HENRYK WANDOWSKI

O życiu literackim Pomorza

Niedawno redakcja „Gazety Pomorskiej" zainicjowała dyskusję w sprawie ożywienia ruchu literackiego na Pomorzu. Pomijając to, że opublikowano tylko dwie cenne wypowiedzi — A. Kowalkowskiego i St. Mędelskiego — jednak sam fakt wszczęcia na ten temat dyskusji jest bardzo wymowny. Nie jest bowiem żadną tajemnicą i przyznajemy to otwarcie — źle dzieje się z literaturą na Pomorzu. Okręg, który mógłby konkurować pod względem aktywności z innymi regionami, znajduje się już od kilku lat w marazmie. Warto przytoczyć tu kilka faktów dla potwierdzenia tej tezy, która dla mieszkańców Pomorza jest oczywistym pewnikiem.

W latach 1947—48 dwaj pisarze: A. Kowalkowski i M. Turwid wydawali wspólnie miesięcznik literacki „Arkona". Nie mówiąc już o trudnościach finansowych, z jakimi pismo się borykało, redakcja nie mogła zapewnić sobie dostatecznej liczby współpracowników, a to dlatego, że okręg nasz nie dysponował większą liczbą aktywnych literatów. Również i ambitnej pod względem literackim młodzieży było bardzo mało. Wówczas „Arkona" postanowiła ratować się współpracą z literatami poznańskimi, warszawskimi, krakowskimi i śląskimi. To również nie pomogło i w rezultacie pismo po kilkumiesięcznej agonii przestało się ukazywać. Tak zakończyła się pierwsza próba przekształcenia Pomorza w żywy ośrodek literacki.

Drugą próbę podjęto w listopadzie 1948 roku. Ówczesny bydgoski Zarząd Miejski ogłosił konkurs na utwór literacki tematycznie związany z Bydgoszczą. Ustalono stosunkowo dość wysokie nagrody (pierwsza wynosiła 200 tys. zł). Niestety, konkurs spotkał się z tak nikłym zainteresowaniem, że organizatorzy przełożyli termin jego zakończenia na wrzesień 1950 roku. Ostatecznie zebrało się jury, które nie miało większych kłopotów z oceną nadesłanych utworów. Pierwszych trzech nagród nie przyznano nikomu. Ośmiu uczestników konkursu otrzymało nagrody pocieszenia. Należy dodać, że przy ocenie jury stosowało bardzo łagodne kryteria, gdyż żaden z utworów nie posiadał wybitniejszych wartości. Tak skończyła się następna próba, podjęta w celu ożywienia ruchu literackiego na Pomorzu.

Równocześnie w ciągu całego ubiegłego roku ukazywały się na łamach byłej „Ziemi Pomorskiej" artykuły, w których coraz natarczywiej wołano o zwrócenie uwagi na najmłodszy element literacki, wykazujący coraz aktywniejszą działalność pisarską. Wówczas doszło do zorganizowania Koła Młodych przy Pomorskim Oddziale ZLP. Koło to, mimo wysiłków opiekuna Władysława Dunarowskiego, do dnia dzisiejszego nie potrafiło wytworzyć sobie właściwych form pracy twórczej i organizacyjnej. Była to trzecia próba podniesienia z marazmu życia literackiego.

Czwartą próbę podjęła w lutym br. „Gazeta Pomorska", inicjując wspomnianą na wstępie dyskusję. Ale jest to dopiero pierwszy krok. Obecnie rozpoczęto już drugi i trzeci etap. Dla wykrycia młodych talentów pisarskich ogłoszono konkurs na utwór poetycki, opowiadanie, nowelę i obrazek sceniczny. Konkurs spotkał się tym razem z żywszym oddźwiękiem. Do redakcji napływają listy zainteresowanych nawet spoza okręgu bydgoskiego. Jednocześnie od 18 marca br. zaczął się ukazywać co dwa tygodnie dwukolumnowy dodatek literacki „Nowy Tor".

Nasuwa się pytanie, jaką rolę spełnia w tej dziedzinie pomorski Oddział Związku Literatów. Oddział ów liczy w tej chwili 12 członków rzeczywistych i 12 kandydatów. Wydawałoby się, że pomimo tej szczupłej liczby sytuacja na odcinku literackim nie powinna się przedstawiać aż tak krytycznie. A jednak, jak wykazałem wyżej, jest czym się martwić.

Większość naszych literatów to przeważnie profesorowie uniwersytetu toruńskiego i nauczyciele bydgoskich szkół średnich, którzy praktycznie biorąc od dłuższego czasu nie przejawiają żadnej działalności literackiej.

W chwili obecnej, o ile mi wiadomo, tylko dwaj literaci pomorscy pracują nad utworami większego kalibru. Władysław Dunarowski przygotowuje nową powieść, poza tym nowe jego opowiadania słyszymy często przez radio. Obok niego pierwszą powieść wydaje debiutant Jan Panasewicz, poruszając w niej ciekawy temat życia rybaków. Panasewicz dał się już poznać publiczności bydgoskiej jako utalentowany pisarz. zna on przy tym dobrze środowisko rybackie, co pozwala rokować w stosunku do jego książki najlepsze nadzieje.

Znacznie lepiej przedstawia się sytuacja na odcinku młodzieżowym. Kilku młodych krytyków i publicystów pomorskich drukuje swe prace na łamach „Wsi" (Halina Filutowicz, Stanisław Mędelski, Sławomir Rogowski, Leonard Wallicht) i „Nowej Kultury" (St. Medelski oraz do niedawna Ryszard Hładko z Torunia, który ostatnio przeniósł się do Warszawy).

Pomyślne nadzieje budzą również najmłodsi adepci rzemiosła literackiego. 20 grudnia ub. r. odbyła się w Bydgoszczy „środa literacka" poświęcona całkowicie twórczości członków Koła Młodych. Zaprezentowali oni swe prace zarówno w dziedzinie poezji (K. J. Hoffman, M. Kasjan, D. Czaplicki) jak i w prozie (Cz. Czerniawski).

Obecnie coraz częściej słychać głosy nawołujące do stworzenia na Pomorzu samodzielnego pisma literackiego. Przemawia za tym niemożność rozwinięcia przez młody i najmłodszy element żywszej działalności na łamach naszych centralnych pism literackich oraz ciągły wzrost i aktywizacja młodego narybku pisarskiego. Pomorzanie powitaliby z zadowoleniem własne pismo w rodzaju krakowsko-katowickiego „Życia Literackiego". Dodatek literacki „Gazety Pomorskiej" nie zaspokoi potrzeb kulturalnych społeczeństwa pomorskiego i w pewnym tylko stopniu będzie odzwierciedlać życie tutejszego regionu.

Henryk Wandowski

ST. LEWIŃSKI

List z Rzeszowa

Przed wojną Rzeszów teatru w ścisłym znaczeniu nie posiadał. Od czasu do czasu w gmachu b. „Sokoła" (przebudowanego w r. 1949 na względnie przyzwoity lokal teatralny) produkował się zespół amatorski, jak sądzę — o wiele słabszy i nie mający ani tych tradycyj, ani ambicji co przemyskie „Fredreum", o którym czytelnicy „Nowej Kultury" wiedzą z Nr. 5 tegoż pisma.

Po wojnie, w bezpośrednim związku z awansowaniem Rzeszowa na stolicę województwa, powstał stały teatr, na wpół zawodowy, do 31 grudnia 1947 roku właściwie „prywatny", pod dyrekcją W. Siemaszkowej.

Po śmierci tej zasłużonej pionierki teatralnej Rzeszowa, znakomitej artystki, borykającej się z olbrzymimi trudnościami repertuarowymi, aktorskimi i brakami materialnymi — Teatr został przejęty przez Zarząd Miejski, a następnie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki jako „Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej". Przed dwoma laty budynek po b. „Sokole" został gruntownie wyremontowany i adaptowany do celów scenicznych.

Ilość premier od roku 1946, wyniosła ponad 50, to znaczy przeciętnie jedna premiera na miesiąc w sezonie. Autorzy mniej więcej w kolejności premier, to: Słowacki, Szaniawski, Effimin, Fredro, Reyman, Zawieyski, Benatsky, Simonow, Gavault, Nicodemi, Benedetti, Bałucki, Priestley, Verneille, Wirski, Covard, Isajew, Scribe, Uspienski, Kruczkowski, Szekspir, Jerzmanowska, Ruszkowki, Gergely, Kornijczuk, Molier, Bałtuszis i Maliszewski. Przeciętna ilość przedstawień każdej sztuki — 26.

Rzecz prosta, Rzeszowa nie ominęło zjawisko typowe dla wszystkich teatrów polskich 1945—1950 r. — nie wyłączając przodujących stołecznych: dezorientacji repertuarowej i inscenizacyjnej. W dużym stopniu wpłynęła na to konieczność liczenia się z gustem dominującej z początku publiczności, składającej się z obfitej „inicjatywy prywatnej" i mało wybrednej, szukającej w teatrze „lekkiej" (a ściślej: oderwanej od rzeczywistości) rozrywki — inteligencji „zawodowej". Jako jeszcze prywatny, a potem nawet i miejski, Teatr musiał się liczyć z frekwencją utrzymującej go publiczności. Stąd w pierwszych latach przewaga takich widowisk, jak operetki „Rozkoszna dziewczyna" i „Królowa przestworza", lub sztuki „Rozdroże miłości", czy „Seans".

O szkoleniu ideologicznym aktora, o jego najściślejszym powiązaniu z masami, o oderwaniu od nawyku schlebiania gustom „pańskiej" publiczności — nikt jeszcze na serio nie myślał. Przy tym konieczność dawania raz w miesiącu nowej sztuki, to przeklęte quantum 10 premier w sezonie, przy magicznej cyfrze 14 osób personelu artystycznego przez cały czas istnienia Teatru (z czego przeciętnie połowa nie miała jeszcze kwalifikacji) — nie sprzyjały ani możności rozważnego wyboru wystawianych sztuk, ani należytemu przepracowaniu ról, ani zastosowaniu metody zespołowej, nie mówiąc już o takich subtelnościach, jak właściwa interpretacja czy jednolity styl gry.

Ale rosnąca opieka Partii i pojawienie się nowego konsumenta na widowni — świata pracy — doprowadziły i tu do wyłomu. Repertuar zaczyna się stopniowo poprawiać, a zalecenia i wskazania powoli trafiają do sal prób i na scenę. Zaczyna się stopniowe rośnięcie Teatru, wiązanie go z nową i twórczą rzeczywistością, włączanie w nurt ogólnonarodowych problemów i dążeń. Teatr, mimo szczupłego personelu, mimo ciężkich warunków pracy i konieczności dzielenia się salą z organizacjami i szkołami (co często powodowało konieczność odbywania ważnych prób w garderobach) — wyjeżdża dość często i niemal z każdą premierą w teren, częstokroć do bardzo odległych i pozbawionych łatwej komunikacji osiedli.

Reasumując: Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej ogromnym (zapewne większym niż zasobniejsze w kadry i technikę teatry wielkomiejskie) wysiłkiem szczupłego personelu artystycznego i technicznego zwycięsko brnie przez typowe i specyficznie lokalne trudności i staje się placówką z „prawdziwego zdarzenia", związaną ze społeczeństwem pracującym.

Dobitnie świadczą o tym premiery, wystawione w ostatnim sezonie: „Sprawa Pawła Eszteraga" (31 przedstawień tutaj i 4 w terenie), „Platon Krecet" (34 i 8), „Grzegorz Dyndała" (23 i 8), „Damy i huzary" (33 i 10) — a zwłaszcza dwie ostatnie: „Pieją koguty" (27 i 2, objazdy nie skończone) i świeżo zaczęte **„Wczoraj i przedwczoraj"**.

Ostatnie dwie premiery świadczą już o wyraźnym podniesieniu poziomu, aczkolwiek Teatr Rzeszowski nie dysponuje w bieżącej chwili ani ilościowym, ani jakościowym doborem talentów i obsada każdej niemal sztuki nastręcza poważne trudności. Dlatego też reżyser L. Barwińska („Wczoraj i przedwczoraj") — poza swoimi normalnymi obowiązkami należytego montażu widowiska oraz nadania mu jednolitego stylu i interpretacji — musiała wiele czasu i pracy poświęcić na dokształcanie młodych sił aktorskich, nie posiadających należytego doświadczenia i wprawy scenicznej.

Sprawy najpilniejsze na przyszłość:

1) Powiększenie zespołu, pozwalające na jednoczesne przygotowywanie dwóch sztuk pod kierunkiem dwóch reżyserów.

2) Częste wyjazdy obydwu zespołów na przemian w teren.

3) Skontaktowanie się i ściślejsze zazębienie współpracy aktorów z amatorskimi zespołami świetlicowymi. Ta współpraca powinna być zorganizowana planowo, z wprowadzeniem zasady odpowiedzialności poszczególnych artystów za daną świetlicę oraz współzawodnictwa jakościowego pomiędzy nimi.

4) Pogłębienie szkolenia ideologicznego i zawodowego aktorów.

St. Lewiński

Krytyk radziecki o współczesnej prozie polskiej

W marcowym numerze miesięcznika **„Nowyj Mir"** ukazał się obszerny artykuł **Tamary Motylewej** („Temat nowego życia"), poświęcony zagadnieniom współczesnej prozy polskiej i czeskiej.

Omawiane powieści polskie dzieli Motylewa na trzy grupy: powieści o klasie robotniczej i inteligencji przemysłowej, rozgrywające się czasowo w latach ostrej i otwartej walki klasowej 1945-46; powieści dotyczące tego samego środowiska, których akcja przebiega w latach 1948-50, a więc w okresie budowy podstaw socjalizmu w Polsce; wreszcie powieści dotyczące przeobrażeń zachodzących na wsi. W grupie pierwszej omawia Motylewa powieści **Pytlakowskiego** („Fundamenty"), **Wilczka** („Nr. 16 produkuje") i **Hamery** („Na przykład Plewa"). Błąd ideologiczny dwóch pierwszych określa w sposób następujący: „produkcja pokazana została przede wszystkim „od góry", pod kątem widzenia kierowników; w centrum uwagi obu autorów znajdują się raczej organizatorzy produkcji niż sami robotnicy". Wilczek w swej powieści o produkcji pozostawił właściwie w cieniu główną pozytywną siłę nowej Polski — jej klasę robotniczą. Na plan pierwszy wysunął inteligencję, naświetliwszy zresztą problemy związane z inteligencją jednostronnie, zapomniał bowiem o wewnętrznej walce ideologicznej pośród inteligencji polskiej. Na skutek takiego ujęcia zadanie zagospodarowania ziem odzyskanych przesłoniło toczącą się walkę klasową. Mimo to jednak książka Wilczka posiada niezaprzeczoną wartość — potrafi on, według słów Motylewej, z większą żywością i konsekwencją niż jego poprzednicy przedstawić procesy codziennej, powszedniej pracy, nie zapominając o jej celu.

Największą zaletą książki Pytlakowskiego, omówionej obszernie przez Motylewę już w 1950 r., jest, w przeciwieństwie do książki Wilczka, pokazanie jaskrawego i szerokiego obrazu walki klasowej w powojennym Wrocławiu. Powieść Wilczka góruje jednak nad powieścią Pytlakowskiego swym optymistycznym tonem, u Pytlakowskiego bowiem „kolizje duchowe i osobiste zgryzoty osób działających niejednokrotnie nieproporcjonalnie rozrastają się, zaciemniają główną, afirmującą życie, tendencję narracji". Najwyżej z powieści dotąd wymienionych stawia Motylewa powieść Hamery. W niej po raz pierwszy rzeczywistym bohaterem jest klasa robotnicza, pokazana nie schematycznie lecz w szerokim zróżnicowaniu typów. „Wielką zasługą pisarza jest to, że potrafił on pokazać swego bohatera w rozwoju, bardziej serdecznie, po ludzku, „od wewnątrz". Hamera trafniej niż Wilczek unaocznił związek świadomości klasowej z uczuciem patriotycznym polskiego robotnika, prześledził „proces dojrzewania proletariuszy starej Polski, którzy stali się obywatelami nowej republiki", pokazał ogromną rolę Armii Czerwonej w losach polskiej klasy pracującej, uwypuklił działalność partyjnych aktywistów fabryki, mimo że w centrum opowiadania stoi bezpartyjny robotnik. Młody autor nie zapanował jedynie nad kompozycją — czego przykładem jest zbyt późne wprowadzenie do akcji sekretarza organizacji partyjnej, nagłe usunięcie czołowych postaci z głównego toku akcji pod koniec książki. Mimo to Motylewa ocenia powieść Hamery jako „jeden z najsilniejszych, z talentem napisanych utworów odzwierciedlających bohaterskie dni budowy Polski Ludowej".

W drugiej grupie powieści polskich omawia Motylewa również trzy utwory: **M. Kowalewskiego** „Kampania znaczy walka", **St. Kowalewskiego** „Prosta droga" i **T. Konwickiego** „Przy budowie". Książka M. Kowalewskiego, wartościowa przez swój pionierski charakter — pokazanie walki o normy, wyrabianie u robotników poczucia honoru pracy i odpowiedzialności każdego za pracę wszystkich — nie jest niestety wolna — stwierdza Motylewa — od szeregu poważnych błędów ideologicznych i artystycznych. Walka klasowa, która w r. 1948 nie straciła na zajadłości, a jedynie przybrała inne formy niż w r. 1945, ustąpiła w powieści na daleki plan: np. nikt nie przypuszcza nawet, że w wypadku awarii może mieć miejsce sabotaż. Zjednoczenie partii robotniczych i Kongres Pokoju we Wrocławiu nie znalazły odbicia w powieści, której akcja toczy się przecież w 1948 r. Najpoważniejszym jednak błędem autora jest to, iż „specyfika produkcji, szczegóły techniczne przybierają czasami w powieści tak samowystarczalne znaczenie, że z pola widzenia autora wymykają się indywidualne ludzkie charaktery, myśli i uczucia żywych ludzi. Czytelnik zbyt mało dowiaduje się o wewnętrznym, duchowym życiu Gawrońskiego, Goryczana i innych głównych bohaterów powieści". Spośród dwóch powieści - reportaży, St. Kowalewskiego i T. Konwickiego, powieść Konwickiego stawia Motylewa zdecydowanie wyżej. St. Kowalewski „przekazując heroizm pracy górników i ich kierowników przez naiwne, trochę obserwatorskie ujęcie Andrzeja (warszawskiego pisarza), ograniczył swe możliwości, dlatego też szlachetne wysiłki przodowników pracy są raczej nazwane niż pokazane". Inaczej Konwicki — powieść jego udana jest dlatego właśnie, „że pokazał on budowę kolei nie poprzez widzenie postronnego obserwatora, lecz bezpośrednio: przez myśli, słowa i czyny samych uczestników budowy". „Należy wysoko ocenić — pisze Motylewa — ową operatywność, z jaką młody reportażysta wyraził zdarzenia żywego, dzisiejszego życia. Te ostre zagadnienia organizacyjnej i wychowawczej pracy wśród mas, które postawił w swojej powieści T. Konwicki, rozwiązywane są teraz praktycznie przez wielu robotników budowli planu sześcioletniego. Powieść - reportaż Konwickiego jest wzorem tego aktywnego oddziaływania na życie, które za przykładem literatury radzieckiej wprowadzają obecnie w swą twórczą praktykę pisarze krajów demokracji ludowej".

Rozważania T. Motylewej o powieści polskiej dotyczącej przemian i walki klasowej na wsi rozpoczyna analiza powieści **A. Olchy** „Most nad urwiskiem". Wykorzystawszy bogate tradycje polskiego realizmu krytycznego potrafił Olcha dać pełnokrwiste obrazy ludzi z obozu reakcji, zdemaskować obłudną taktykę wroga klasowego; znacznie słabiej niestety wypadli bohaterowie pozytywni. Mimo to patos nowego życia bije z kart książki, przejawia się on w losie Agnieszki Grębalówny, będącej w istocie główną bohaterką powieści: „W powieści wyczuwa się świeży, oczyszczający oddech nowego życia; na tym polega jej bezsporna wartość" — stwierdza Motylewa. Drugą powieścią o walce klasowej na wsi, omawianą przez krytyka radzieckiego, jest książka **Gałaja** „W rodzinie Lebiodów". Wg oceny Motylewej najmocniejszą stroną książki są elementy reportażowo - kronikarskie, wiele natomiast do życzenia pozostawia rodzinno-obyczajowa strona powieści. W charakterystyce starego Lebiody dominuje przypadkowość: „psychologicznie mało usprawiedliwiony jest jego brak uczucia w odniesieniu do żony i dzieci, jego małostkowe zarozumialstwo". Również i młody Lebioda, Stach, aktywny bojownik nowego życia wyposażony został w niepotrzebne komplikacje psychologiczne, w rys ascetyzmu i samowyrzeczenia, zbliżające go do ponurego ascety Goryczana z książki M. Kowalewskiego. Mimo to, „nie bacząc na owe częściowe niepowodzenia, nie bacząc na ciemne piętna naturalizmu, występujące w niektórych postaciach i sytuacjach, powieść J. Gałaja nasycona jest treścią ważną i aktualną". Pod adresem trzeciej z omawianych książek o wsi — **Zalewskiego** „Traktory zdobędą wiosnę" — nie wysuwa już Motylewa żadnych zastrzeżeń ideologicznych i daje jej ocenę bardzo wysoką. Książka Zalewskiego odtwarza dalszy etap w rozwoju polskiej wsi — etap spółdzielczości produkcyjnej. Autor, idąc za przykładem „Zoranego ugoru" Szołochowa, trzeźwo i szczerze pisze o trudnościach towarzyszących pierwszym krokom zorganizowanej spółdzielni, o „naprężonych dniach powszednich" jej aktywistów, walczących o wyrwanie chłopa polskiego z kręgu wpływów kułackich i reakcyjnej części duchowieństwa. Mimo to nie ma w książce Zalewskiego pesymizmu — „jak i inne, najlepsze utwory współczesnej polskiej literatury przeniknięta jest ona niezłomną wiarą w przyszłość, odczuciem wielkiej, radosnej wiosny w życiu narodu polskiego, idącego z wiarą ku socjalizmowi".

Tamara Motylewa wysoko ocenia współczesną literaturę polską za jej ideowość i za „prawdziwe odtworzenie drogi do socjalizmu oraz heroizmu pokojowej, twórczej pracy". Podkreśla ona jednak wyraźnie pewne niedostatki artystyczne, zwłaszcza brak psychologicznego zróżnicowania i pogłębienia postaci. Konieczność zlikwidowania tych niedociągnięć stawia przed naszymi pisarzami nowe zadania — bowiem „im wyższe będą ich utwory pod względem mistrzostwa artystycznego, im głębiej i pełniej odtworzą one nowe życie nowego człowieka — tym trwalszy i znaczniejszy będzie wkład literatur krajów demokracji ludowej w sprawę pokoju.

L. G.

O poezji Tadeusza Różewicza

(Dokończenie ze str. 4)

w tomie „Czas, który idzie" wiersze piękne, posiadające wszystkie zalety poezji Różewicza, a jednocześnie noszące już cechy poezji realizmu socjalistycznego, jak „O maleństwie płosenka", czy „Rozmowa z matką", lub „Trzydziesty ósmy równoleżnik", wiersze syntetyzujące w obrazie moment historyczny, wiersze walczące o pokój.

V

Droga od mieszczańskiego naturalizmu i formalizmu poprzez uleganie dekadenckim wpływom barda imperializmu Eliota, do pierwszych prób poezji realizmu socjalistycznego musiała być długa i trudna. Jeżeli przypomniałem tu szereg już przezwyciężonych błędów poezji Różewicza, to tylko po to, aby było jasne, od czego odszedł. Jest oczywiste, że na tej drodze poeta musi zrezygnować z wielu środków artystycznych, choćby nawet były one jego „mocną stroną" Ukazanie podłoża dawnych błędów poety jest dzisiaj tym bardziej potrzebne, że krytycy czynili dotąd wszystko, aby utwierdzić młodego poetę, iż jest na jak najlepszej drodze.

Andrzej Braun

Po roku doświadczeń

(Dokończenie ze str. 9-ej)

nych prób, pomyłek, niepowodzeń. Długa to droga. Boję się, że przebycie jej będzie wymagało wielkiego zapasu dobrej woli i cierpliwości tak ze strony kierownictwa Filmu jak i od Zespołów. Chyba, żeby się coś zmieniło

*

Jako trzeci warunek sprawnej pracy Zespołów w przyszłości wymieniłem znajomość programowych potrzeb Filmu. Ta sprawa nie znajdowała dotychczas wyraźniejszych sprecyzowań, bardzo ogólnikowo była stawiana. W rezultacie obserwuje się następujące zjawisko: poszukiwania tematyczne wszystkich omalże członków Zespołów skupiły się na zagadnieniach współczesnej wsi polskiej, na walce o spółdzielnię produkcyjną przede wszystkim. To nie jest zjawisko zdrowe. Oczywiście, trzeba pracować nad filmami poruszającymi te zagadnienia, nie można jednak pomijać innych, równie istotnych problemów współczesnych. Tolerowanie takiej jednokierunkowości nie świadczy o słusznym kierowaniu pracy Zespołów. Czy nie należałoby w przyszłości, w oparciu o istniejący plan programowy, dawać Zespołom konkretne zadania, a nie ulegać ich żywiołowym odruchom? I na tym odcinku pracy obowiązuje chyba zasada włączania inicjatywy indywidualnej w plan obowiązujący cały kolektyw. Podobno plan taki już istnieje; należy z uznaniem powitać tę wiadomość, gdyż jak dotychczas brak planu był poważnym utrudnieniem w pracy wszystkich rozwiązujących sprawy programowe pracowników Filmu.

*

Cóż więc robić z Zespołami? Na to pytanie odpowiedzieć muszą kierownicy Filmu i myślę, że odpowiedzą konkretną polityką wobec Zespołów. Czas już przyjąć zdecydowaną, wyraźną postawę wobec tego zagadnienia. Ostatni okres przyniósł niewątpliwą poprawę, ale nie wszystko zostało dopowiedziane wyraźnie.

Obecny stosunek kierownictwa Filmu do Zespołów, to coś w rodzaju pełnego rezerwy pobłażania. Nie trudno domyśleć się, skąd on się bierze: ostatecznie, Zespoły są przecież tworem kierownictwa Filmu, czymś w rodzaju beniaminka — stąd pobłażanie; jednocześnie trudno wyobrazić sobie, aby nie miał rezonansów w Dyrekcji negatywny pogląd doświadczonych filmowców na Zespoły — stąd rezerwa. Lecz w atmosferze pobłażliwej rezerwy pracować nie warto.

Edward Szuster

URODZAJ

(Dokończenie ze str. 7)

i ciężkim spojrzeniem spoczął na zastygłych w oczekiwaniu twarzach.

— Nie tylko obierki jedli, proszę obywatela, ale i trawę jedli... Tylko, że nie jedzą, a jedli... Jedli wtedy, kiedy wróg — kułak, szpieg i spekulant — wyrzynał bydło, zatruwał ziarno, palił sterty. Kiedy próbował wziąć władzę radziecką głodem, bo inaczej nie mógł jej poradzić. Ale i ten sposób się nie udał. Zginął wróg kułacki. O tym, jak robotnik i chłop radziecki jada dzisiaj, już wam opowiadałem, w każdym bądź razie daleko nam jeszcze do takiego dobrego bytu. Ale czy doszedłby ten chłop i ten robotnik do takiego życia, gdyby nie złamał krzyża swojemu wrogowi, który go trzymał na łańcuchu? Nigdy. Nie doszedłby. I niech weźmie to pod rozwagę ten, który u siebie w głowie wymyślił takie pytanie. Nasz naród też idzie po tej samej drodze, co Związek Radziecki. Chcemy osiągnąć dobry byt. Ale zanim go zdobędziemy, musimy przetrącić kark wrogowi. W Związku Radzieckim zatruwał ziarno, u nas także samo chwyta się innych sposobów; na przykład z dawna psuł naszą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, oczerniał komunizm, bo on dobrze wie, czym taka przyjaźń pachnie dla niego. Ale nic mu nie pomoże. Przetrącimy kark naszym wrogom — nie chcemy, żeby nam zatruwał ziarno, ani też stawał na drodze do naszych przyjaciół...

Witold Zalewski

KONIEC

mała kronika

MIELIŚMY trzech wieszczów. Ale co to za wieszcze! Ja mam wieszcza! Palce lizać! Mój wieszcz nazywa się: Feliks Konopka. Nie słyszeliście nigdy o wieszczu Konopce? Nic nie szkodzi, zaraz usłyszycie. Wieszcz Konopka, obywatele to pojedynek, indywidualność, realistyczny mistyk, przedzierający się przez matecznik materii, wgryzający się w biologiczny miąższ życia. Zasadniczym tematem jego poezji jest Bios ziemi i nieba, drzew, zwierząt, a także człowieka, chmur i łubinu, które są szyfrem wieczności. Konopka stoi na przecięciu linii wieczności oraz linii krwistej, pulsującej doczesności. Konopka wyczuwa tajemnicę życia, dlatego trwa rozdarty między dwiema płaszczyznami. Konopka wchodzi w skórę ludzi, zwierząt drzew, pór roku, deszczu i pogody. Wiersze Konopki są chropawe, surowe, szorstkie, dramatyczne, napęczniałe sokami ziemi i tęsknotami metafizycznymi, ukazują życie w trzech wymiarach. Konopka widzi świat z wypukłością, po pełnej biologizmu afirmacji życia krzyczy „jest, jest", mówi o człowieku pączkującym i pulsującym. Konopka chce razem z rozhulanym światem wyrwać się na „week-end" — podobnie jak ongiś chciał się wyrwać za „labę życia". I oto jak się wyrywa mój wieszcz Konopka:

„Hejże! siadajcie w pojazdy! Gwiazdy! Gwiazdule! Rozgwiazdy! Kłębią się białe dymy, Parowóz wrzasnął... Wyjmy!... Ruszyła z posad chałupa... Szaleją pola i łąki, Ze śmiechu kładą się chaty, A my lecimy dalej jak szalejąca raca, A wiatr po kłęby dymu wzdłuż plantu wstecz się wraca".

Taki, obywatele, jest wieszcz Konopka. Ale jeśli tylko tyle wiecie o wieszczu Konopce, to jeszcze nic nie wiecie. Wieszcz Konopka będzie naszym Piotrem Wielkim. Otworzy nam okno na Europę. Wieszcz Konopka sprawi, że Francuzi dowiedzą się o istnieniu kulturalnych Polaków. Przekonają się, że Polacy nie są narodem barbarzyńskim. Mieszkał niegdyś we Francji jakiś nauczyciel z Kowna, wykładał parę lat na uczelni paryskiej, redagował jakieś pisemko. Francuzi się krzywili: barbarzyńca. O, Konopka, to co innego! Jacyś Polacy dowodzili wojskiem Komuny Paryskiej. Francuzi się krzywili: barbarzyńcy! Gdzież im do Konopki! Jakaś Polka wyszła zamąż za profesora francuskiego, odkryli jakiś pierwiastek. Francuzi się krzywili: barbarzyńcy Wolimy Konopkę. Był w Warszawie II Światowy Kongres Pokoju. Z Francji przyjechało kilkuset delegatów i gości. Niczym nie można im było zaimponować: ani odbudową Warszawy, ani wspaniałą organizacją, ani wolą pokoju. Zajadając befsztyki, popijając eksportową, szeptali po kątach: A. Konopka? Gdzie Konopka? Szeptali i kropka.

Taki, obywatele, jest Konopka. Unikat. Wielka szansa poezji polskiej. On zbliży naród polski i francuski. Furda Mickiewicz, Komuna Paryska, ruch obrońców pokoju! Konopka zrobił więcej: Konopka przetłumaczył na francuski „Zemstę" Fredry. Sam wielki Jouvet, gdy był w Polsce, zachwycił się tłumaczeniem, zapalił się do Fredry-Konopki, chciał ją grać w Paryżu, ale nie zagrał. Gdyby zagrał, osiągnęlibyśmy wielki sukces, który by promieniował poza zakres triumfów literackich. „Sukces ten będzie osiągnięty, gdy przeciętny Francuz będzie sobie powtarzał ze śmiechem monolog Papkina i gdy na bulwarach będzie można zasłyszeć fragmenty tubalnych odezwań Cześnika. Wtedy Francuz zrozumie, że Polacy nie są UN PEUPLE BARBARE".

Taki, obywatele, jest Feliks Konopka. Konopka przeniesie „Zemstę" na bulwary Paryża. Nareszcie dowiemy się, że Fredro jest coś wart. Bo paryski sklepikarz będzie powtarzał z rozkoszą monolog Papkina. Zamiast kawałów antysemickich radio paryskie nadawać będzie tyrady Czesnika. Midinetki będą się przekamarzały z chłopcami: „Jeśli nie chcesz mojej zguby, Krrrokodyla daj mi, luby!" Premier Oueille, zmuszony przez Amerykanów do podpisania planu Schumana, padnie w objęcia Adenauera i szepnie: „Niech się dzieje wola nieba, Z nią się zawsze zgadzać trzeba". Prezydent Auriol będzie konferował z Trumanem w ten sposób: „Gdybym także, równie tobie, Namiętności nie brał w ryzy, (uderzając w rękojeść szpady) Ostrze mojej Artemizy.. (uprzedzając uderzenie w stół Cześnika) Proszę mówić"... Tak oto możemy wejść do rodziny europejskich narodów.

Tadeusz Borowski

PS. Nie upiłem się. Nie zwariowałem. Nie upiła się i nie zwariowała także pani Starowieyska Morstinowa. W 317 numerze „Tygodnika Powszechnego" zamieściła ona artykuł „Wielka szansa poezji polskiej", który z krótkimi komentarzami — streściłem przed chwilą. Wzlatuje ona, unosi się skrzydłami zachwytu nad Konopką, a nawet nad łubinem. Nie mam nic przeciwko temu, chociaż mnie to śmieszy. Nie mam nic przeciwko Fredrze w przekładzie Konopki. Chętnie bym dzielił entuzjazm pani Morstinowej dla tego przekładu, ale nie mogę: nie znam przekładu, ale znam wiersze, którymi się ona zachwyca. Bywa, że mierny poeta znakomicie tłumaczy. Cieszę się, że tłumaczenie „Zemsty", olśniło wielkiego Jouveta. Niechże wielki Jouvet wystawia tę „Zemstę", jeśli chce. Ale po co zaraz kosmopolityczne ciąguszki? Paryskie snobizmy? Kosmopolici, szukający na bulwarach paryskich potwierdzenia, że są kulturalni, to rzadkie, realistyczno-mistyczne gwiazdule.

Szukajcie, szukajcie potwierdzenia! Siadajcie w pojazdy, gwiazdy, gwiazdule, rozgwiazdy! Wyjcie głośniej od parowozu! Jedźcie wprost na bulwary nad Sekwaną. Ale się boję, że ujrzawszy was, lud paryski krzyknie — i będzie miał rację — że Polacy to jednak UN PEUPLE BARBARE.

T. B.

Wiosna w Hiszpanii

Komentarze

Zabawa w daltonizm

W nagrobkowym komentarzu o Mac Arthurze — po jego odwołaniu z Korei i Japonii — BBC w audycji polskiej z dn. 13 bm. powiedziało m. in.: „Nazwisko gen. Mac Arthura zapisało się **złotymi** zgłoskami w kronikach wolnego świata".

Jak się okazuje, zabawa w daltonizm czyli udawanie, że się umie odróżniać kolory, cechuje BBC nie tylko w sprawach polskich. Okrutny bowiem kat narodu koreańskiego przez 10 miesięcy zapisywał się w księdze historii krwawym kolorem. Oto jeden tylko — z tysiąca innych — opis „czynów historycznych" żołdaków, którym rozkazy wydawał Mac Arthur — w relacji specjalnego korespondenta „Le Monde", Favrela:

„Wypadki dowiodły, że interwencja Stanów Zjednoczonych zakończyła się katastrofą, pozostawiając kraj wykrwawiony, wygłodzony i sterroryzowany, wyniszczony i pokryty ruinami. Na przestrzeni 200 km frontu Korea płonie, miasto po mieście, wieś po wsi, dom po domu wg techniki, zainaugurowanej przez hordy Atylli, ulepszonej następnie przez Prusaków, techniki, która nazywa się taktyką „ziemi spalonej".

Żaden pokój nie wymaże nigdy spojrzenia umierających, którzy leżą na śniegu, by umrzeć bez słowa. Trzeba widzieć bohaterskie matki koreańskie z niemowlętami na plecach, z dziećmi na rękach, zanurzone do połowy ciała w lodowatej wodzie rzek, gdy idą powolnym marszem aż do śmierci. Trzeba widzieć szkielety dziecięce, żebrzące na drogach, skulonych starców w śniegu, rannych, niesionych jak kruche przedmioty. Trzeba widzieć uchodźców uciekających z palących się miast i wsi".

Oto dzieło Mac Arthura zapisane „w kronikach wolnego świata".

Kor.

Opatrzność po raz trzeci

W czasie zakładania kamienia węgielnego pod gmach kościoła presbiteriańskiego w Waszyngtonie prezyzydent Truman wygłosił przemówienie, w którym wywodził:

„Czuję, że Bóg stworzył nasz kraj i natchnął nas siłą i potęgą, powodując się wielkim celem. Nie jest nam dane obecnie w całej pełni zgłębić na czym ten cel polega. Naszym obowiązkiem jest obrona duchowych wartości — kodeksu moralnego — przeciw siłom zła, które chcą te wartości zniszczyć. Istota naszych usiłowań polega na programie rozbudowania amerykańskiej potęgi obronnej."

Ten kontakt z boską opatrznością odziedziczył Truman po dwóch poprzednikach. Pierwszym z nich był Mussolini, drugim Hitler. Obaj powoływali się często na opatrzność, z której wywodzili swoją misję historyczną.

kst

Z handlarzy — pośrednicy

Emigracyjny „Dziennik Polski" w artykule pod charakterystycznym tytułem „Urazy hiszpańskie" ubolewa, że do tej pory istnieją jeszcze „w pewnych kołach francuskich i angielskich" jakieś zastrzeżenia co do frankistowskiej Hiszpanii. Z neofaszystowskimi Włochami idzie współpraca wojenna bez żadnych tam kompleksów, wykorzystanie neo-hitlerowskich Niemiec Adenauera rozwija się pięknie, a tylko w stosunku do gen. Franco jakieś oburzające grymasy. Stwierdziwszy to z goryczą, pismo Andersa występuje ochotnie w roli pośrednika, który zachwala towar:

„Hiszpania ma do zaofiarowania blokowi (atlantyckiemu — przyp. kor.) bardzo wiele. Przede wszystkim zajmuje ona doskonałą pozycję strategiczną między Afryką i Europą... Oblana morzami i oddzielona od Francji łańcuchem Pirenejów, nadaje się świetnie na główny magazyn zbrojeniowy bloku atlantyckiego na kontynencie europejskim. A wreszcie Hiszpania ma armię z prawdziwego zdarzenia, wprawdzie niedostatecznie uzbrojoną, ale za to dobrze wyszkoloną i odporną na wpływy komunistyczne lub pacyfistyczne. ...Tymczasem Hiszpania nie otrzymała ani grosza z zewnątrz".

Pominąwszy drobną nieścisłość z tym „ani grosza" (może o to chodzi, że dolary to nie grosze), trzeba stwierdzić, że nasi emigranci robią co mogą w roli pośredników. Swego czasu przez dwadzieścia lat wyprzedawali Polskę obcemu kapitałowi, teraz — skoro te „handlowe" możliwości się urwały — przerzucili się na pośrednictwo. Liczą, że coś i dla nich kapnie ze sprzedaży Hiszpanii.

Zapomnieli tylko — o Barcelonie.

Kor.

Niepokój na zachodzie... mętlik w głowie

„Oto w Maroku przedstawiciel kasty kolonialistów gen. Juin organizuje zamach stanu, w czasie którego walcząc z ruchami postępowymi, usiłuje jednocześnie zlikwidować pośrednio te ściśle rewolucyjne ruchy, wspierające wpływy nacjonalistyczno-muzułmańskie, promieniujące na bliski Wschód z Egiptu. Skądinąd jest tajemnicą poliszynela, że na Bliskim Wschodzie polityka brytyjska próbuje ugruntować swe słabnące wpływy w oparciu o elementy nacjonalistyczne i mahometańskie".

Powyższe rewelacje znajdujemy w n-rze „Dziś i Jutro" z dnia 8 kwietnia br. w artykule zatytułowanym „Niepokój na Zachodzie". Swoista interpretacja źródeł i charakteru ruchu niepodległościowego w Maroku wyłożona zresztą dosyć zawile przez niepodpisanego autora wspomnianego artykułu nie jest bynajmniej oryginalna. Mówiąc prościej, autor sugeruje, że „ściśle rewolucyjny", a więc niepodległościowy ruch marokański jest inspiracją, „obcą agenturą" i narzędziem polityki brytyjskiej. Autor dla potwierdzenia swoich słów mógłby się powołać na nie byle jaki autorytet gen. Juina. Ten również niejednokrotnie insynuował, że Marokańczycy są całkiem zadowoleni z jego rządów, wszystkie zaś kłopoty, na jakie napotyka francuski reżim kolonialny wynikają z tego, że obcy agitatorzy, szczególnie z Egiptu podburzają ludność miejscową a pomagają im w tym oczywiście komuniści (tych chyba autor artykułu „Niepokój na Zachodzie" zalicza do ruchów ściśle rewolucyjnych).

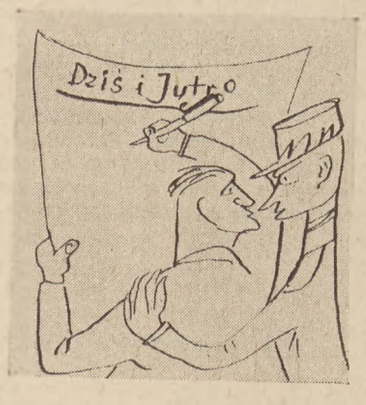

Zrozumiałe jest, dlaczego generał Juin tak mówi. Chodzi mu po prostu o szkalowanie niepodległościowego ruchu narodu marokańskiego, a za jednym zamachem chce również zdyskredytować ruch komunistyczny. Niezrozumiałe jest jednak w pewnej mierze dlaczego „Dziś i Jutro" powtarza oszczercze bzdury francuskiego imperialisty. Chyba po to, żeby szerzyć mętlik w głowach czytelników.

ednrb

Nowa wersja o Szekspirze

Pewien angielski „uczony", niejaki dr Titherley ogłosił ostatnio obszerną monografię o Szekspirze, w której „odkrył" nareszcie prawdziwego autora wielkich dramatów szekspirowskich. Zdaniem Titherleya nie jest nim ani Francis Bacon, ani Szekspir. „Mogę z całą pewnością zapewnić — czytamy we wspomnianej monografii — że Szekspirem był w rzeczywistości William Stanley, szósty earl of Derby".

Aby dojść do takiego wniosku, Titherley napisał grube dzieło, nad którym pracował trzydzieści lat. Rezultatem tych studiów jest tasiemcowy tom, w którym czytamy między innymi, że Szekspir „był chełpliwym i niepoważnym jegomościem", który wypożyczył swoje nazwisko Stanleyowi dla jego dzieł. Sam Stanley natomiast był — jak go autor charakteryzuje — dobrze wychowanym i obytym człowiekiem. Titherley dziwi się, jak można pomyśleć o autorstwo wybitnych dzieł człowieka, który nie był arystokratą i bogaczem. To wszystko wymyślił dr Titherley w ciągu trzydziestu lat.

rk

Dobroć serca

Według doniesień francuskiej agencji prasowej AFP z Nowego Jorku aresztowano tam siedem osób (w tym trzy kobiety), które wzięły udział w demonstracji ulicznej w obronie skazanego na śmieć Murzyna Mac Gee. Aresztowanym trudno było zarzucić jakieś przestępstwo i długo głowiono się nad tym, o co ich oskarżyć. Wreszcie znaleziono. Zatrzymanym zarzuca się „znęcanie się nad zwierzętami", rzekome maltretowanie... koni policyjnych, na których policjanci rozpędzali demonstrację. Taka litość nad zwierzętami, okazywana pod gmachem, w którym posyła się na śmierć niewinnych Murzynów, jest nader osobliwa.

rk.

Piosenka nie bezimienna

W jednym z artykułów na temat kreugerowskiej afery zapałczanej („Trybuna Ludu" z dnia 12.IV. br.) Jerzy Rawicz cytuje jako „popularną piosenkę przedwojenną" następujący czterowiersz:

„Deterding ma naftę,
Kreuger ma zapałki,
Ja mam kałdun pusty,
A policja pałki".

Wydaje nam się, że nie ma powodu zatajać nazwiska autora tej piosenki. Jest nim Julian Tuwim. Wiersz, z którego pochodzi zacytowana przez Rawicza strofa, znaleźć można w popularnym zbiorze satyrycznym poety pt. „Jarmark rymów".

rm

SPROSTOWANIE

Do korespondencji pt. „Uczmy się nawzajem, czyli krytyka krytyków" zamieszczonej w Nr 14 (54) naszego pisma wkradł się błąd, mianowicie: w 7 ustępie listu powinno być: „To samo mówi Szober w swoim Słowniku **ortoepicznym**, a nie ortograficznym.

Redakcja.

KSIĄŻKI NADESŁA

IV. NAUKI HISTORYCZNE

O powstaniu krakowskim 1846 r. ... cował **Władysław Bortnowski**. ... wa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. ... 2 nl.

V. GEOGRAFIA. KRAJOZNAWSTWO. PODRÓŻE

G. Kublicki. Odkrywcy Antarktydy. Tłumaczyła z rosyjskiego **Paulina ...ka.** Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 157, 3 nl.

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Elfriede Brüning. Tajna ... działa Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str 146, 2 nl

Janina Dziarnowska. Powieść ... nie Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 230, 2 nl.

Aleksander Fadiejew. Młoda Gwardia. Powieść. Wydanie piąte. Warszawa, „Prasa Wojskowa"; str. 676, 4 nl.

Aleksander Fadiejew. W ... 1942 roku. (Biblioteka Żołnierza. I. Popularne Wypisy Literackie. Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 52, 4 nl.

R. Fraerman. Nikiczen i inne opowiadania. Tłumaczył z rosyjskiego **Józef Brodzki.** Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 253, 3 nl.

W. Iljenkow. Opowiadania. Tłumaczyła z rosyjskiego **Maria Gero.** Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. ... 3 nl.

Henryk Keisch. Der unbekannte Nachbar. Berlin, 1950, Verlag „Blick nach Polen"; str. 117, 5 nl.

Karol Małcużyński. Vom anderen Ufer. Reportagen aus den polnischen Grenzgebieten, Berlin, 1950, Verlag „Blick nach Polen"; str. 154, 6 nl.

Sąsiedzi. Opowiadania autorów ... dziecięcych (Biblioteka Żołnierza. ... Popularne Wypisy Literackie. 35) Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. ... 5 nl.

XIV. ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

Gospodarka morska Polski ... w planie 6-letnim Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 23, 1 nl.

I. L. Kukulewicz i M. A. Rubinow. Planowanie i analiza wskaźników ... Warszawa, 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, str. 257, 1 nl.

Wstęp do nauki planowania gospodarki narodowej. Tom I. Opracował **Mieczysław Minc.** Warszawa, 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, str. 446, ...

XV. ZAGADNIENIA SPOŁECZNE I POLITYCZNE

Jarosław Prusek. Lud chiński walczące o wolność. Tłumaczyła z czeskiego **J. Bułakowska.** Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa", str. 205, 3 nl.

XVII. WYCHOWANIE FIZYCZNE. SPORTY. GRY

Daniel Gołogórski. Jak organizować masowe biegi narciarskie. Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 35, ...

Wacław Sidorowicz. Higiena sportowca i pierwsza pomoc. II wydanie. Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. ... 3 nl.

A. Solak. Pogadanki o higienie ... nierskiej. (Biblioteka Żołnierza. II. Popularno-Naukowa. 17). Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 73, ...

XX. TECHNIKA. PRZEMYSŁ. RZEMIOSŁO

S. Czaplicki. Poradnik dla eksperów. Warszawa, 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze; str. 126, 2 nl.

II. DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Sprawozdania z czynności i posiedzeń za drugie półrocze 1948 r. Łódź, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, str. ... 5 nl.

IV. NAUKI HISTORYCZNE

Józef Dutkiewicz. Francja a Polska 1831 r. Łódź, 1950, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, str. 185, 1 nl.

VII. JĘZYKOZNAWSTWO

Henryk Ułaszyn. Znaczenie ... Wielkopolska i Małopolska. Łódź, Łódzkie Towarzystwo Naukowe. str. ...

Jerzy Schnayder. De perlegendis graecorum reliquiis Łódź, 1950, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, str. 95, 1 ...

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Gustaw Morcinek. Pokład Joanny. Warszawa 1950, Gebethner i Wolff; str. 476, 2 nl.

Krzysztof i Łukasz Opaliński. Wybór satyr. Opracował **Juliusz Kijas.** (Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy ...) Kraków, 1950, M. Kot; str. 108, 4 nl.

Władysław Orkan. Drzewiej. Powieść. Wydanie czwarte. Warszawa, 1950, Gebethner i Wolff; str. 221, 3 nl.

Władysław St. Reymont. Nowele. Tom II i V. Warszawa, 1950 Gebethner i Wolff, str. t. II: 307, 3 nl, str. t. ... 279, 1 nl.

Władysław St. Reymont. Wampir. Wydanie VI. Warszawa, 1950, Gebethner i Wolff, str. 263, 1 nl.

Sofokles. Elektra. Dramat. Przełożył i opracował **Mieczysław Brożek.** (Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy ...) Kraków, 1950, M. Kot, str. 77, 3 nl.

Elza Triolet. Upiory pod bronią. Powieść. Przekład **Romana Kołoniecka.** Warszawa, 1950, Gebethner i Wolff; str. 430, 2 nl.

Wiech. Do wyboru do koloru. 100 felietonów. Warszawa, 1950, Gebethner i Wolff; str. 339, 1 nl.

IX. LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Gospodarna gromada. Opowiadania. ... SKO. Warszawa, 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze; str. 109, 3 nl.

X. NAUKA O LITERATURZE

Bohdan Baranowski. Znajomość ... Wschodu w dawnej Polsce do XVII wieku. Łódź, 1950, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, str. 256.

Zdzisław Skwarczyński. Chłopi i sprawa chłopska w romansie **stanisławowskim.** Łódź, 1950, Łódzkie Towarzystwo Naukowe; str. 154.

XIV. ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

L. S. Galimon. Dochody stacji maszynowo - traktorowych. Warszawa 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze; str. 134, 2 nl.

S. W. Serebriakow. Organizacja i ... chnika handlu radzieckiego. Warszawa, 1951, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze; str. 582, 2 nl.

Towaroznawstwo produktów spożywczych. Praca zbiorowa pod redakcją **G. G. Skrobańskiego.** Warszawa, ... Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, str. 627, 1 nl.

B. Szulc i E. Vielrose. Zbiór zadań ... statystyki. Warszawa, 1950, Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, str. 279, ...

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230 Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25 Cena ogłoszeń 5 zł 40 gr za 1 mm szerokości łamu Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń R.W.S. „Prasa" Warszawa. Poznańska 38, konto PKO I-5589/110

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5. 2-B-16634